

TYGIEL KULTURY 1 (233) 2020

Tygiel Kultury 1 (233) 2020

Redaktor naczelny: Andrzej Strąk
Zastępca redaktora naczelnego: Maciej Robert
Sekretarz redakcji: Marcin Bałczewski
Promocja i marketing: Marta Zdanowska

Projekt graficzny i okładka: Jakub „Hakobo” Stępień
Skład: Magda Ebert

Adres redakcji: Dom Literatury w Łodzi, Roosevelta 17, 90-056 Łódź
tel. (42) 633 68 38
e-mail: tygiel@dom-literatury.pl
strona internetowa: www.tygielkultury.org

ISSN: 1425-8587

Wydawca: Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział w Łodzi

Numer powstał dzięki wsparciu finansowemu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

SPIS TREŚCI

» 1920 » 2020

Magdalena Roguś	
<i>In Flanders Fields</i> – zapiski z linii frontu	5
Bogdan Góralczyk	
Węgierski syndrom	18
Mateusz Żaboklicki	
Jabłonna	30
Stanisław Rembek	
Dziennik 1918	52
Dziennik 1927	57
Weronika Girys-Czagowiec	
Stanisław Rembek – świadek historii	72
Darek Foks	
Szarża lekkiej brygady	87
Andrzej de Lazari	
Lata 1920–2020 w historii rodzinnej łódzkich de Lazari	89
Rafał Zięba	
Prawdopodobieństwo dziadka	118
Marcel Woźniak	
Zły, który był Dobry. Sto lat Tyrmanda	124
Michał Lachman	
Berlin – każdego roku	135
Zoltán Lesi	
Stella Walsh	154
[fragment dziennika] Brema, 8 stycznia 1981 roku	155
Stójkowy	156
Rickie Clark	157
Krewny dementuje	159
Jakub Řehák	
Pora płynna	161
Wanda Heinrichová	
Odsuwanie	165
Sen	166
Lekarz zmierzył jej puls	167
Śnieżyca	167
Wyrok	168

ESEJ

Michał Tabaczyński

Nadzorować i czytać: narodziny biblioteki 170

PROZA

Piotr Grobliński

Grabarz ptaków 188

POEZJA

Kacper Bartczak

Warsztaty na dzielni 191

Osiedle kwantowe 191

Ja obce wymowne 192

Dom żył 193

Joanna Bociąg

jazda 195

samochody 195

jak mała dziewczynka 195

polowanie na muchy 196

RECENZJA

Natalia Królikowska

Historia szerokiego człowieka 197

Marcin Bałczewski

Wielka Kolekcja Komiksu Polskiego 201

ARCHIWUM

Tomasz Filipczak

Kamyczki. Żeby nie uciekły (I) 203

FELIETON

Adam Poprawa

Ulica jak ulidza 209

MAGDALENA ROGUŚ

In Flanders Fields – zapiski z linii frontu

*Na polach Flandrii kwitną maki
Pomiędzy krzyżami i alejkami
To miejsce naznaczone; a na niebie
Skowronki wciąż wdzięcznie śpiewają,
Prawie niesłyszalne wśród huku dział.
Jesteśmy Śmiercią. Jeszcze niedawno
Żyliśmy, upadaliśmy, oglądaliśmy zachód słońca,
Kochaliśmy i byliśmy kochani,
A teraz leżymy na polach Flandrii (...).
Nie zaśniemy, dopóki maki kwitną
Na polach Flandrii*

II wojna światowa była pełna ruchu, dynamiki. Na polach bitwy królowały czołgi, wozy opancerzone, pod niebem szarżowały bombowce. Dużo się działo. I wojna światowa była mniej efektywna. To wojna pozycyjna, przyczajona, skryta, rujnująca ciała i dusze młodych ludzi. Flandria stała się sceną furii, horroru, heroizmu i przerażających nowych technologii: trujących gazów, min, czołgów i naznaczonej okrucieństwem bezbronności ludzi ukrytych w okopach.

Ieper, 35-tysięczne miasto w zachodniej Flandrii, nazwane przez papieża Jana Pawła II „miastem pokoju”, było w średniowieczu siedzibą grafów flandryjskich i słynęło z produkcji sukna eksportowanego do wszystkich miast średniowiecznej Europy. Wciąż można podziwiać w Ieper majestatyczne sukiennice, największe, jakie znał średniowieczny świat, będące dumą i chlubą regionu. Ieper, odbudowane z gruzów I wojny światowej miasto-feniks, stało się miastem-muzeum, w którym stawia się pytania o granice człowieczeństwa i o sens walki.

Front Zachodni

Jest rok 1914. Linia frontu zachodniego przebiega od Morza Północnego przez flamandzką wieś Diksmuide i miasto Ieper i dalej przez północną Francję do granicy szwajcarskiej. Zachodnia Flandria to najbardziej strategiczny odcinek zachodniego frontu, który ma bronić Niemcom dostępu do Kanału La Manche. Naprzeciw Niemcom stoją głównie wojska Francji, Belgii, Wspólnoty Brytyjskiej i Stanów Zjednoczonych. Wspólnotę Brytyjską tworzą dywizje z Kanady, Australii, Nowej Zelandii, północnej Afryki i Indii. Ze względu na olbrzymią liczbę żołnierzy anglojęzycznych walki pod Ieper przeszły do historii pod nazwą Ypres Salient, czyli „łuk iperski”, a pamięć o wydarzeniach rozgrywających się wzdłuż linii rzeki Ijzer okalającej to miasto jest wciąż żywa, szczególnie w krajach anglosaskich, gdzie rejon ten nazywany jest Drogą Śmierci.

Euforia początku wojny

Wiele krajów zachodnich wybuch I wojny światowej przyjęło z nieukrywaną radością. Na ulicach Paryża zebrał się tłum wiwatujących mieszkańców, przekonanych o rychłej wygranej. Młodzi, idealistyczni Francuzi wierzyli, że wojna zakończy się po kilku miesiącach. Ochotnicy rekrutowani do wojska mieli do wyboru: służyć w armii pół roku lub do czasu zakończenia wojny. Wybierali ochoczo tę drugą opcję, wierząc w szybki i łatwy sukces.

Walka okopowa trwała w rejonie Ieper przez 4 lata i choć linia frontu zmieniała się, to różnice były niewielkie, kilkukilometry. Każde przesunięcie frontu kosztowało życie setek tysięcy młodych ludzi. Od 1914 do 1918 roku bomby i granaty spadały na Ieper. Brytyjczycy wierzyli w „przełom”, w to, że uda im się odeprzeć wojska niemieckie. Niemcy natomiast przyjęli taktykę defensywną, zajmując najbardziej dla siebie dogodne pozycje i budując silne, stabilne umocnienia w postaci okopów i sieci

bunkrów, w oparciu o naturalne pofałdowanie terenu. Okopy miały około metra szerokości i 1,8 metra wysokości. Pod drewnianym chodnikiem znajdowała się przestrzeń na deszczówkę, a krawędzie obłożono workami z piaskiem. Boki i dno wzmocniono żelaznymi belkami, kładąc na nie plecionkę z łągów.

Alianci zdobyli te wzniesienia dopiero trzy lata później przy użyciu bomb głębinowych umieszczanych w niemieckich tunelach. W ciągu czterech lat w rejonie Ieper zginęło ogółem 185 tysięcy ludzi, z czego ponad połowa nie ma do dziś własnego grobu. Zarówno okopy, jak i bunkry niemieckie zostały odrestaurowane i można przejść Drogą Śmierci w ramach zwiedzania regionu.

Wojsko belgijskie składało się zarówno z holenderskojęzycznych Flamandów, jak i francuskojęzycznych Walonów. Dowódcami wojsk byli jednak zazwyczaj ci drudzy. Często zdarzało się, że Flamandowie tracili w walce życie lub zdrowie tylko dlatego, że nie rozumieli rozkazów wydawanych po francusku. Animozje pomiędzy Walonami i Flamandami zdarzają się i dziś, choć mają swe źródło jeszcze przed wojną. Są one widoczne między innymi w przyjmowaniu różnych, często ze sobą sprzecznych ustaw prawno-społecznych w obu regionach, co skutkuje między innymi dużymi trudnościami przy przeprowadzce czy zmianie pracy pomiędzy prowincjami Belgii.

W pierwszej fazie wojny dość popularną potrawą wśród frankofońskich żołnierzy belgijskich były... frytki. Widząc to, żołnierze angielscy nazwali tę potrawę „french fries”, myśleli bowiem, że mają do czynienia z Francuzami. Anglikom spodobała się prostota i szybkość przyrządzania frytek i dzięki nim potrawa ta dotarła do Anglii i Ameryki. Do tej pory za ojczyznę frytek potocznie uznaje się Francję, a nie Belgię.

Polacy na froncie Zachodnim

W bitwach pod Ieper nie zabrakło także Polaków. Ich dokładna liczba jest nieznana. Pochodzili głównie z zaboru pruskiego

i służyli w armii cesarza Wilhelma II. Profesor Andrzej Chwalba z Uniwersytetu Jagiellońskiego twierdzi jednak, że mieszkańcy terenów Polski przed pierwszą wojną światową byli dość zróżnicowani etnicznie, a ich świadomość narodowa nie zawsze była w pełni ukształtowana. „W tym wypadku problemem jest to, że trudno zweryfikować kategorię Polak. Nie wszyscy mieszkańcy Mazur czy Śląska mieli pełną świadomość narodową. Nie wszyscy, którzy mówili po polsku, się za Polaków uważali. Niektórzy używali innych języków w domu, a czuli się Polakami” – wskazuje profesor. Zdarzało się także, iż Polak wcielony do armii niemieckiej przechodził na drugą stronę frontu.

W czasie walk w rejonie Ieper nieliczni żołnierze polscy walczyli także w armii amerykańskiej, choć nie tworzyli żadnej odrębnej jednostki wojskowej. Mogło się zatem zdarzyć, iż dwóch Polaków walczyło przeciwko sobie po dwóch stronach barykady, kompletnie o tym nie wiedząc, pisze profesor Chwalba. Wynikało to także z samego charakteru pierwszej wojny światowej. Pociski były skuteczne nawet na dystansie 800 metrów, a broń artyleryjska miała zasięg nawet kilku kilometrów. Walki podczas I wojny światowej miały zatem dość anonimowy charakter. Nie znamy także dokładnej liczby poległych Polaków, prawdopodobnie były to setki tysięcy, czyli znacznie więcej niż w czasie II wojny światowej.

Broń chemiczna

We Flandrii Zachodniej po raz pierwszy zastosowano broń chemiczną na tak olbrzymią skalę. Pierwsi gazów bojowych użyli Francuzi, ale okazało się, że to Niemcy udoskonalili broń chemiczną w laboratoriach firm, które istnieją do dziś, choćby Bayer czy Henkel. Pociski i granaty gazowe były przez Niemców znakowane zielonym lub żółtym krzyżykiem.

Zielony oznaczał gaz bezwonny i bezbarwny, czyli fosgen, który z łatwością przedostawał się do płuc, dusząc swoją ofiarę. Po śmierci ciało denata nabierało charakterystycznego zielonkawego koloru.

Żółtym krzyżykiem oznaczano broń znacznie efektywniejszą w działaniu, zwaną iperytem, od nazwy miejscowości, w której został użyty. Inna jego nazwa to gaz musztardowy, gdyż wydziela on charakterystyczny, przypominający musztardę zapach. Ulepszone wersje były pozbawione tej woni. Iperyty działał na ofiary zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz, zżerając równocześnie skórę, płuca, oskrzela i błonę śluzową. Ostatecznie ofiara wypluwała płuca, a jej skóra była wypalona aż do kości. Była to dość długa agonía, przesycona niewyobrażalnym bólem. Strach wywołany ewentualnością użycia iperytu był tak wielki, iż żołnierze na samą myśl o jego zastosowaniu wpadali w panikę. Będąc w tak ciężkim szoku, nie mogli działać racjonalnie i stawali się łatwym łupem snajperów. Uznaje się, iż więcej ludzi zginęło w wyniku panicznego strachu przed użyciem broni chemicznej niż od jej faktycznego użycia. Na niewielu zachowanych zdjęciach z I wojny światowej widać żołnierzy z zakrytymi oczami, którzy oślepli w wyniku porażenia bronią gazową.

Nocą z 12 na 13 lipca 1917 roku Niemcy po raz pierwszy użyli iperytu. Żołnierze angielscy nie znali wtedy jeszcze tego rodzaju broni. Zgłaszali się po kilku godzinach do swoich dowódców z czerwonymi plamami na skórze. Po wielu godzinach mieli wypalone oczy i przezartą do kości skórę.

W ostatnim roku wojny broń chemiczna stanowiła aż 25% wszystkich użytych rodzajów broni, w tym wystrzelonych pocisków, używanych na wszystkich frontach i po obu stronach barykady. Prym w produkcji broni nadal wiodły Niemcy.

Tunele i okopy

Typową strategią wojenną w rejonie Ieper było budowanie podziemnych tuneli w celu prowadzenia podsłuchów lub podkładania ładunków wybuchowych. To żmudna i karkołomna praca, wymagająca specjalistycznej wiedzy. Do budowy tuneli alianci wykorzystywali specjalistów sprowadzanych aż z Australii. Alianci wybudowali 24 długie tunele, sytuując na ich końcach

wolną przestrzeń, w której umieszczano tysiące kilogramów ładunków wybuchowych. Kopanie tunelu trudno było utrzymać w tajemnicy. Szpiegzy wrogiego obozu obserwowali każdy ruch. Nie sposób ukryć świeżo wykopanej ziemi, różniącej się kolorem od gleby powierzchniowej. Na terenie Flandrii znajdują się niemałe złoża niebieskiej gliny. Wydobyta na powierzchnię zdradzała przeciwnikowi plan ataku. Działano z wielką ostrożnością i sprytem. Gdy alianci kopali swoje tunele, Niemcy w tym samym czasie drążyli swoje kanały podsłuchowe.

Latem 1917 roku wojska brytyjskie wysadziły równocześnie 19 bomb głębinowych w okolicach wsi Mesen. Łącznie zużyto 500 tysięcy kilogramów materiałów wybuchowych, a tąpnięcie było tak silne, że fala eksplozji odczuwana była po drugiej stronie kanału La Manche. Wybuch zdziesiątkował jednak nie tylko wojska nieprzyjaciela, lecz także samych aliantów.

Podobnie rzecz miała się koło wsi Wijtschate. Tutaj, w bardzo charakterystycznym miejscu – na pagórku, gdzie przez 300 lat, aż do wkroczenia wojsk niemieckich, stał wiatrak – Niemcy usytuowali swoje strategiczne stanowisko. Dzięki niemu mieli duży obszar pod ostrzałem. Alianci wybudowali pod nim tunel, który łącznie liczył 521 metrów długości, a praca nad nim trwała około pół roku. Ich ładunki wybuchowe odpaliły, raniąc po równo wroga i sprzymierzeńca. Na skutek wybuchu powstał tu krater, który zapełnił się wodą. Dziś to miejsce nazywane jest z angielska *The Pool of Peace* (Basen pokoju) lub po flamandzku *Spanbroekmolenkrater* (Krater młyński).

Adolf Hitler

Swoją karierę wojskową w Ypres Salient rozpoczął też pewien młody kapral. Odrzucony przez komisję lekarską, nie dostał się do armii austriackiej. Udał się więc do Bawarii, gdzie został przydzielony do 16 Pułku Bawarskiej Rezerwy Piechoty. Był tam kurierem pomiędzy zapleczem a przednią linią frontu w Bayerwald. Jest to fragment zalesionego wzgórza w okolicach Ieper,

ostatnia przeszkoda dla wojsk niemieckich w drodze do kanału La Manche. Nieco na północ od Ieper, w okolicach wsi Diksmuide, żołnierze niemieccy ugrzęźli w błocie po tym, jak Belgowie otworzyli śluzy i podtopili poldery wokół rzeki Ijzer. Już w listopadzie 1914 roku podczas walki pod Ieper Hitler został lekko ranny w głowę i od tej pory do końca życia nosił zawsze fryzurę zaczesaną na lewą stronę, by ukryć ranę. Jego dowódca, który postanowił odznaczyć go Krzyżem Żelaznym II klasy, zmarł następnego dnia. Hitler otrzymał tę odznakę dopiero dużo później, na podstawie świadectwa złożonego przez jego towarzysza broni Hugo Guttmana. Otrzymał order Hitler nosił do końca życia. Paradoksem jest, że sam Guttman był Żydem i w czasie prześladowań nazistowskich w roku 1936 zmuszony był emigrować do Ameryki. Można zatem stwierdzić, iż pierwszy znaczący awans wojskowy Hitler otrzymał dzięki wstawieniu przedstawiciela narodu żydowskiego. Najbardziej znacząca część *Mein Kampf* opisuje doświadczenia Hitlera zdobyte w okopach Ieper.

Codziennosc w okopie

Tutaj wielkim heroizmem jest przeżyć, zachowując choćby resztkę ludzkich odruchów i choć minimalnie dbając o higienę. W tej wojnie front przesuwa się nieznacznie. W okopach żołnierze spędzają długie miesiące, toczeni panicznym strachem, chorobami i niedożywieniem. Trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Każdy nieostrożny ruch, zapalenie papierosa, podniesienie głosu może zdradzić wrogowi pozycję i posłać na szybką śmierć. Tu o losie bitwy przesądza nie tyle zaplecze gospodarcze i techniczne, co wytrzymałość psychiczna żołnierzy.

Okoliczny teren jest jałowy, pozbawiony wszelkiej roślinności. To bardzo chaotyczne miejsce, w którym odłamki pocisków, ruiny, drut kolczasty, ranni, zwłoki ludzkie i zwierzęce mieszają się ze sobą. To istne piekło. Na pierwszej linii frontu nie ma szans na grzebanie zwłok. Wydobycie się z okopu może

skutkować utratą życia, jeśli zostanie się wypatrzonym przez snajpera. Erich Maria Remarque walki w okopach Flandrii opisuje w swojej słynnej powieści *Na Zachodzie bez zmian*. Remarque trafił na front pod Ieper, gdy miał zaledwie 18 lat. Nie był jedyny. Większość żołnierzy walczących w okopach to jego rówieśnicy, namawiani przez nauczycieli do wyruszania na front. Musieli bardzo szybko dorosnąć, by ze zwykłych nastolatków przekształcić się w żołnierzy walczących w koszmarnych warunkach. Remarque mówi o sobie, że należy do pokolenia, „którego pierwszym zawodem było robienie trupów”.

Flamandzki autor Johan Meire w książce *De Stilte van de Saliant: herinneringen aan de Eerste Wereldoorlog rond Ieper* pisze o monotonii oczekiwania w okopach:

Najbardziej zauważalną i symptomatyczną sytuacją w okopach nie była ofensywa, lecz długie, monotonne okresy pasywności – pełni pasji żołnierze nie mogli zrobić nic innego, jak tylko czekać lub być postrzelonym.

Meire opisuje także wielką różnicę w aktywności żołnierzy podczas dnia i nocy:

Dzień i noc kontrastują ze sobą niewyobrażalnie, lecz w sposób przeciwstawny do kontrastu dnia i nocy spoza strefy wojny. Dzień zazwyczaj upływał na oczekiwaniu, a także na czytaniu, pisaniu listów, odswawianiu ubrań, spaniu – relatywnym zapomnianiu o tym, że jest się na froncie; noc była bardzo aktywna, pracowita, ruchliwa. Ciemność nocy była używana do kopania tuneli, tropienia przeciwnika, transportowania broni. Przemiana nocy w dzień lub dnia w noc odbywała się poprzez rodzaj rytuału zwanego „stand to”. O wschodzie i zachodzie słońca stały w gotowości duże grupy żołnierzy, ponieważ większość ataków odbywała się właśnie wtedy.

Atak przerywał monotonię dnia. Zazwyczaj był poprzedzony pociskami artyleryjskimi, a później zapadała chwila ciszy:

Żołnierze modlili się, wszyscy kładli na ziemi swoje pieniądze, aby po ataku rozdzielić je między tych, którzy przeżyją, lub wymieniali się adresami, by w przypadku ewentualnych „złych wiadomości” towarzysze broni mogli zawiadomić rodzinę nie tylko poprzez zimny, oficjalny telegram. Niektórzy gorączkowo pisali jeszcze listy do rodziny, wiedząc, że ten może być ostatni. 10 minut przed atakiem wśród Brytyjczyków serwowano ekstra porcję rumu.

Ernst Jünger, w niezapomnianej książce *W stalowych burzach* nakreśla emocje towarzyszące stawaniu do walki na froncie I wojny światowej:

Z niedowierzającą nabożnością wsłuchiwalismy się w powolny takt walcowni frontu, melodii, do której będzie nam dane przywyknąć w ciągu długich lat. W dali, na tle szarego grudniowego nieba, rozpyłyła się biała pęczka szrapnela. Wionął ku nam oddech walki, wypełniając nas osobliwym drżeniem. Czy przeczuwalismy, że niemal wszyscy zginiemy – jeden wcześniej, inny później – w dniach, gdy głuchy pomruk przejdzie w ryk nieustannego grzmotu? Wyszliśmy z uczelni, szkół, warsztatów, by w trakcie kilku tygodni szkolenia stopić się w jedno wielkie, wypełnione entuzjazmem ciało. Potomkowie epoki stabilności, tęskniliśmy za czymś niezwykłym, za wielkim niebezpieczeństwem. Wtedy to porwała nas wojna jak rausz. Ruszaliśmy w deszczu kwiatów, róże i tętniąca krew wprawiała nas w nastrój upojenia. Wojna wszak musiała nam to dać: wielkość, moc, odświętność. Marzył nam się męski czyn, radosny bój strzelców na kwietnych łąkach zroszonych krwią. Najpiękniejsza ze wszystkich to śmierć.

Euforia towarzysząca akcji natarcia jest u Meire'a ściśle powiązana ze strachem, a skala emocji jest tak wielka, iż trudno dokładnie uchwycić w słowach, co dokładnie dzieje się w człowieku w tym skrajnym momencie:

Każdy żołnierz w jednej chwili postawiony był w ekstremalnie bezbronnej pozycji. Strach, że nagle zostanie się narażonym na śmiertelną kulę, i kompletny chaos następującego zaraz po tym biegu ku linii frontu powodują, iż pozostaje niewiele wspomnień. Pobudzenie i strach przy rzeczywistym ataku były tak wielkie, że atak był doświadczany jako coś poza czasem, w stanie pustki, która sprawia, że wspomnienia są trudne do uchwycenia, nie mówiąc już o próbie zrozumienia tego doświadczenia. To było pierwsze doświadczenie kompletnej abstrakcji: uczucie, że człowiek już nie kieruje swoim ciałem i ruchem, ale że jest prowadzony zewnętrzną siłą. (...) Ponadto atak może być doświadczany jako rodzaj euforii, coś, czym można się rozkoszować. Transowy pośpiech, w którym postrzeganie rzeczywistości krzyżuje się z wyobraźnią i wspomnieniami i jest gwałtownie zatrzymane przez widok zwłok.

Ziemia w okopach odzyskuje prymarny wymiar symboliczny – matki, żywicielki i obrończyni uciśnionych. Remarque tak to nakreśla:

Dla nikogo ziemia nie znaczy tyle, co dla żołnierza. Kiedy tuli się do niej długo i mocno, kiedy w śmiertelnym łęku przed ogniem wciska się w nią głęboko, twarzą i kończynami, ona to staje się jedynym przyjacielem, bratem, matką, w jej milczeniu i w jej zacisze wyjąkuje swój strach i swoje krzyki, a ona je przyjmuje.

Także czas płynie inaczej. Żołnierze odliczają liczbę dni przesiedzianych w okopach. Zapominają stopniowo, jaki jest dzień tygodnia, miesiąca. Jeśli dostaną wiadomość o planowanej przepustce, odliczają dni do momentu, w którym w końcu będą mogli opuścić to piekło.

Żaden żołnierz nie przebywał bez przerwy na pierwszej linii frontu dłużej niż dwa tygodnie. To miejsce zwane „linią śmierci”. Mniej wytrzymali psychicznie byli stąd relegowani już po pierwszym dniu. Żołnierzy posyłano do okopów pomocniczych,

następnie do rezerwowych. Później trafiali na tyły. Ranni szli do szpitala, o ile było to możliwe.

Stopa okopowa

Olbrzymim problemem było utrzymywanie w okopach higieny osobistej, zwłaszcza podczas chłodnych miesięcy. Belgia leży w klimacie umiarkowanym, ciepłym, morskim. Zima jest tu dużo łagodniejsza niż w Polsce. Temperatura rzadko spada poniżej zera. We Flandrii padają natomiast obfite deszcze, które zdarzają się o każdej porze roku. Dzieje się tak pod wpływem silnych prądów Morza Północnego oraz parującej i skraplającej się wody. Ulewne deszcze zdarzają się kilka razy dziennie, a w sezonie jesienno-zimowym mogą trwać nieprzerwanie nawet przez miesiąc. W tych warunkach sytuacja dla żołnierzy w okopach staje się tragiczna. Toaletę stanowiła prowizoryczna latryna, czyli przykryty deską dół w ziemi. Podczas ulewnych deszczy ekskrementy wylewały się wprost do dołów okopowych. Bywało, że żołnierze brodzili w nich po kolana lub po pas.

W czasie bitwy o Passendaele w 1917 roku wojska obu armii ugrzęzły w bagnach na trzy miesiące, nie mogąc w żaden sposób przesunąć linii frontu. Bitwa przetrwała w literaturze holenderskojęzycznej pod nazwą „piekła z gliny i ognia”. W sierpniu nastąpiło załamanie pogody i pojawiły się ulewne deszcze. Pół miliona aliantów i ćwierć miliona Niemców utonęło w bagnie Passendaele. Po trzech miesiącach walk Kanadyjczycy zdobyli ten teren, ale front przesunął się tylko o 10 kilometrów; wojska niemieckie odzyskały ten teren pół roku później. W bitwie tej uczestniczył także Adolf Hitler. Doczekała się ona także filmowej ekranizacji – w roku 2008 zespół filmowców z Kanady zrealizował film *Passendaele*, muzykę do niego skomponował Jan A.P. Kaczmarek.

W takich warunkach popularnym schorzeniem była stopa okopowa, czyli długotrwałe narażenie stóp na wilgotne i chłodne warunki. Opuchnięte i owrzodzone stopy są łatwym łupem

dla grzybicy, co prowadzi do gangreny. W higienicznych warunkach można to wyleczyć, lecz w warunkach polowych kończyło się to amputacją, by zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się infekcji. Jednym z obowiązków oficerów wszystkich armii było pilnowanie, by żołnierze suszyli swoją bieliznę. Plagą były też szczury, masowo uciekające ze zrujnowanych miasteczek i wsi w poszukiwaniu pożywienia. Wojskowi polowali na nie, urządzając swojego rodzaju podchody, lecz w miejsce jednego szczura pojawiały się dwa następne. Gryzonie potrafiły atakować nawet śpiących żołnierzy. Na swoich łapkach przenosiły bakterie i wirusy wielu chorób zakaźnych, takich jak tyfus lub salmonella.

Maki na polach Flandrii

W 1915 roku porucznik John McCrae, kanadyjski lekarz służący dla aliantów i zajmujący się opatrywaniem rannych po użyciu przez Niemców bomb i pocisków gazowych, pochował samodzielnie swojego najlepszego przyjaciela i towarzysza broni porucznika Alexisa Helmera. McCrae, poruszony widokiem zakwitających na polach bitwy czerwonych maków, napisał wiersz pod tytułem *In Flanders fields* (Na polach Flandrii), który stał się najpopularniejszym literackim odzwierciedleniem żałoby i traumy żołnierzy I wojny światowej. Wiersz początkowo nie przypadł mu do gustu. Zaraz po napisaniu wiersza McCrae zwinął zapisany zwitek papieru w kulkę i wyrzucił. Został on jednak odnaleziony przez innego oficera, który zmotywował McCrea do publikacji tekstu. Wiersz ukazał się w londyńskim czasopiśmie „Punch” w grudniu 1915 roku i natychmiast podbił serca brytyjskich czytelników. Niedługo po publikacji wiersza McCrea zmarł na zapalenie płuc, będące prawdopodobnie powikłaniem po zatruciu gazami bojowymi.

Wkrótce w zachodniej Europie symbolem I wojny światowej stały się jedwabne maki. Były sprzedawane na aukcjach charytatywnych mających na celu wspieranie ofiar Wielkiej Wojny.

Sprzedano około 9 milionów maków za kwotę równą dzisiaj 30 milionom funtów. Akcja charytatywna trwa do dziś, a zebrane środki przeznaczane są na utrzymanie cmentarzy i miejsc pamięci związanych z I wojną światową. Wiersz ten jest obowiązkowym tematem zajęć historycznych w krajach anglosaskich.

Mak, kojarzony w Polsce z bitwą o Monte Cassino, w zachodniej Europie jest symbolem pamięci i męczeńskiej śmierci ofiar I wojny światowej. Maki kwitną, gdy inne rośliny wokół są martwe. To pionierzy. Ich nasiona latami mogą czekać na dogodnie warunki do kiełkowania. Wybijają w górę, gdy gleba jest zanieczyszczona i zrujnowana. Ich kolor przypomina o krwi poległych, a czarne pręciki w środku kielicha kwiatu układają się w charakterystyczny znak krzyża.

We Flandrii każdego roku produkuje się dziesiątki milionów papierowych maków, które 11 listopada, w rocznicę zakończenia I wojny światowej, sprawiają, że miejsca pamięci wokół Ieper przybierają czerwony kolor. Do dziś wśród specjalistów zajmujących się I wojną światową trwają dysputy o sens tej wojny. Na pewno doświadczenia żołnierzy z okopów otworzyły pole do badań dotyczących traumy wojennej i kondycji psychiki w chwilach zagrożenia przekraczającego ludzkie zdolności adaptacji. W okopach I wojny światowej zginęło 35 milionów ludzi.

Post scriptum

Po kilku miesiącach mieszkania we Flandrii Zachodniej, gdy nie znałam jeszcze biegle języka, pracowałam jako artystka uliczna i wykonywałam etiudy pantomimiczne w pięknej Brugii. Gdy pewnego razu odpoczywałam, podszedł do mnie starszy pan, Flamand, pytając, skąd jestem. Gdy usłyszał moje sakramentalne „Z Polski, oczywiście”, wnet zaśpiewał *Mazurka Dąbrowskiego*, kalecząc słowa, lecz poprawnie intonując melodię. Widząc moją reakcję, rzekł: „Niech się pani nie dziwi – jestem z Ieper”.

BOGDAN GÓRALCZYK

Wielka żałoba

Na piątek 4 czerwca 1920 roku władze w Budapeszcie ogłosiły żałobę narodową. W stolicy i na obszarze całego kraju na niepracujących w tym dniu urzędach i budynkach publicznych flagi opuszczono do połowy masztu. Szkoły i sklepy, poza spożywczymi, zamknięto. Najważniejsze gazety ukazały się z czarnymi obwódkami. Wyglądały tego dnia jak nekrologi. Odwołano wszelkie koncerty i imprezy kulturalne oraz masowe. Zamiast nich były msze, przebiegające w ciszy demonstracje oraz skromne, choć podniosłe uroczystości o charakterze religijnym i państwowym.

Pogoda dopasowała się do nastroju chwili: było chłodno, ponuro, szaro, bez słońca. Nad ranem w stolicy padało, potem mżyło, przez cały dzień było po-chmurnie, a temperatura tego dnia nie przekroczyła 13 stopni. Zamiast początków lata powiało jesienią – tak jakby również Matka Natura żegnała najlepszą aurę w dziejach narodu węgierskiego, niedawny czas jego znakomitych zbiorów i wielkiej chwały.

Już o 8.30 rano na Placu Bohaterów w Budapeszcie, przed ustawionym w 1895 roku na tysiąclecie państwowości, a potem do 1910 roku powoli zapełnianym i prezentującym się dumnie do dziś panteonem węgierskich królów, zaczął zbierać się tłum. Był złożony głównie z uchodźców i uciekinierów z odległych stron, z pograniczy rozległego do niedawna państwa i Królestwa, któremu tego dnia przyszło żegnać się z blisko tysiącletnią, burzliwą, pełną (rzadkich) wzlotów i (częstszych) upadków historią spójności ziem i wymieszanego z innymi narodu. Zebrani dzierżyli napisy i transparenty: „Górne Węgry”, rozumiane jako dzisiejsza Słowacja, „Siedmiogród”, „Kraina Południowa”, czyli głównie dzisiejsza Wojwodina na terenie Serbii, chociaż też Chorwacja, do niedawna w unii personalnej z Królestwem Węgier. Powiewały one wśród narodowych i jeszcze częściej spotykanych czarnych flag.

Po godzinie z miejsca zbiórki tłum ruszył aleją Andrásyego, śpiewając na przemian hymn narodowy oraz pieśni patriotyczne, a niektórzy wykrzykiwali: „Precz z Ententą!”, „To nie pokój!”, „Sprawiedliwość dla Węgier!”, zyskując po-klask zebranych po obu stronach alei mieszkańców miasta, z których wielu dołączyło do maszerujących. Szli w kierunku centrum, ku bazylice św. Stefana, gdzie tuż po godzinie 10 rozpoczęła się okolicznościowa msza. Kulminację za-planowano dokładnie na tę godzinę, bo tak pierwotnie planowano uroczystość w Wersalu, którą jednak ostatecznie przeniesiono na popołudnie. Przyjętego harmonogramu w Budapeszcie i na terenie całego kraju jednak nie zmieniono.

Zanim msza się zaczęła, tak jak wcześniej zaplanowano, stały tramwaje, a na pięć minut nawet wszystkie pociągi w kraju oraz statki na Dunaju, natomiast w stolicy zabrzmiały wszystkie dzwony. Uroczystości religijne odbyły się nie tylko w katolickiej bazylice, ale też w pobliskim kościele luterańskim na placu Deáka, w kalwińskim przy placu Kalvina oraz unickim przy ulicy Hold (Księżycowej). O tej samej porze specjalną mszę koncelebrovano również w kościele akademickim, u wejścia do obecnego Uniwersytetu ELTE, w obecności rektora Aladára Ballagiego oraz całego kolegium rektorskiego i dziekańskiego.

Prowadzący mszę w bazylice pod nieobecność chorego biskupa Istvána Zadravecza opat Kálmán Kovács mówił w kazaniu do zebranych: „żyjemy w bezkresnym morzu bólu i nie wiemy, czy zatrzymamy się już tutaj, czy też dalej będziemy podążali tą bolesną ścieżką”. Kapłan dawał jednak nadzieję: „Pokażemy, że chcemy żyć i żyć będziemy. Nie zgorzknienie i nie nienawiść wiodą nas, gdyż wierzymy w odrodzenie, lepszą przyszłość, w którą z pomocą boską nieustannie ufamy”. Tu też na zakończenie zebrani w bazylice odśpiewali hymn.

Po mszy jej uczestnicy ruszyli dalej krętymi ulicami miasta, udając się aż pod odległy, położony nad Dunajem, stojący tam i dziś pomnik narodowego poety Sándora Petőfiego. Tam raz jeszcze odśpiewano hymn, ogłoszono kilka patriotycznych mów – i dopiero potem zgromadzenie rozwiązano. Gdy rozchodzono się do domów, z podniosłego nastroju zebranego tłumu

pozostał indywidualny smutek, rozgoryczenie i żal. Każdy doskonale wiedział, jak dużo tego dnia Węgrzy stracili, choć mało kto zdawał sobie w tamtej chwili sprawę z tego, czym to się zakończy i do czego ten złowieszczy wówczas traktat z Trianon doprowadzi.

W tym samym czasie, gdy tłumy ruszyły z Bazyliki, o 11.05 zebrało się Zgromadzenie Narodowe. Podczas tego posiedzenia parlamentu głos zabrał jedynie jego przewodniczący, reprezentujący komitat Veszprém, István Rakovszky. Odczytał tylko, przy głosach aprobaty z sali i rzadkich okrzykach niezadowolenia, krótkie oświadczenie w imieniu zebranych parlamentarzystów. Wypowiedział gorzkie, ale jakże prorocze słowa:

W dniu dzisiejszym Węgry znalazły się w historycznym punkcie zwrotnym. Dziś podpisany zostanie układ pokojowy, który oznacza rozdrobnienie naszego tysiącletniego państwa. Nazywają traktatem pokojowym to, co nie gwarantuje wiecznego pokoju, lecz wieczny niepokój (*Właśnie, właśnie* – głosy z sali), nie gwarantuje spokoju, lecz wieczny niepokój (*Właśnie, właśnie* – głosy z sali).

Mówca zaznaczył, że „pod przymusem ten tzw. układ pokojowy podpiszemy”, ale od razu dodał, że

nikogo nie można przymusić do czegoś, co jest niewykonalne. Albowiem ten traktat zarówno w sensie moralnym, jak materialnym zawiera takie niemożliwe do spełnienia warunki (*tak jest, tak jest!* – słychać z całej sali), których spełnić się nie da (*Nie da, nie da* – słychać z sali).

Przewodniczący parlamentu wspomniał jeszcze o „dniu żałoby” i zwrócił się nie tyle do zebranych w sali, ile do wszystkich Węgrów, „którzy dziś są od nas odcinani: po tysiącletnim wspólnym życiu i losie musimy się rozejść, ale nie na zawsze! (Z sali: *Nie na zawsze! Nigdy!*)”. Posiedzenie trwało krótko, a prowadzący obrady, powołując się na „nadzwyczajne okoliczności tego

dnia”, przy aprobacie zebranych, przeniósł posiedzenie na dzień następny.

Nadzwyczajne okoliczności tego tragicznego dla Węgier dnia w rzeczywistości nadeszły dopiero po godzinie 16, kiedy to dwaj delegaci tego państwa, w istocie przymuszeni do tej roli, bo nikt z wcześniejszych negocjatorów nie chciał wziąć na siebie takiego odium, minister pracy i opieki socjalnej Ágost Bernard oraz ambasador Alfréd Dreschler-Lázár w obecności przedstawicieli 22 państw reprezentujących zwycięską Ententą w pałacu Grand Trianon, budynku wybudowanym przez króla Ludwika XIV na terenie ogrodów wersalskich, podpisali składający się z aż 364 artykułów traktat pokojowy. Dyktował on przegranym Węgom straszliwe warunki: na rzecz Rumunii traciły one obszar 103 093 km² i 5 257 467 ludności, na rzecz Czechosłowacji 61 633 km² i 3 517 568 ludności, na rzecz Królestwa Serbii, Chorwacji i Słowenii (nie było jeszcze Jugosławii) 20 551 km² oraz 1 509 295 ludności, a na drobne ustępstwa Węgrzy zostali zmuszeni jeszcze pójść wobec Austrii w Burgenlandzie (4020 km²), Włoch i nawet Polski (dwie wioski w Spiszu, zamieszkałe przez 230 osoby).

Kraj, który do wojny liczył 282 870 km², został okrojony o 189 907 km² i zmniejszył się do rozmiarów 92 963 km², natomiast z szacowanej na 18 mln 264 tys. ludności stracił ponad 10 mln 649 tys. (z czego ponad 30 proc. to byli rodowici Węgrzy) i zmniejszył się ludnościowo do zaledwie 7 615 117 osób. Natomiast gdyby liczyć to wszystko jeszcze z Chorwacją, która do I wojny światowej znajdowała się w unii personalnej i pewnej podległości wobec Budapesztu (w mniejszym stopniu Wiednia), to wtedy obszar państwa wynosiłby 325 411 km², a w takim rozumieniu kraj tracił dwie trzecie terytorium i niemal trzy czwarte ludności.

Na podstawie tych decyzji 3,227 mln Węgrów znalazło się w diasporze w państwach ościennych. Na mocy tego jednego aktu, podyktowanego przez wielkie mocarstwa i zwanego traktatem pokojowym, Węgrzy, którzy na terenie Siedmiogrodu oraz dzisiejszej Słowacji byli posiadaczami ziemskimi i zamieszkiwali

głównie miasta, zamienili się rolami: z dotychczas uprzywilejowanych, zamienili się w sekowaną mniejszość.

Poprzednią, tak piękną dla Madziarów, epokę plastycznie opisywał podróżujący po tych terenach Włoch Claudio Magris:

Większość panów zamieszkujących te posiadłości stanowili Węgrzy. Dla słowackich chłopów pozostawały *drevenice*, chaty lub małe domy z desek, połączonych słomą i suchym nawozem. W zamku Oravský Podzámok, w dolinie Orawy, na jednym z obrazów widnieje Celsissimus Princeps Nicolaus Esterházy, o bladej karnacji i pulchnych dłoniach, gdy tymczasem ręce chłopka z leżącej u podnóża zamku wioski dziś jeszcze są barwy ziemi, wysuszone i sęcate niczym korzenie drzew, torujące sobie drogę pośród kamieni. Różnica w wyglądzie owych dłoni jest symbolem losów tych ludzi; przez wieki Słowacy byli ludem ignorowanym, nieznanym substratem i tkanką swego kraju, podobnym owej słomie i suchemu nawozowi, które spajają *drevenice*”.

Dotychczasowi panowie i posiadacze ziemscy utracili swoje majątki, nato-miast państwo straciło prawdziwe perły swojej państwowości, mówiące o świetności dawnej Korony, jak bogaty Kolozsvár (Cluj-Napoca; Kluż-Napoka), przez lata stolica i siedziba węgierskiego parlamentu Pozsony, czyli Bratysława, ważne centra mieszczańskie, jak chociażby z taką pieczołowitością opisywana przez wywodzącego się z niej wybitnego pisarza Sándora Máraiego Kassa, czyli Koszyce, lub Arad czy Temesvár (Timișoara) w Siedmiogrodzie; tym Siedmiogrodzie, który w czasach tureckiego jarzma (1541–1687) był ostoją węgierskiej kultury i w jakiejś mierze także kontynuacją i ostoją państwowości.

Trianon wymienia się jednym tchem obok klęski z Turkami pod Mohaczem (1526) jako największą tragedię w całych dziejach państwa i narodu. Ten ponury dla Węgier akt po jego podpisaniu i ratyfikacji na długie lata stał się podstawowym punktem odniesienia nie tylko w rządowej propagandzie, ale przede wszystkim oświacie oraz dyplomacji państwa. W oczach

rzządzających po 1920 roku stał się symbolem tragicznych losów narodu, „węgierską Kalwarią” i „smutnym przystankiem na węgierskiej drodze krzyżowej”, „wielkim cmentarzyskiem wspa- niałości narodu”. Węgry rozebrano, czy wręcz poćwiartowano, jak twierdzono w dominującym po Trianon nurcie rządowej polityki i propagandy, a kraj popadł w stan, który nazywam na potrzeby tej książki Węgierskim Syndromem. Na czym polegał, czy polega? Jak go definiować?

Państwu z wielkimi ambicjami, o bogatej kulturze, przed wielką wojną w rozkwicie, zwycięskie mocarstwa podyktowały w Trianon warunki porównywane do dawnych rozbiorów Polski (przynajmniej do czasów istnienia Księstwa Warszawskiego), a u siebie – powtórzmy, bo to ważne – z klęską pod Mohaczem. Wywołano narodową traumę, pogłębiając poczucie osamotnienia, wynikające z jednej strony z unikatowego (niektórzy mówią: sierocego), hermetycznego języka, a teraz z kolei z racji dyktatu ze strony ówczesnych wielkich mocarstw.

Ogromne ambicje i potencjał zderzyły się z brutalnymi realiami. Dotychczasową dumę i wielkość zamknięto w małej, jak na Węgrów, szkatułce, a na dodatek rozsypano ich w diasporze po krajach ościennych. Kraj wielki, jak na europejskie rozmiary, ze stolicą światowego formatu i jej imperialną architekturą, zamieniono w mało znaczącego liliputa, z czym praktycznie żaden Węgier się nie godził i nie godzi. Stąd blisko do drugiej strony tego zwierciadła: poczucia krzywdy, rozgoryczenia, chęci rewanżu prowadzących do nacjonalizmu oraz poszukiwania za wszelką cenę, bez względu na rozsądek, rozwiązań mających przynieść zmianę tego niepożądanego stanu.

A że sąsiedzi myślą na ten temat dokładnie odwrotnie, a wielkie mocarstwa zrobiły swoje i już się nieszczęściem Węgrów nie interesują? To jeszcze bardziej pogłębia u Madziarów poczucie krzywdy i przygnębienia, budzi złość lub apatię na pograniczu zbiorowej psychozy, która tylko czeka na hasło lub polityka gotowego, cynicznie lub pragmatycznie, po ten wielki drzemiący w Węgrach potencjał niezadowolenia sięgnąć. To jest struna, na której można dużo ugrać. To jest tonacja, którą poza Węgrami

trudno zrozumieć. Bo jak pojąć ukute jeszcze za tureckiego jarzma i do dziś popularne powiedzenie, niedawno przypominane w popularnym utworze przez ikonę węgierskiej popularnej piosenki, Zsuzsę Koncz: *Sirva vigad a magyar* – „Węgier cieszy się, płacząc”?

Trianon to otwarta rana, która krwawi. Nic dziwnego, że w języku potocznym pojawiło się irredentystyczne z natury powiedzenie, w użyciu do dziś: „Nie jest prawdziwym Węgrem ten, którego nie boli Trianon”. Odtąd na wszystkich uroczystościach wołano: „Nie, nie, nigdy!” oraz „Okrojone Węgry to nie kraj, Wielkie Węgry to raj”. Natomiast dzieci w szkołach rozpoczynały lekcje od takiego oto „wyznania wiary”, napisanego przez panią Elemérné Papp-Váry (Szerenę Sziklai), „dziewczynę z oderwanej Górnej Prowincji” (czyli Słowacji) w specjalnie rozpisany konkursie na temat utraconych ziem. Tekst ten został szybko nazwany w języku potocznym jako „odwieczna Boska prawda” dla Węgrów i zadekretowany jako obowiązkowy w szkołach już w końcu 1920 roku przez ówczesnego ministra oświaty:

Wierzę w Boga i w Ojczyznę
W wieczne prawdy trwanie
Wierzę w Węgrów zmartwychwstanie
Amen!

Wiersz nagrodzony w konkursie był znacznie dłuższy, liczył łącznie aż 15 zwrotek, ale jako „wyznanie wiary” trafił do urzędów i na oficjalne uroczystości tylko w tej pierwszej, przytoczonej powyżej wersji. Na symbol wystarczyło. Ma rację wywodzący się z Węgier, od 1957 roku żyjący w Austrii Paul Lendvai, pisząc: „Trianon był szokiem, z którego Węgrzy – bez względu na poszczególne postawy polityczne – w zasadzie do dzisiaj się nie otrząsnęli”. Ponownie, jak pod tureckim jarzmem, kraj wszedł w okres *smuty* i zbiorowej neurozy, był nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie poobijany, a zarówno elity, jak i cały naród pożyły rewanzu, i w żadnej mierze nie

chciały pogodzić się z tym, co się stało. Gniew dotyczył sąsiadów, przede wszystkim Rumunów, Serbów i Słowaków (z Czechami włącznie, a może jeszcze bardziej), ale w niemniejszym stopniu wielkich mocarstw, Francji i Anglii (w tej właśnie kolejności), które Trianon podyktowały. A w ten sposób droga w objęcia również niepokorzonych z końcowymi warunkami wojny Niemców była otwarta. Nawet nie trzeba było długo czekać, by tzw. siły rewanżystowskie wobec wojennych zwycięzców otwarcie weszły na scenę i gdzie tylko się dało, jednoczyły szereg.

Ta niełatwa historia powinna być opowiedziana i należycie zanalizowana, albowiem najpierw złe własne polityczne wybory w okresie Monarchii, a potem nieposkromiona chęć rewanżu po wojennej klęsce zaprowadziły Węgry w objęcia Mussoliniego i Hitlera. W efekcie po II wojnie światowej doszło do powtórki Trianon, podyktowanej raz jeszcze w 1947 roku w Paryżu.

W epoce międzywojennej, utożsamianej z admirałem Miklósem Horthym, rządzącym, a raczej panującym w latach 1920–1944, mocno okaleczony przez mocarstwa kraj żądał tylko jednego – rewanżu. Tak bardzo nie godził się ze swym losem, podyktowanym w pałacu Grand Trianon, że łatwo raz jeszcze po-padł w nacjonalistyczną pułapkę – ponownie miał kłopoty z mniejszościami, które wcześniej gnębił lub negował ich racje. Tyle, że po Trianon na okrojonych Węgrzech praktycznie nie było ich wiele, więc wtedy, także z przyczyn ideowych i ideologicznych, doszło do starcia z innym „obcym”, nie do końca przekonany do narzucanego wówczas odgórnie kanonu, opartego na wartościach chrześcijańskich i narodowych, czyli wyznawcami judaizmu. Powodów, duchowych i materialnych, tych uprzedzeń było więcej, ale bezpośrednio wiązały się z krótkim, ale bolesnym i traumatycznym doświadczeniem Węgierskiej Republiki Rad (1919), w której władzach dominowali przedstawiciele narodowości żydowskiej. To zwarcie z kolei doprowadziło do ustaw antyżydowskich, praktycznego stosowania u siebie wykluczających zasad *numerus clausus* i wreszcie w 1944 roku ludobójstwa i Holocaustu, w dużej mierze we własnym, a nie tylko niemieckim wydaniu.

Oparta na żądzy rewanzu, rewizjonizmie i powiązanim z nimi nacjonalizmie oraz na zrozumiałej nostalgii za straconą wspaniałą epoką, a tym samym tradycjonalistyczna i konserwatywna, a przy tym w elitach pyszna („węgierski barok”), zaś wśród ludu dość siermiężna („trzy miliony biedaków”), epoka Horthyego w ogóle była dziwna i trudna do zrozumienia, jeśli patrzy się na nią z zewnątrz. No bo jak zrozumieć monarchię bez króla, rządzoną przez admirała w państwie bez dostępu do morza? Dobrze ten stan odzwierciedla zachowana w amerykańskich archiwach pachnąca anegdotą wymiana zdań, kiedy prezydent Franklin Delano Roosevelt po zaangażowaniu się nieznanym mu Węgier, ciągle z nazwy królestwa, w wojnę wzywa do siebie specjalizującego się w regionie doradcę i pyta:

FDR: Jak się nazywa król?

Doradca: Węgry nie mają króla.

FDR: To kto nimi rządzi?

Doradca: Regent, admirał Miklós Horthy.

FDR: Admirał? Więc mają potężną flotę?

Doradca: Nie mają floty. Nie mają nawet dostępu do morza.

FDR: Wojny często toczą się z przyczyn religijnych. Jaka tam panuje religia?

Doradca: Katolicyzm, panie prezydencie. Ale admirał Horthy jest protestantem.

FDR: Może więc ten admirał wypowiedział nam wojnę z powodu roszczeń terytorialnych?

Doradca: Węgry mają roszczenia terytorialne wobec Rumunii.

Nic dziwnego, że takich Węgier nikt nie rozumiał i nie rozumiał, nie tylko ze względu na hermetyczny język. Rewanżyzm zaprowadził je w objęcia Hitlera, więc II wojnę też sromotnie przegrały. A mocarstwa ponownie podyktowały im twarde warunki. Nie można było jednak nic na ten temat przez dekady powiedzieć, bo Węgry wpadły w sowiecką orbitę, a tam obowiązywała formuła „internacjonalistycznego braterstwa”, także z Rumunami czy Czecho-Słowakami. Niemal do przełomu

1989 roku temat Trianon był objęty politycznym i publicznym tabu. Po przełomie i zmianie systemu pojawił się ponownie w dyskursie publicznym, ale w natłoku wyzwań i wydarzeń systemowej transformacji początkowo nie trafił do głównego nurtu. Mimo wielkiej historycznej traumy, o której naturalnie pamiętano, było jednak wiele innych, bardziej palących zagadnień na porządku dnia.

Dopiero premier Viktor Orbán, gdy wiosną 2010 roku objął w kraju niepodzielną władzę, wrócił – z całą mocą i otwarcie wyrażaną polityczną wolą – do tego tak bolesnego zagadnienia. Jak bolesnego? – O tym właśnie będzie traktowała ta książka: o wielkiej narodowej traumie i jej konsekwencjach; o rozdartej węgierskiej duszy i poszatkowanym przez wielkich tego świata narodzie; o klęsce sprzed stu lat, z którą trudno się pogodzić do dziś, bo przecież, to już wiemy, „nie jest prawdziwym Węgrem ten, którego nie boli Trianon”.

Syndrom Trianon powrócił. Co ze sobą przyniesie? Jakie da efekty? Jak go dzisiaj ujmować i rozumieć? No i czy da udręczonemu narodowi węgierskiemu prawdziwe ukojenie, czy wręcz przeciwnie, znów wpędzi go w ślepy zaułek i spór z sąsiadami oraz wielkimi tego świata, jak już niejednokrotnie bywało? Innymi słowy: czy grozi Węgrom i ich charyzmatycznemu wodzowi (to lepsze, bardziej adekwatne pojęcie niż premier) Viktorowi Orbánowi powtórka z historii?

Wiele jest tych pytań, co tylko dowodzi, jak ważny to temat, poza Węgrami jednak stanowczo zbyt mało znany i rozumiany. Może przynajmniej w Polsce, która przecież doświadczyła rozbiorów przez państwa ościenne, akurat ta tematyka znajdzie empatię i zrozumienie? Ale nawet jeśli tak będzie, to od razu trzeba zaznaczyć, że w stosunku do Trianon, w przeciwieństwie do powszechnej negacji rozbiorów Polski, aż takiej jednolitości poglądów na scenie międzynarodowej nigdy nie było. Wystarczy spytać Słowaka, Rumuna, Serba czy Chorwata, by się o tym mocno przekonać. Węgrzy mają swoje „prawdy”, oni swoje, a jedne do drugich w żaden sposób nie przystają. Narracja węgierska nie pokrywa się z czeską czy słowacką, podobnie

jak z rumuńską, chorwacką czy serbską. Tu nie ma jednej powszechnie uzgodnionej prawdy i raczej jej nie będzie. Opowiadane więc są i będą nieco różne historie, każda z nieco innymi bohaterami.

Ta praca pisana jest jednak z perspektywy węgierskiej i w oparciu przede wszystkim o węgierskie źródła, u nas w zdecydowanej większości nieznane, ni-gdy nietłumaczone. Z góry należy więc prosić o wybaczenie Czechów, Słowaków, Rumunów i innych węgierskich sąsiadów, że ich prawdy są albo niedocenione, albo przeoczone. Na łamach tej pracy podjęta będzie bowiem próba spojrzenia na Trianon od wewnątrz, z węgierskiej perspektywy. Nie jest jej celem czy zamiarem pisanie powszechnej historii tych ziem.

Taki zamysł, by patrzeć na tę kwestię przede wszystkim „przez węgierskie okulary”, ma przy tym jeszcze jeden, jakże ważny, a na zewnątrz niemal nieznanymi wymiar. Chodzi o to, że, wbrew pozorom, podejście Węgrów do Trianon wcale nie jest takie jednolite, jakby się wydawało. Inne jest na terenie samych Węgier, a nieco inne w diasporze, co przecież po tylu latach i dekadach (stuleciu) rozłąki musi być oczywiste i zrozumiałe. Ale na to nakładają się jeszcze, wcale nie mniejsze, różnice ideowe, religijne czy światopoglądowe: jedni chcą „Węgier dla Węgrów”, a inni opowiadają się za wielokulturowością i otwartymi granicami, jakkolwiek je rozumiemy. Nacjonalizmy różnej maści, chcąc nie chcąc, także stają się jednym z lejtmotywów tej pracy.

Trzeba bowiem już na samym wstępie założyć i przyjąć, że tak jak nikt z Węgrów nie kwestionuje surowości dyktatu z 4 czerwca 1920 roku, tak zarówno co do jego przyczyn i powodów, jak w nie mniejszym stopniu jego skutków i konsekwencji w tamtejszej historiografii, życiu publicznym i politycznym do dziś trwa zażarty i ciągle otwarty spór. Nie da się tego podstawowego faktu zanegować, nawet jeśli został on w ostatnich latach, po 2010 roku, wyraźnie przykryty przez oficjalne stanowisko władz, w tym zakrojone na wielką skalę uroczystości rocznicowe stulecia Trianon. Jedni uznają to podejście za słuszne, inni za mniej słuszne, a nawet błędne.

To tylko jeszcze jeden dowód na postawioną już wyżej tezę, że Trianon to temat ciągle żywy, a tym samym znakomicie nadający się do wykorzystania dla własnych celów politycznych, a bynajmniej nie tylko do podniosłych celebracji lub symbolicznych aktów. Ujmując krótko: Trianon nawet w sto lat po jego podpisaniu to temat nadal aktualny, czy się to komu podoba, czy nie.

Prezentowany tekst jest początkowym fragmentem książki Bogdana Góralczyka *Węgierski syndrom: Triannon* (Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2020). Za jego udostępnienie dziękujemy autorowi oraz wydawcy.

MATEUSZ ŻABOKLIKI

Jabłonna, czyli Przyczynek do aksjomatyki zbioru dobrze uporządkowanego

Dramatem niniejszym rządzi logika. Logika ta jest jednak logiką snu, logiką gorączki, która na przemian nasila się i słabnie. W centrum wydarzeń dramatycznych znajduje się gorączkujący Alfred. W konsekwencji choroby płynnie przemieszcza się pomiędzy prawdziwymi miejscami a światem snu. Wśród otaczających go postaci są zarówno prawdziwe osoby, jak i nierealne widma. Wśród osób realnych zaś – zarówno faktycznie przebywające razem z nim w obozie dla internowanych, jak i ożywiane ze wspomnień lub wrózone z przyszłości. W konsekwencji sam Alfred raz ma lat dziewiętnaście, raz dwanaście, a jeszcze innym razem sześćdziesiąt.

Centrum dla oscylujących czasów i miejsc akcji stanowi barak szpitalny przy obozie dla internowanych w Jabłonie, działającym od szesnastego sierpnia do dziesiątego września 1920 roku. Inne wydarzenia mają miejsce w Warszawie roku 1913, w międzywojniu, a także w Berkeley w Kalifornii w latach powojennych.

W dramacie wykorzystałem dokumenty Wojska Polskiego z roku 1920 oraz fragment pism Józefa Piłsudskiego.

OSOBY

ALFRED Teitelbaum, dwunastoletni chłopiec; potem dziewiętnastoletni student filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej; później, już jako Alfred Tarski, światowej sławy filozof, zamieszkały w Berkeley w Kalifornii, jeden z najważniejszych logików w historii świata

WACEK, sześciolatek, chłopiec; brat Alfreda

MAKS, dziewiętnastoletni student filozofii, ochotnik

LEKARZ sztabowy

RÓŻA, sanitariuszka

AKADEMIK, wykładowca spoza Warszawy
CZESŁAW Miłosz, pięćdziesięcioletni poeta na emigracji w Kalifornii
OJCIEC Alfreda i Wacka, Józef Teitelbaum
LEŚNIEWSKI, Stanisław, filozof, promotor doktoratu Alfreda
EMIL, ochotnik
ŻOŁNIERZ polski
NILUS, nienawistna bestia, upiór nieśmiertelny, który ukazuje się Alfredowi
MARS, bóg wojny, który przemawia w imieniu dowództw, dowódców, ministrów i ministerstw

I

W tle rytmiczne uderzenia kolbą karabinu w plecy. Krzyk bólu.

MARS

MARS Bitwa dziś rozpoczęta pod Warszawą i Modlinem decydować będzie o losach dalszych całej Polski! Albo rozbijemy zupełnie dzicz bolszewicką i udaremnimy tym samym zamach sowiecki na niepodległość Ojczyzny i byt Narodu, albo ciężka niedola i nowe jarzmo czeka nas wszystkich bez wyjątku. Pomni tradycji rycerskich polskich stanęli dziś wszyscy chłopci, robotnicy i cała inteligencja do tej walki na śmierć i życie. Niech wszyscy wiedzą, że...

RÓŻA, ALFRED (19), NILUS

RÓŻA Zamieniam się w słuch.

ALFRED (19) Zbiór dobrze uporządkowany, siostró, to taki, w którym da się wskazać element pierwszy dla każdego niepróżnego podzbioru.

NILUS Nudzisz...

ALFRED Na przykład liczby siedem, dwa i zero. To jest zbiór dobrze uporządkowany.

RÓŻA Albo wojsko.

ALFRED Albo wojsko. Tak. Tu zawsze wiadomo, kto jest pierwszy.

NILUS I kto jest ostatni.

Uderzenia i krzyki ustają.

EMIL, ŻOŁNIERZ

EMIL Aua! Przestań! Proszę!

ŻOŁNIERZ Leżeć! Będziesz grzeczny?

WACEK, ALFRED (12)

WACEK Nie!

ALFRED (12) Wacek!

WACEK Nie! Chodźmy lepiej na mostek! Do kaczek! Do kaczek!

ALFRED Ależ ty mnie męczysz dziś.

WACEK Proszę!

ALFRED Dobrze. Pójdziemy. Na chwilę.

WACEK Tak!

ALFRED Kwadrans i wracamy do domu.

WACEK Dobrze! O! Patrz! Ale grają!

Knajpiana kapela gra Je cherche après Titine Léona Daniderffa.

ALFRED Czas leci, mały. Zostanie mniej na kaczki.

WACEK Alfred?

ALFRED Mhm?

WACEK Ja już wiem, kim chcę zostać.

ALFRED Znowu?

WACEK Ale teraz to już tak na pewno.

ALFRED Kim zatem?

WACEK Prawnikiem!

CHŁOPAK 1, CHŁOPAK 2, NILUS

CHŁOPAK 1 Chyba trawnikiem!

CHŁOPAK 2 Pejsiątko chce zostać jurist!

CHŁOPAK 1 Mecenasa Ajwaj!

CHŁOPAK 2 Dokąd to się wybieracie?

CHŁOPAK 1 Czekaj. Koleka pita, dokond sze wypieracze.

CHŁOPAK 2 Mowę wam odebrało, Żydki? Patrz na mnie, jak do ciebie mówię, brudny Żydku!

CHŁOPAK 1 Zatkę kakełę? Chybaście się, Żydki, zgubiły. Tu jest porządna okolica. Ale nie martwcie się. Jak was dobrze w dupę kopnąć, to zaraz będziecie w domu. Tylko powiedzcie, gdzie mierzyć. Na Nalewki?

CHŁOPAK 2 Od razu do Palestyny, jak dasz radę!

WACEK Ale my mieszkamy...

ALFRED Cicho, Wacuś. Biegnij do domu. Ojcu powiedz, że poszedłem do biblioteki.

WACEK Aua!

ALFRED Puść go.

CHŁOPAK 1 Puść go, niech biegnie.

CHŁOPAK 1 Tylko ojcu nic nie mów!

CHŁOPAK 2 Niech się Reb Icek nic nie dowie. No, to zostaliśmy sami. Słusznie.

NILUS Słusznie, niech nie mówi. Po co staremu Teitelbaumowi zaprzętać głowę! Prawda, Teitelbaum? Prawda, Żydzie? Wiemy, wiemy. Ty wciąż się łudzisz, że ci się uda! Taki jesteś polski! Taki polski! Nic z tego, Żydku! Choćbyś się cały w polską flagę owinął, to nic to nie da! My cię i tak znajdziemy, Teitelbaum! Choćbyś sobie przyszył na powrót napletek, to my cię i tak wywężymy! Możesz do woli...

ALFRED Mój ojciec...

NILUS Co? Co tam mamroczesz? Kadysz?

ALFRED Mój ojciec ma na imię Józef.

NILUS Oj! Mój Boże! Jak ty kłamiesz dzielnie!

ALFRED Mój ojciec... ma na imię Józef! Mój ojciec ma na imię Józef!

MAKS, ALFRED (19), RÓŻA

MAKS Obudź się, Alf! To ja!

ALFRED (19) Mój ojciec...

MAKS Już, już!

ALFRED Ma... tak... imię... tak... Józef... tak... Jezu....

MAKS Nie odpuszcza ci ta gorączka, Farciarzu.

ALFRED Tak, przepraszam cię. Cześć, Maks!

MAKS No, ale nie wstawaj! Nie wstawaj.

ALFRED Znowu coś gadałem, prawda?

MAKS Tak, ale nic strasznego. Po prostu bardzo ochoczo przypominałeś mi, jak ma na imię twój ojciec.

ALFRED Mój ojciec.

MAKS A ja naprawdę wiem, jak twój ojciec ma na imię. Ba! Ja wiem też, jak miał na imię ojciec twojego ojca. I jego wuj jak miał na imię. Ja wiem nawet, jak ten wuj raz uniknął śmierci i jak wygrał krowę w karty od carskiego oficera, a potem tę krowę zgubił. Ja wiem nawet, jak ta krowa miała na imię, Alf, bo – pozwól, że ci przypomnę – jak się z tobą umówiłem w maju u ciebie, to zastałem tylko szanownego papę twojego, bo tyś się potężnie zaczytał w bibliotece. I bym się pewnie dowiedział, jak się nazywał i kogo ogrywał w karty ojciec tej krowy, gdybyś się nie pojawił jak gdyby nigdy nic półtorej godziny później, kochany.

ALFRED A ty co tu robisz?

MAKS Jak to co? Zdrowieję.

ALFRED Znowu? Maks...

MAKS Co ty sugerujesz? Alf, przecież ty sam wiesz najlepiej, że ja nie jestem do końca zdrowy.

ALFRED W końcu przestaną ci wierzyć.

MAKS Dobrze, dobrze. Ja ci tu chciałem zaproponować kulturalny przegląd prasy krajowej, a ty mnie witasz insynuacjami!

ALFRED Wybacz, Maks. Tak, przegląd prasy.

MAKS Co sobie życzysz na początek? „Pobudkę”? „Folks-Cajtung”? „Walkę”?

ALFRED Masz „Robotnika”?

MAKS Mam. Może być. Ale zaczniemy od ogłoszeń!

ALFRED Dobrze.

MAKS O, proszę. „Świerzba i swędzenie skóry usuwa w ciągu pięciu dni Krem Mukuna. Posiadając kolor masła, nie plami ubrań”.

ALFRED Pod warunkiem, że masz ubrania koloru masła.

MAKS „Lekarz-dentysta F. Mindel powróciła!”

ALFRED Ekscytująco! W którym kinie to grają? O, „kupię hotel”.

MAKS Na mnie nie patrz. Ja mojego nie sprzedam! Nigdy!

ALFRED Dobra, dobra, daj coś z frontów.

MAKS Z frontów-srontów. Same sukcesy przecież. Nie trzeba czytać. Ja ci sam powiem. Od kiedy polska armia stała się tak polska, jak jeszcze nigdy dotąd – same sukcesy. Czego się spodziewasz? Ty się naprawdę cały czas jeszcze nie obraziłeś na tę wojnę?

ALFRED To nieporozumienie, którego dyskomfort odczuwamy, a do którego pijesz...

MAKS Ładne! Nieporozumienie!

ALFRED To – uprę się jednak – nieporozumienie trwa póki co dwa tygodnie. Nie wyciągam po prostu pochopnych wniosków. Lada dzień się wszystko wyjaśni. Przepraszam i tyle. Po bólu.

MAKS Takiego! Już widzę, jak przepraszam. Może to pierwszy raz, jak muszą się tłumaczyć! Mają ci praktykę! Zdajesz sobie sprawę, Alf, że to już zostanie na zawsze?

ALFRED Co zostanie na zawsze?

MAKS To wszystko. Za sto lat będą jeszcze pisali, że Sosnkowski uratował Europę przed bolszewizmem, bo w przeddzień bitwy odesłał wszystkich Żydów na wywczas. Zobaczysz! To znaczy zobaczyć nie zobaczysz, ale tak będzie, mówię ci! Bo wiesz co? Świat się może i zmieni, owszem. Może suchot za sto lat nie będzie. I koklusu. Może głodu nie będzie, Alf, i może nawet biedy nie będzie. Ale kurjery warszawskie będą zawsze. I to wszystko, ten obóz, to że tu jesteśmy, zapewnia takim jak oni pożywkę na wieki. I czyja to wina?

ALFRED Ja nie mówię, że nasze wojsko jest bez grzechu, Maks. Ale innego nie mamy!

MAKS Ale moglibyśmy mieć.

ALFRED Daj spokój!

MAKS To jest realna opcja, Alf. Tylko przypominam.

ALFRED Ja nigdzie się nie ruszam. Ty zresztą też tak tylko gadasz.

MAKS Alf, partia się oczyściła! Był rozłam. Trzy tygodnie temu we Wiedniu na zjeździe wyrzucili bolszewików. Teraz możesz być jednocześnie syjonista, socjalista i antybolszewik.

ALFRED Lepiej mów ciszej.

MAKS Sam widzisz! Tobie też tu nie jest bezpiecznie...

ALFRED Bo to nie jest tak, że ja się oszukuję, Maks. To tylko tobie się wydaje, że się oszukuję. Bo nie jestem panikarz. A ty też tak tylko gadasz! Po polsku zresztą. I to ładnie.

MAKS Ja pana mówię zupełnie z powagą, panie Teitelbaum, nie z żartem!

ALFRED To czemu właściwie biegasz z polskim karabinem, zamiast zasuwać z motyką w grochowskim kibucu? Pomyliło ci się?

MAKS Alf, popatrz na te rączki? Ja i kibuc?

Gwizdek i niewyraźne komendy.

MAKS Cholera! Zdrowiej!

ALFRED A, to taki jesteś rekonwalescent!

MAKS Smacznie śpię u siebie przecież, nigdzie mnie nie było. W ogóle nawet z Tobą teraz nie rozmawiam. Leż sobie!

ALFRED Niemożliwy jesteś. Wariat kochany.

RÓŻA Dla kogo tyle czułości?

ALFRED O! Dzień dobry!

RÓŻA Niech pan nie wstaje. Dzień dobry. Kto taki kochany?

ALFRED Nikt. To znaczy... oczywiście Naczelnny Wódz oczywiście! A teraz to i Marszałek!

RÓŻA Że wariat?

ALFRED Co też pani mówi! Naczelnny wódz wariat? Przecież oni gotowi zaraz osadzić tu panią razem z nami.

RÓŻA Dobrze, dobrze, panie Alfredzie. Z twarzy pańskiej zgaduję, że noc nie najlepsza.

ALFRED Niech mnie pani nie kusi, bo zacznę narzekać i zrobię się jeszcze mniej atrakcyjny.

RÓŻA Zmierzymy ciśnienie. Rękaw.
ALFRED Wedle życzenia.

Dźwięki mierzenia ciśnienia.

LEŚNIEWSKI, ALFRED (22), NILUS

LEŚNIEWSKI Dobrze! To panu pomoże! Wie pan, panie Alfredzie, to panu pomoże naprawdę. Ale żeby było jasne. To nie o mnie chodzi. Ja oczywiście wiem, z jakiej pan jest rodziny, jakie ma pan zaplecze. Ale to ja to wiem, profesor Kotarbiński to wie, profesor Łukasiewicz to wie. Ale nie wszyscy to wiedzą, proszę pana, że pan jest właściwie Polak. Dlatego pochwalam taką decyzję. Czy wolno mi spytać, jakie to będzie nazwisko?

ALFRED (22) Tarski.

NILUS Teitelbaum.

LEŚNIEWSKI Świetnie. Doskonale. Proszę koniecznie dopełnić wszystkich formalności przed złożeniem pracy.

NILUS Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum.

ALFRED Oczywiście.

NILUS Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum, Teitelbaum...

Rytmiczne uderzenia kolbą karabinu w plecy. Krzyki bólu.

MARS

MARS Bitwa dziś rozpoczęta pod Warszawą i Modlinem decydować będzie o losach dalszych całej Polski! Albo rozbijemy zupełnie dzicz bolszewicką i udaremnimy tym samym zamach sowiecki na niepodległość Ojczyzny i byt Narodu, albo ciężka niedola i nowe jarzmo czeka nas wszystkich bez wyjątku. Pomni tradycji rycerskich polskich stanęli dziś wszyscy...

RÓŻA, ALFRED (19), NILUS

RÓŻA Słucham uważnie.

ALFRED (19) Zadaniem, które przed nami stoi, jest ustalenie kryterium poprzedniości. Musimy mieć jasność, który element zbioru jest pierwszy, czyli taki, który jest w relacji pierwszeństwa wobec każdego z pozostałych elementów zbioru.

NILUS Żydzie, nuda...

ALFRED To jest proste dla zbiorów liczb całkowitych. Na przykład liczby trzysta czternaście, czterysta sześć i siedemset dwadzieścia. To jest zbiór dobrze uporządkowany.

RÓŻA Albo dla wojska.

ALFRED Tak. Tu zawsze wiadomo, kto jest pierwszy...

WSZYSCY ...i kto jest ostatni.

II

Uderzenia kolbą karabinu w plecy i okrzyki bólu trwają dalej.

MARS

MARS Pozostawienie tak znacznej ilości żołnierzy-Żydów w Warszawie w chwili kiedy wróg stał u wrót stolicy, Ministerstwo Spraw Wojskowych uważało ze względów czysto-wojskowych za szkodliwe. Ministerstwo, występując z odpowiednim wnioskiem, miało jedynie na uwadze cele wojskowo-defensywne, nie kierowało się natomiast żadnymi względami natury politycznej czy religijnej.

EMIL, ŻOŁNIERZ

EMIL Aua! Przestań! Proszę!

ŻOŁNIERZ Leżeć! Będziesz już grzeczny, Żydku? Co?

EMIL A!

ŻOŁNIERZ (*w rytm ciosów*) Bę-dziesz grzecz-ny? Co?

Koniec uderzeń i krzyków.

LEKARZ, ALFRED (19), RÓŻA, NILUS

LEKARZ Siostrze.

ALFRED Panie kapitanie.

RÓŻA Niech pan leży, panie Alfredzie, na Boga!

LEKARZ Przykro patrzeć, siostrze, jak medycyna blokuje naturalne, zdrowe odruchy u pacjenta. Żołnierz widzi przełożonego i ma zdrowy odruch wstać. A to nie takie oczywiste w jego przypadku.

RÓŻA Jeśli ma pan uwagi dotyczące jakości wypełnianych przeze mnie obowiązków służbowych, proszę kierować je bezpośrednio do dowództwa mojego plutonu.

LEKARZ Ależ skąd, siostrze! Skąd! Rozumiem, że dziś szeregowy kwalifikuje się do wypisu.

RÓŻA Jesteśmy, jak był pan kapitan łaskaw przeoczyć, w trakcie badania. Niemniej już teraz mogę pana kapitana zapewnić, że następną dobę szeregowy powinien spędzić na obserwacji.

LEKARZ Obawiam się, siostrze, że przebywanie w otoczeniu wrogiego żywiołu może wpływać niekorzystnie na trzeźwość oceny. Proszę mieć to na uwadze. Niektórzy oszustwo mają w krwi. Na zgubny wpływ pewnych zjawisk szczególnie narażona jest kobieta. Proszę nie wahać się zwrócić do mnie, jeśli poczuje się pani...

RÓŻA Dziękuję, kapitanie. Proszę pozwolić mi pracować dalej.

LEKARZ Oczywiście, siostrze.

NILUS Oczywiście, Teitelbaum, że pozwolimy siostrze pracować dalej. Bałamuć ją dalej, Żydzie. Ale nie myśl, że będziemy milczeli. Zadręczymy cię i wygnamy. I zawsze cię znajdziemy.

Szum i stukot pociągu.

ALFRED, MAKS, EMIL

EMIL Czołem! Emil jestem. Siedźcie, siedźcie!

ALFRED Alfred.

MAKS Maksymilian.

EMIL No, pięknie!

MAKS Co pięknie?

EMIL Pięknie nas rodzice ponazywali, nie ma co.

MAKS Przepraszam?

EMIL No, od razu kompletne spolszczenie, co nie?

ALFRED Do czego kolega zmierza?

EMIL Tak się śmieję tylko. Koledzy studenci?

ALFRED Owszem.

EMIL Niech zgadnę... filozofia!

MAKS Aż tak widać?

EMIL Siedzicie tacy smętni, troszkę z góry patrzycie. Żart. Pod-
słuchiwałem was. Mniejsza. Zachęcam was do wspólnej obser-
wacji. Rozejrzyjmy się po naszym wagonie. Zachęcam kolegów.
No. I co?

ALFRED I co „i co”?

EMIL Żadnych ciekawych spostrzeżeń?

MAKS Nie jesteśmy ślepi.

EMIL Skoro tak, to co? Jakies wnioski?

ALFRED Nie zapominałbym o tym, że nie jest to rzecz zupeł-
nie nieprawdopodobna.

EMIL Słucham?

ALFRED To wciąż może tak po prostu wyjść. Przypadkiem.
Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

EMIL Racja, racja. Pewnie. Zawieśmy sąd, zawieśmy sąd. Od-
wiesimy go kiedy indziej.

Odgłosy kolejowe ustają.

RÓŻA, ALFRED, NILUS

RÓŻA Niech się pan tak nie patrzy. Przywykłam. Spływa to po mnie. Gwiżdżę na to.

ALFRED Oczywiście. Tak tylko sobie myślę.

RÓŻA Co pan sobie takiego myśli?

ALFRED Okoliczności obecne pozwalałam sobie traktować, w przeciwieństwie do wielu moich kolegów, jako haniebny wyjątek. Dlatego udaje mi się utrzymać w mocy wrażenie, że – en général – pogarda wobec Żydów jest u nas w złym guście. Natomiast kobietę uważać za słabszą, za gorszą – nie tylko uchodzi płazem, ale stanowi wręcz punkt honoru.

RÓŻA Aha, taką ma pan obserwację. Wnioski?

ALFRED Właśnie! Czytałem, że Żydzi w Polsce mieszkają od trzynastego wieku. Wychodzi na to, że kobiety przyjechały tu w wiekach późniejszych. Może pani wie, za jakiego króla kobiety osiedliły się nad Wisłą?

RÓŻA Bardzo jest pan dowcipny. Ale nie zdrowieje pan od tego.

ALFRED I dobrze. Jak akurat nie gorączkuję, to mam dużo czasu na pracę.

RÓŻA Nad czym pan pracuje?

ALFRED Och! Nad pracą z logiki.

RÓŻA O! Chętnie posłucham.

ALFRED To nie tak łatwo zrozumieć!

RÓŻA Postaram się.

ALFRED Musiałbym zacząć od wytłumaczenia ogólnych założeń teorii mnogości.

RÓŻA Dobrze, rozumiem, jestem za głupia. Proszę brać jedną co cztery godziny.

ALFRED Ależ to nie tak!

NILUS A jak, parchu? O! O właśnie! Za to właśnie was nienawidzimy. Znacie wy, oj, znacie teorię mnogości. Mnożyć to się umiecie. Jest was tylko coraz więcej i czujecie się tylko coraz lepiej. Naród wybrany, psia wasza mać! Za to właśnie was nienawidzimy i za to was zgładzimy. Teitelbaum!

ALFRED Precz!

NILUS Teitelbaum!
ALFRED Precz!
NILUS Teitelbaum!
ALFRED Co?
NILUS Jajco!

III

Znowu uderzenia i krzyki.

MARS

MARS Sama myśl o wcieleniu Żydów do oddziałów szturmowych jest tylko gorzką ironią. Żołnierz-Żyd – wieczny łazik i mal-kontent wszelkimi drogami prawemi i nieprawemi uchylający się od pełnienia służby – nie może być obdarzony przez swych dowódców zaufaniem. Nie jest sekretem dla nikogo, iż źródłem wszystkich częstokroć wywoływanych przez wojsko ekscesów, są Żydzi, agitujący przeciwko Wojsku Polskiemu i wzywający żołnierzy do nieposłuszeństwa.

Uderzenia kolbą karabinu w plecy ustają.

EMIL, ŻOŁNIERZ

EMIL Aua! Przestań! Proszę!
ŻOŁNIERZ Leżeć! Będziesz grzeczny, Żydku?

WACEK

WACEK Nie!

Dźwięki bankietu. Orkiestra gra Je cherche après Titine.

AKADEMIK, ALFRED (30), NILUS

AKADEMIK Proszę mi powiedzieć, kim jest ten Teitelbaum, z którym pan pisał tamtą pracę?

ALFRED (30) Słucham?

AKADEMIK Ten artykuł z logistyki. Pan go pisał z jakimś Teitelbaumem. Co to za człowiek? Wykłada dziś u was?

ALFRED Pan żartuje?

AKADEMIK Przepraszam?

ALFRED To ja jestem Teitelbaum!

NILUS Wiem przecież, Żydku brudny. Wiem. Zgubiłeś się, Żydku. To nie jest kraj dla ciebie. To nie jest kariera dla ciebie. Zgubiłeś się, Żydku. To jest dobra dzielnica. Ale nic się nie bój. Jak cię dobrze w dupę kopnąć, to zaraz będziesz w domu.

ALFRED, NILUS, MAKS

ALFRED (19) A jak się postarać...

NILUS Co?

ALFRED ...to od razu w Palestynie.

MAKS W jakiej Palestynie, Alf? Ja już nie o tym.

ALFRED Maks?

MAKS Maks, maks. Ale ty leż!

ALFRED Co jest?

MAKS Alf, ślemy do posła Grünbauma kolejny list.

ALFRED Ale po co, Maks? Przecież już tu był, już widział, już poskarżył się, już obiecali, że zamkną. Cierpliwości, ludzie!

MAKS Alf! Wczoraj w nocy dowieźli jakie cztery setki chłopa. I co?

ALFRED O czym piszecie?

MAKS O pobiciu Emila.

ALFRED Mało to się żołnierze biją w wojsku?

MAKS Alfred! Ty tak serio?

ALFRED Ja znam Emila, ty znasz Emila. Dostał kolbę w zębra, to fakt. Ale pobicie?

MAKS I usłyszał, że następnym razem go zabiją.

ALFRED No tak, to mu taki list pomoże na pewno.

MAKS Ty masz krótką pamięć, jak na filozofa in spe, Alfred, więc ci ją spieszę odświeżyć. Początek naszego pobytu tutaj: przez pierwsze półtora dnia, pozwól, że ci przypomnę, plaster słoniny. Pamiętasz?

ALFRED Pamiętam. Maks...

MAKS A pamiętasz, jak się zgłosiłeś nazajutrz, jak pytali, który inteligent? I ja też się zgłosiłem. Jak nas wziął tamten poprzedni do kuchni i kazał sprzątać, pamiętasz? A jak spytałeś o szmaty, to kazał się rozebrać do naga, mówiąc, że to są nasze szmaty? Pamiętasz?

ALFRED Pamiętam...

MAKS A pamiętasz, ile kosztowało, żebyśmy nie musieli tego robić? Pamiętasz? Ile ci zostało jeszcze marek, Alf? Na ile godności ci jeszcze starczy?

NILUS Właśnie, Żydzie.

ALFRED Co?

NILUS Ile masz jeszcze złota? Ile jeszcze banków za tobą stoi? Ile papierów? Na jaki procent? Ile weksli? Gadaj, Żydzie!

ALFRED (23), OJCIEC

ALFRED (23) Tato?

OJCIEC Tak?

ALFRED Nie będę cię zwodzić. Muszę cię znowu prosić o pieniądze.

OJCIEC Oj, Alfred. Starego Tarskiego nie możesz poprosić o pieniądze?

ALFRED Tato...

OJCIEC Drocę się z tobą, synku. Chodź tu, chodź. Drocę się z tobą tylko. Nie potrzebujesz się martwić. Drocę się. Żarty. Żarty...

IV

Uderzenia kolbą karabinu w plecy i krzyk bólu.

MARS

MARS Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rznąła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop w takt wściekłego galopa nakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczonych figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary.

EMIL, ŻOŁNIERZ

EMIL Aua! Przestań! Proszę!

ŻOŁNIERZ Leżeć! Będziesz już grzeczny, Żydku? Co?

CZESŁAW, ALFRED (60)

CZESŁAW Czy wolno mi jeszcze spytać o tamten obóz w Jabłonnie? Przepraszam, że wracam do tego, ale zdaje pan sobie sprawę, że milczy się na ten temat powszechnie?

ALFRED (60) Oczywiście. Jeśli tylko sobie pan życzy.

CZESŁAW Ile dni was tam trzymali?

ALFRED Niedługo. Dwa, trzy tygodnie. Wypuścili w początku września, a dzień po Wniebowzięciu nas wzięli.

CZESŁAW Was jednak nie do nieba.

ALFRED Tak...

CZESŁAW To wielki wstyd. Nie rozumiem, po co...

ALFRED Panie Czesławie, ale czy jest o czym mówić? Trzydzieści lat później zobaczyliśmy gorsze rzeczy. Taki tam obozisk w obliczu Zagłady? Pan, zdaje się, powinien już biec na wykład. Amerykanie nie znają akademickiego kwadransa!

CZESŁAW Oczywiście, oczywiście. Dziękuję. Będę szedł.

ALFRED Tak. Widzimy się w czwartek.

CZESŁAW Tak. Do widzenia.

ALFRED Śpiewaliśmy.

CZESŁAW Przepraszam?

ALFRED Pamięta pan *Titinę*?

CZESŁAW Piosenkę?

ALFRED Tak... „Ten wąsik, ach, ten wąsik”, prawda?

CZESŁAW Pamiętam.

ALFRED To na tę melodię śpiewaliśmy.

CZESŁAW Co takiego?

ALFRED „Jabłonna, ach, Jabłonna, nadzieja nasza płonna...”

CZESŁAW Pan też śpiewał?

ALFRED Studenci panu uciekną.

Ciosy ustają.

ŻOŁNIERZ

ŻOŁNIERZ Ej, wstawaj! No już! Hej... O kurwa...

MAKS, ALFRED (19), NILUS

MAKS Jak tak kochasz to wojsko, Alf, to ty pierwszy powinie-
neś pisać skargi.

ALFRED Fakt, jeśli tylko nie zależy mi na tym, żeby kogoś
ukarano.

MAKS Jak to?

ALFRED Na biurku dowódcy garnizonu to będzie za trzy dni.
On kopie wyśle do dogenu, dogen mu odpisze, co dalej. To będą
już dwa tygodnie. Jak dobrze pójdzie, to wyśle kopię do Mi-
nisterstwa, kopię do Naczelnego Dowództwa i kopię do Rady.
Przy dobrych wiatrach trzy i pół tygodnia. Tam będzie kolejka
spraw. Optymistyczny scenariusz, który i tak zakłada, że za-
czną śledztwo, jest taki, że Oddział Naczelnej Kontroli zbada
sprawę w ciągu dwóch miesięcy. Następnie materiał zostanie

przekazany do Sądu. I przy najpomyślniejszych wiatrach i niemożliwym szczęściu sąd uzna winnego winnym za około trzy miesiące. Czyli dokładnie w momencie, kiedy czyn karygodny żołnierza polskiego ulega przedawnieniu.

MAKS Sukinsyny. A ty taki jesteś spokojny?

ALFRED Czemuż nie? To się stać musi: za dwadzieścia dwie godziny spadnie mi głowa z karku i – czy będę ryczał, czy się cieszył z tego – sąd mi nie doda nawet godziny życia.

MAKS Co ty pieprzysz, Alfred?

NILUS Oj, Żydzie...

ALFRED Ja chcę używać życia jeszcze w te ostatnie dwadzieścia dwie godziny...

MAKS Alfred!

ALFRED Czekaj pan! Lepiej baranią pieczeń! Albo karbonadę z wieprza...

MAKS Cholera... Siostró! Alfred!

ALFRED I chciałbym zagrać ostatnią partyjkę w skata!

MAKS Siostró! Ratunku!

Chrapanie

LEKARZ, RÓŻA

LEKARZ Mam nadzieję, że wyrażam się jasno. Tego typu wypadki mają prawo się zdarzać, a my mamy obowiązek właśnie jako wypadki je kwalifikować.

RÓŻA Wyraża się pan jasno, kapitanie.

LEKARZ Siostró.

ALFRED (19), EMIL

ALFRED Kto tu?

Chrapanie

ALFRED Halo?

Chrapanie

EMIL (*budzi się; spod prześcieradła*) To ja.

ALFRED Co?

EMIL (*spod prześcieradła*) To ja!

ALFRED Emil?

EMIL Emil, Emil. A kto? Chodź tu, Alfred, ściągnij mi to z twarzy.

ALFRED Co tu robisz? Jezus Maria! Ale cię urządzili...

EMIL No widzisz. List mi nie zdążył zaszkodzić, list mi nie zdążył pomóc.

ALFRED Może ci jeszcze zaszkodzić.

EMIL Niby jak? Co zapowiedział, to zrobił. Chyba nie chciał, ale zrobił.

ALFRED Co masz na myśli?

EMIL Ech... niby filozof, a taki głupi! Dotknij mnie.

ALFRED Emil, co ty?

EMIL Dotknij mnie, Alfred.

ALFRED Jezus!

EMIL No, niestety nie każdy martwy Żyd ma tyle szczęścia, co Jezus. Ja za trzy dni będę, obawiam się, w tym samym położeniu.

ALFRED To gorączka. Tak. Zżera mi zmysły. Spokojnie.

EMIL Fakt. Nie mogę jednocześnie być trup i gadać. Tu masz słuszność. To gorączka. Ale w sumie to skąd masz mieć pewność, że mnie naprawdę nie zabili, że nie leżę tu milczący i już zaczynam się psuć tuż pod twoim filozoficznym i – choćbyś nie wiem jak się starał – żydowskim nosem. Skąd pewność?

ALFRED Nie... nic... wracam spać.

EMIL A może cały czas śpisz?

ALFRED Co?

EMIL Może cały czas śpisz w gorączce. Może wszystko Ci się śni? Może w ogóle nie ma żadnego obozu? Może w ogóle nie ma żadnej wojny? Może w ogóle nie jesteś Żydem? Może w ogóle nie ma Żydów? Pomyślałeś o tym, Alfred? A ty mówisz, że wracasz spać. Jeśli być może, że nie przestałeś spać, to dokąd wracasz?

ALFRED Nie będę dyskutował z trupem, który mi się przyśnił.

EMIL Nie no, pewnie, pewnie. Alfred... ja wiem, że ty nie chcesz zbyt mocno potępić tego wszystkiego, Alfred. Ja chciałbym, żebyś wiedział, że to rozumiem, że nie mam żalu. Nie mam pretensji.

Alfred płacze.

EMIL Mógłbyś z łaski swojej zakryć mnie znowu tym prześcieradłem? Chciałbym się wczuwać już powolutku. Alfred? Halo! Alfred? Ty płaczesz? Już, już, kochany. Nic takiego. Mało to się żołnierze w wojsku biją?

NILUS, ALFRED (19), RÓŻA, WACEK

NILUS O, to, to! Słuchaj dybuka, Teitelbaum! Mądrze ci dybuk gada.

ALFRED Precz, bestio!

RÓŻA Rozumiem, jestem za głupia.

ALFRED To nie tak!

WACEK Ale my mieszkamy tu! Przy Koszykowej!

ALFRED Cicho!

RÓŻA Niech pan nie wstaje!

ALFRED A właśnie wstanę!

WACEK Nasza mama to Róża, ale dziadek mówi do niej Rachela.

ALFRED Cicho, Wacuś!

WACEK Nasz tata to Józef, ale jak się urodził, to był Izaak.

ALFRED Cicho! Zamknij się! Zamknij się, Żydzie!

NILUS No proszę! No proszę.

WACEK Alfred? Ja już wiem, kim chcę zostać.

MARS

MARS Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rznąła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop w takt wściekłego galopa nakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać

się na żadnej z tańczonych figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary.

EMIL, MAKS, ALFRED (19)

EMIL Słuchajcie, słuchajcie! Siadajcie!

MAKS Alf, chodź! Zobacz, co Emil wymyślił!

ALFRED Skąd on wytrzasnął tę bandzolkę?

EMIL (*śpiewa na melodię Je cherche après Titine*)

Raz zechciał pewien Polak młody,
imieniem Icek albo Szmul,
wojennej podjąć się przygody,
bo patriotyczny uczuł ból.
Gdy przyszła bolszewicka groza,
Zaciągnął Icek się i Szmul.
Pozamykali ich w obozach,
sypnęli im na serca sól.
Dziś bez nich bitwa, łopot flag,
Dlatego dziś śpiewają tak:

Nadzieja nasza płonna,
Jabłonna, ach, Jabłonna!
Miał bolszewika pognać,
Musimy siedzieć tu.

Gdy bitwa wiekopomna,
Jabłonna, ach, Jabłonna!
Z kim w końcu jest ta wojna?
Kto w końcu jest nasz wróg?

Ajajajajaj aj aj!
Ajajajajaj aj aj!

Żołnierze podchwytyją refren.

MAKS, ALFRED, NILUS

MAKS Alfred?

ALFRED Mhm?

MAKS Ja już wiem, kim chcę zostać.

ALFRED Znowu?

MAKS Ale teraz to już tak naprawdę.

ALFRED No to powiedz. Kim chcesz zostać?

Śpiew cichnie.

Trzask rozbijanej o ziemię bandzoli.

KONIEC

STANISŁAW REMBEK

Dziennik 1918 (fragmenty)

1 listopada 1918 roku, piątek

Nie pisałem wczoraj dziennika, gdyż poszedłem spać dopiero po północy, gdyż musiałem rozlepić rozkaz polskiej organizacji wojskowej. Wstałem wczoraj o siódmej. W szkole były tylko dwie lekcje, bo na jednej godzinie było badanie lekarskie, a drugą mieliśmy wolną. Na badaniu okazało się, że mam 163 cm wzrostu, 61,9 kg wagi oraz 79 i 88 obwodu klatki piersiowej. Prócz tego 7 zepsutych zębów i chorobę skórnią. W domu zastałem Kazię, która przyjechała z Warszawy. Niedługo potem przyjechał wujek Boniński. Byłem u Wróblewskiego. Rozmawialiśmy trochę o szkole i o wojsku, a zresztą jak zwykle śmialiśmy się z „Kazia”. Wieczorem chciałem iść do kina, ale przyszedł do mnie obywatel Wichura z zawiadomieniem o zebraniu p. o. w. Musiałem jeszcze dwóch zawiadomić. Biegałem wśród nocy po deszczu i po takich wertepach, jak Szydłowska oraz Kaliska za przejazdem. O dziewiątej wieczorem przyszedłem do małej komórki za tunelem, gdzie nam rozdano wydrukowane rozkazy i garnuszki z klejem. Ja rozlepiąłem z Wichurą /Janusz Strzelecki/ na Kaliskiej, Bykowskiej, poprzecznych oraz na cmentarzach. Pobłociliśmy się, powalałem klajstrem, społem i ledwie o północy powróciłem do domu. Pokonaliśmy ponizienie... i zabiliśmy! zabiliśmy!

Dzisiaj wstałem mimo to o szóstej, gdyż chciałem oczyścić nieco palto i obejrzeć odezwy. Z wielką radością stwierdziłem, że odezwy jeszcze wisiały i że są czytane. Spotkałem się po lekcjach ze Strzeleckim i poszedłem z nim porządkować bibliotekę samopomocy. Potem poszedłem do ciotki Marchewczyńskiej. Rozmawiałem z nią trochę o p. o. w. i o walce, jaka wczoraj miała miejsce na towarowej stacji między żandarmami a milicją i robotnikami o zarekwirowane bydło. Cały dzień dzisiejszy

tlukłem się po kominkach. Byłem jeszcze u ciotki Stepińskiej, a w końcu poszedłem do Pani Choynowskiej, gdzie pani Rożanowicz ślicznie grała na pianinie. Rozmawiałem z nią o powstaniach polskich i o rewolucji rosyjskiej. Zamiast Jana Ortha mam teraz nowy pomysł o Spartakusie.

1 listopada, sobota

Wstałem o ósmej, bo chciałem się wyspać. Było mi nudno, więc poszedłem do ciotki Stepińskiej. Ode drzwi zawrócił mnie Faneł wiadomością, że na placu Bernardyńskim 100 pułk przysięga wierność Polsce. Poszedłem tam. Po drodze spotkałem Witolda Kacperskiego, który właśnie przybył z Łodzi. Spotkałiśmy jeszcze z ciotką Stepińską i Janką Kacperską z narzeczoną. Niedługo jednak odłączyłem się od tego towarzystwa, bo Pan Wróblewski prosił mnie, bym zawiadomił Tadka o przysiędze. Poszedłem z Balcerskim, na którego właśnie się natknąłem. Tadka Wróblewskiego także spotkałiśmy już w alei. Poszliśmy więc na plac. Tam okazało się jednak, że przysięgało tylko trochę legionistów. 100 pułk ma dopiero jutro przysięgać. Tymczasem wielu urzędników, oficerów i żołnierzy austriackich porzucało już bączki z czapek, a na ich miejsce poprzyczepiało bądź orzełki, bądź kokardki narodowe. Ludność i milicja strącała szyldy niemieckie. Z więzienia wypuszczano więźniów politycznych. Straż tam objęła milicja, ale już z karabinami. Wszędzie panowała wrzawa i tłumy kotłowały się po ulicach. Byłem u ciotki Marchewczyńskiej. Mówiło się o okupacji niemieckiej i o bolszewiźmie. Potem poszedłem z Witkiem odprowadzić wujka. Na placu Bernardyńskim stała kompania Węgrów. Dowiedziałem się o nakazanej zbiórce peowiaków. Mieliśmy na niej otrzymać karabiny i jakoby zaatakować wojska okupacyjne. Miałem jeszcze godzinę czasu, więc poszedłem do ciotki Marchewczyńskiej. Powiedziałem Witkowi o spodziewanym ataku. Nie bardzo się tym wzruszył, natomiast tyle dowcipkował i deklamował, że musiałem się śmiać, chociaż byłem bardzo

podniecony. Niedługo całe towarzystwo od ciotki poszło do kina, a ja na zbiórkę. Odbyła się ona za miastem. Było nas obecnych z pięćdziesięciu. Wielu poprzynosiło rewolwery, ale jak się okazało niepotrzebnie. Podobno karabiny zawiodły. Podzielony więc tylko cały pluton, złożony z samych uczniów, na cztery sekcje, naznaczono komendantów i wprowadzono całą organizację w stan pogotowia. Komendant wygłosił mowę, w której zaznaczył, że wolność nie jest jeszcze pewna, gdyż możemy się spodziewać inwazji niemieckiej. Wyznaczono jeszcze na jutro ćwiczenia. Zresztą namarziliśmy się tylko po nocy i w błocie. Po wieczery wybuchnął pożar. Widać było łunę za dworcem. Pobiegłem kawał za przejazd, ale zawróciłem w końcu, bo okazało się, że paliły się tylko stodoły i to bardzo daleko. Martwię się trochę, bo jutro ma być zebranie wszystkich drużyn, a ja nie zawiadomiłem swojego zastępu. Jutro także nie będę miał czasu.

5 listopada, wtorek

Już trzy dni nie pisałem dziennika, ale przez ten czas wiele przeżyłem. W niedzielę byłem na mustrze mojego plutonu peowiackiego. Potem poszedłem na przysięgę żołnierzy-Polaków z 100 cieszyńskiego pułku. Odbyła się bardzo uroczystość. Widziałem ją doskonale, bo chociaż nie byłem na zbiórce skautów, przecisnąłem się jednak do nich przez tłum. Stali oni niedaleko ołtarza polowego, przy którym odprawiała się msza. Zwłaszcza entuzjastycznie witano Czechów z tegoż cieszyńskiego pułku, którzy, aczkolwiek rozbrojeni przez władze polskie, przybyli jednak na uroczystość swych kolegów polskich. Po przysiędze łączyłem po mieście, żeby zobaczyć wszystko, co się działo w tym historycznym dniu. Wieczorem przyszedł do mnie Nakonieczny z Cześkiem Wyrzykowskim. Przynieśli wiadomość, że p. o. w. ma już karabiny i że oni także się tam już zapisali. Pobiegłem więc do naszej komendy placu, która się mieściła w magistracie i tam rzeczywiście zobaczyłem stopy karabinów, bagnatów, ładownic, skrzynki z amunicją itp. Otrzymałem rozkaz

iść ze zmianą warty do koszar franciszkańskich na dwudziestą. Ustawiliśmy się na podwórzu i złożyliśmy raport. Potem ruszyliśmy uzbrojeni przez miasto. W koszarach peowiaci trzymali wartę razem z żołnierzami batalionu węgierskiego, który tam stał. Przyszło nas ośmiu. Karabinów w komendzie nie otrzymaliśmy, bo miano nam je wydać na miejscu. Poszedłem na pierwszą zmianę od wpół do dziewiątej do jedenastej. Dostałem włoski karabin i nie umiałem go załadować. Wojdelski, z którym stałem, również nie umiał. Wsunęliśmy więc tylko po jednym naboju w lufę. Po zmianie nie spaliśmy, bo przez cały czas ekwipowaliśmy się. Znalazłem sobie pas, ale tylko parciany, bagnet bez pochwy, cztery skórzane ładownice, pochwę do rewolweru i skórzane rękawice, bo w nocy było zimno. Drugą zmianę miałem od pierwszej do trzeciej. Po niej pomyszkowałem jeszcze trochę i położyłem się wreszcie spać. Spałem tylko godzinie, bo o piątej obudzono mnie na śniadanie. Wydali nam je węgierscy kucharze. Po śniadaniu zostałem wysłany do komendy placu po rozkaz pisemny, kto ma u nas zostać komendantem. Po drodze zaczepił mnie skaut z karabinem, stojący na posterunku. Gdy wróciłem, było jeszcze zupełnie szaro. Wyprowadzono nas na musztrę. Grzembo obznajmiał nas z karabinem, Potem nagle powiedział, że spodziewane jest starcie z legionistami, którzy chcą nam odebrać koszary, więc kto nie chce walczyć, ten niech się teraz wycofa, bo potem będzie za późno. Wystąpili prawie wszyscy. Grzembo zapytał Janusza Strzeleckiego, dlaczego wystąpił.

– Chcę mieć czas do namysłu.

Odpowiedział na to:

– Przysięgåł. Do szeregu.

Na to wszyscy wstąpili z powrotem z wyjątkiem mnie i jednego zaciszaka.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał Grzembo.

– Nie przysięgåłem.

– Ale nosisz karabin. Do szeregu.

Na to przyszedł komendant okręgu. Wystąpiłem przed nim powtórnie.

– Zaraz. Wstąp – powstrzymał mnie.

Zaczął chodzić przed szeregiem, nie patrząc na nas. Mówił przez ten czas, iż niektóre rzeczy wymagają wyjaśnienia, że komendantem p.o.w. w zastępstwie Piłsudskiego został pułkownik Śmigły, że wszystkie miasta zostały opanowane przez peowiaków z wyjątkiem Piotrkowa i że na nas spoczywa obowiązek dokonać tego, żeby miasto nie przepadło dla organizacji. Gdy skończył, wystąpiłem z szeregu i powiedziałem.

– Ponieważ jeszcze nie przysięgałem, więc chciałem się zwolnić.

Spytał o powód.

– W ogóle o ile możliwości chciałem uniknąć strzelania do ludzi, a już stanowczo nie będę strzelał do Polaków. Uważam poza tym naszą organizację jedynie za środek do zdobycia wolności, gdy więc ta została odzyskana, straciła ona w moim rozumieniu rację bytu.

Ogromnie go to rozzłościło. Wrzeszczał, że jeszcze Niemcy są na kolei, że on lepiej ode mnie wie, co ma robić, że mnie każe rozstrzelać. W końcu kazał mnie aresztować i wziąć pod straż. Długo się jeszcze namyślał, co ma ze mną uczynić, wreszcie zapytał mnie, ile mam lat i kazał puścić. Ale Bielawski, stojący w bramie na posterunku, zatrzymał mnie. Wobec tego wyprowadził mnie jeden wartownik z karabinem. Gdy wróciłem do domu, była dopiero szósta. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć o zajściu rodzicom. Dzień mi schodził ponuro, tym bardziej, że byłem niewyspany. Przed obiadem zasnąłem jednak trochę. Po obiedzie wyszedłem na miasto. Na ulicy zatrzymałem Nakoniecznego oraz Czeška Warzykowskiego, którzy szli do koszar z rozkazem. Powiedziałem im o wszystkim, a oni zaraz się wypisali. Do szkoły wszyscy przyszli niewyspani, bo przeważnie pełnili w nocy wartę. Była tylko jedna lekcja Kozielewskiego. Mówił na niej, że uczniom nie wolno nosić karabinów. Potem mieliśmy iść na spacer, ale tymczasem przyszedł oficer legionista i zabrał nas wszystkich do milicji. Nie staliśmy jednak nigdzie na warcie. Przez cały dzień poza tym włóczyłem się po mieście. Widziałem, jak przyszła kompania peowiaków

ze wsi. Było w niej 80 ludzi, podzielonych na dwa plutony i porządnie wyekwipowanych. Trzech jechało na koniach. W szeregach dostrzegłem narzeczonego Janki Kacperskiej.

Dziennik 1927 (fragmenty)

Piotrków. 1 stycznia 1927 r.

Nowy rok! Czekałem już od dawna na tę siódemkę, bo nie wiem dlaczego wydawało mi się, że musi być dla mnie szczęśliwa. Dotychczas zapowiada mi się dobrze. Zacząłem rok w nowym palcie, mam powieść i Rogowicza, i zapowiadzianą subwencję. Czy to się tylko wszystko powiedzie?

Rano chodziłem trochę z ojcem po Kaliskiej. Potem poszedłem do Hali. Wybraliśmy się wszyscy na cmentarz, bo to imieniny jej matki. Ona z siostrami i ciotką zapalały lampki., ja marzłem po trosze. Rozmawiałem z nią o sławie. Okazuje się, że jej to wcale nie pociąga ani nie imponuje. Bardzo mnie to od niej odstęczyło. Ma tylko jedną chęć: jak najwięcej przeżyć dla samej siebie. Zaproponowałem jej, że ją zabiorę z sobą na wschód. Traktowała to jako mrzonki. Rozczarowała mnie.

Po obiedzie przyszła do Maryśki Renia Kolorówna. Inteligentna dziewczynka, ale brzydka. Zdaje mi się, że ma dla mnie sympatię. Odprowadziłem ją i poszedłem pożegnać się przed wyjazdem do p. Rożanowicz. Wizyta dość nudna. Na szczęście dużo grała. O pół do dziesiątej wyszedłem. Spotkałem koło tunelu Władzię. Wyglądała tak ślicznie, że odprowadziłem ją do bramy i chwyciłem, chcąc wycalować, ale byliśmy oboje zmoczeni deszczem, przeszkadzały mi oba palta tak, że nie mogłem pokonać jej oporu. Wyrwała mi się i uciekła, ale na naleganie wróciła. Ponowiłem atak, ale znowu bezskutecznie. Schowała buzię w kołnierz i – rób, co chcesz. Puściłem ją i rozbawiony poszedłem do Hali. Zostałem tam Wróblewskiego, Nakoniecznego i jakiegoś podprokuratora. Było wesoło. Gdy wychodziłem,

Tadek szepnął coś Hali, a ta zagryzła wargi, żeby się nie uśmiechnąć. Rozdrażniło mnie to.

Niedziela. Warszawa 2 stycznia 1927 r.

Przyjechałem o 5-ej po poł. do Warszawy. Byłem się pożegnać tylko u Zochy Klimkowej. Piliśmy wino i rozmawialiśmy o przeżyciach frontowych. Mama, Maryśka i Stempińscy odprowadzili mnie na stację. Tadek kupił mi bilet akurat, gdy pociąg ruszał. Droga nudna. Pierwsze moje kroki w Warszawie były do Kisielela. Leży chory, bo przeziębził się trochę. Rękopis mój zostawił u Mordkowicza. Przekomarzałem się jeszcze z p. Kisielewską, ale wyszedłem wcześniej, bo chciałem iść do kina. Wszystkie tak zapelnione, że ani rusz. Wróciłem do domu.

Poniedziałek 3 stycznia 1927 r.

Wstałem wcześniej i dlatego czułem się źle przez cały dzień. Do południa prawie napisałem *Kniaziewicz*. Potem poszedłem do koszar Blocha. Góral ucieszył się bardzo, że już wróciłem ze świąt. Przyjechał również Nahajs. Wszyscy podziwiali moje palto.

Stamtąd poszedłem do Kisielewskich, gdyż zaprosili mnie na obiad, a chciałem zawiadomić ich, że nie mogę być, bo o 4-ej mam lekcję na Pradze. Nie przyjęli tłumaczenia. Wobec tego po wizycie u Rogowicza wróciłem do nich w bardzo złym humorze. Subwencji nie dostałem, i Rogowicz nie przeczytał nawet mojej powieści, tłumacząc się chorobą. Widzę z tego, że nie będę miał z niego pociechy. To zdarzenie wywołało przemowę Kisiela do mnie, o życiu dla sztuki. Ma on pod tym względem bardzo twarde zasady. Według niego pisarzowi nie wolno stosować żadnej taktyki w celu zdobycia sławy. Nie wolno ubiegać się o recenzję, nie wolno schlebiać gustom publiczności: wielkość sama musi zwyciężyć. Nie mam zamiaru stosować żadnej taktyki, ale nie zgadzam się z nim.

Poniedziałek 10 stycznia 1927 r.

W sobotę przyjechał do mnie Waśniewski. Nie miałem humoru, bo choruję od piątku na żołądek. Za to Jaś czuł się bardzo dobrze. Sprzedał *Przed zagładą* „Kurjerowi Porannemu”. Ja również wczoraj byłem u wydawcy Sterkowskiego ze swoim *Naganem* /taki obecnie nosi tytuł moja powieść za poradą Rogowicza/. Skierował mnie tam Rogowicz, u którego byłem w sobotę. Nagadał mi komplementów wiele. Ciekawe, czy uda mi się ostatecznie wydać tę książkę. Pertraktuję naraz ze Sterkowskim i Mortkowiczem. Może dlatego nic się nie uda. Nie umiem rozmawiać z wydawcami.

Wtorek 11 stycznia 1927 r.

Byłem na obiedzie u Kisielewskich. Okazało się, że w niedzielę, gdy poszedłem na lekcję do drukarzy na Bednarską 24, rozmawiali o mnie z Waśniewskim i doszli do niepochlebnych wniosków. Wypowiedziała mi to wszystko p. Kisielewska, którą ja w dziwny sposób drażnię, mimo woli zresztą. Poza tym odnosi się do mnie z sympatią. Otóż w dłuższej przemowie zarzuciła mi beżmierną próżność, lekkomyślność, rozlazłość, lenistwo, brak wytrwałości, niezdolność do uczuć przyjaźni. Dotknęło mnie to mocno. Wiem, że to wszystko prawda, wiedziałem to już przed tem, ale nie lubię, gdy mi kto o tym mówi. Poza tym namawiano mnie, żebym się wziął do Kniaziewiczza i do egzaminu. Popadłem w melancholię, gdyż wywołała u mnie ta wizyta niezadowolone z siebie.

Czwartek 13 stycznia 1927 r.

Jestem zniechęcony i trapi mnie melancholia. Tak mnie nastroszyła ostatnia wizyta u Kisielewskich. Rozmyślałem nad sobą i rzeczywiście dostrzegam w sobie wiele wad. Nie jestem zdolny do

uczuc i przyjaźń traktuję egoistycznie. Jestem próżniak, a mam za dużo pretensji do wszystkich. Teraz trochę więcej biorę się do pracy, ale wstaję późno i niewiele mam czasu przed lekcjami u strażaków. Wziąłem się do Kniaziewicza, ale niesporo mi idzie. Myślę także co pisać. Mam pomysł powieści z odwrotu w r. 1920 pt. *Armata Nr. 12120*. Chcę przedstawić tam zmechanizowanie życia współczesnego. Działo Nr. 12120 przynosi śmierć i nieszczęście wszystkim, sprzęgniętym z nim w jakikolwiek sposób. Podczas odwrotu wielu ludzi ginie dla uratowania go, aż w końcu przed bitwą pod Warszawą okazuje się podczas inspekcji, że jest niezdatne do użytku, i zostaje wycofane. Bohaterowie: Kaniecki, człowiek, który próbował wyzwolić się z mechanizmu życia współczesnego i złamany wrócił do armaty, przy której walczył jeszcze na froncie francuskim. Energia psychiczna jego jest już wyczerpana, nie jest zdolny do miłości i szuka tylko śmierci, aż znajduje ją z rąk swoich /por. Swiderski/ pod Warszawą. Hala, potężna indywidualność, wiecznie głodna wrażeń. Kocha się w Hanieckim. Por. Swiderski – brutalny typ człowieka współczesnego.

Piątek 14 stycznia

Dziś przeprowadziłem się na czwarte piętro do pok. 38. Nie wiem czemu, ale poprawiło mi to humor. Widocznie potrzebowałem już zmiany miejsca. Współlokatorem moim jest kol. Bruszewski. Jest to ciekawy typ, jak mi się zdaje, *bon vivant*. Zajmuje miejsce osobistego sekretarza fabrykanta Schichta, który się żeni z Malicką. W ogóle chwyta się za różne zajęcia i obraca się w „najwyższych sferach towarzyskich”.

Poniedziałek 24 stycznia

W niedzielę, wracając od drukarzy, wstąpiłem do Kisielów. Zastąpiłem Kisiela przygnębionego, gdyż Kaden zamieścił w „Głosie Prawdy” nader nikczemną recenzijkę o *Błędzie*. Głupio się

czułem z tego powodu, bo p. Kisielewska chciałaby, żebym ja się zemścił za te wszystkie świństwa na Kadenie i dedykował mu w złośliwy sposób *Nagana*, a ja za nic nie chcę włączyć w to bagno, jakim jest literatura warszawska. Po kolacji poszliśmy do Światowida na *Lorda Jima*. W poczekalni spotkaliśmy Kutnerównę z baletnicą chilijską, którą ja mam uczyć historii i literatury. Na imię jej Andreê, nazwiska zapomniałem. Wypytywaliśmy ją o Chile. Ja powiedziałem zaledwie kilka słów, bo nie umiem po francusku. Chciałbym dostać tę lekcję, bo mógłbym rzucić T.U.R.

Poniedziałek 31 stycznia 1927 r.

Dzisiaj kończy się pierwszy miesiąc 1927-go roku. Jakimż był on dla mnie? Trudno mi jeszcze powiedzieć, bo wszystko się dopiero zaczynało. W każdym bądź razie raczej szczęśliwy. Dostałem nowe palto, sprzedałem powieść za 600 zł i dostałem zaraz 100, w T.U.R. wypłacono mi wszystko za ten miesiąc, zrobiłem kawał *Kniaziewicza*, zacząłem nową powieść... Ale z drugiej strony stoję znowu w obliczu biedy. Kursy na Powązkach upadły widocznie, bo nie zawiadomiono mnie o nich. Kursy strażackie też się chyba utrzymywać nie dadzą: zostanę chyba bez grosza. A jeszcze nie wiem, czy aby ta powieść wyjdzie ostatecznie, bo jakoś mi Sterkowski nie przesyła umowy. Z nowym współmieszkańcem Bruszewskim nie żyje mi się zbyt dobrze. Jest to typ warszawiaka, dumnego nadzwyczaj ze swojego pochodzenia i przekonanego, że daje mu ono prawo przewodzenia innym. W każdym bądź razie zachowuje w rozmowie ze mną ton lekceważący, czego nie mogę znieść.

Wtorek 15 lutego

Jestem chory. Byłem u lekarza dr. Moczarskiego i powiedział mi, że mam zaburzenia wyrostka robaczkowego i rozszerzenie wątroby. Nie dokucza mi to teraz bardzo, ale wywołuje silną

reakcją psychiczną. Długi czas gnębiła mnie melancholia i przekonanie, że nie jestem potrzebny na świecie. Z tego stanu nie wyrwało mnie nawet to, że dostałem subwencję.

Zajęcia w T.U.R. nie mam tymczasem żadnego. Mimo to nic prawie nie robiłem. Zacząłem trochę pisać powieść z 1863 r. pt. *Światelko*, ale niewiele napisałem. *Kniaziowicza* rzuciłem chwilowo. Chciałbym jechać na parę dni do rodziców, ale muszę czekać na drugą ratę subwencji.

W sobotę byłem z Kisielewską na przyjęciu u Kutnerówny, na którym tańczyła poematy taneczne Chilijka Andrée Haas. Bardzo mi się to podobało. Byli tam oprócz tego: Rencki, sprawozdawca muzyczny z żoną, bardzo ładną i sympatyczną Szwajcarką, która przychylnie się do mnie odnosiła /miałem być niegdyś jej lektorem/, Dzieżkowa czy Dzieżkówna, literatka, stara baba – olbrzym, Joyce, Amerykanin aklimatyzowany w Polsce od 1919 r. ks. Drucki-Lutecki, jakiś teozof z Indji, rzeźbiarz Kuna z Żoną, Loefelt pianista, jakieś medium, jakiś gruby hipnotyzer i inni.

Kisielewski w tym czasie był na obiedzie, bodaj urządzonym przez P.E.N Club na cześć Sieroszewskiego. Przybył tam również Piłsudski. Podobno zachowywał się jak człowiek nieobliczalny. Usiadł zaraz między paniami i zaczął kpić z Anglii. Potem zjechał na sejm. Akurat zrobiono awanturę z wnioskiem nieufności Bartłowski. Piłsudski drwił, śmiejąc się:

– Czego ci durnie ciągle szczypią tego Bartla? – miał mówić.
– Czego to mnie nie zaczepią? Bartel lubi zresztą tak się bawić z tym sejmem, ale ja nie umiem nawet mówić parlamentarnie.

Gdy zwrócono mu uwagę, że ma być w poniedziałek na posiedzeniu, powiedział:

– A tak, mamż być, ale nie wiem jeszcze, co im powiem.

/Rzeczywiście nic nie powiedział/.

Potem zaczął kpić z monarchizmu.

– Wszystko będzie dobrze – mówił – jak moja Wandzia zostanie królową. Ona już powiada, że nie będzie taka głupia, jak ta Wanda, co się utopiła. Wybierze sobie sama męża, będzie miała z nim dziecko, a potem odstawi go na folwark, a sama będzie rządziła. Panie mnie powinny popierać – zwrócił się do kobiet.

– Ona zresztą najlepiej lubi bajkę o takim strasznym tatusiu, który najprzód bił Moskali, potem Niemców, potem bolszewików, a w końcu jak się wziął do Polaków, to tak ich sprął!

Prócz tego było tam kilka czarujących mów Struga, Kadena, Daniłowskiego, Lechonia i Sieroszewskiego. Miłe zrobił wrażenie ostatni stańczykowski gest Boya, który zadeklamował przy końcu swój wierszyk o jubilatach. Sieroszewski wyczałował się z nim. „Głos Prawdy” zamieścił nazajutrz mowy Lechonia i Kadena. O obecności Kisielewskiego nie wspomniał.

Miałem zamiar dziś jechać do domu, ale byłem wczoraj z podziękowaniem u Rogowicza i powiedział mi, żebym poczekał na drugą ratę, którą mi wypłacą w tym tygodniu. Chce się starać dla mnie również o stypendium.

Wieczorem spotkał mnie cios. Dowiedziałem się telefonicznie od Kozikowskiego, że komisja kwalifikacyjna w osobach Bygiera, Pomirowskiego i Millera usunęła mnie ze Związku bez podania motywów. Poszedłem zaraz z tem do Kisielewa. Był wzburzony. On mnie przecie razem z Kadenem wprowadzał w 1923 r. Posądza Kadena o intrygę. Uważa, że powinienem wystosować list do zarządu. Po namyśle doszedłem do tegoż wniosku.

Po kolacji Kisielewscy pojechali do „Tow. Badań Psychicznych”. Pojechałem z nimi do Kin. Miejskiego. W tramwaju spotkaliśmy Kutnerównę. Wypytywała mnie o wrażenia z tańca. Wyładowałem swoje poglądy na taniec jako na sztukę, opierając się na „widzialności rytmu”. Była – zdaje się – zadowolona ze mnie.

Piotrków. Czwartek 24.II

Od wtorku siedzę w domu na kuracji. Myślę, że dobrze mi zrobi takie wyrwanie się na pewien czas z Warszawy. Trąpi mnie trochę sprawa ze Związkiem. Kozikowski powiedział mi, że jest to sprawa Kadena. Rozmawiał on z Komisją Kwalifikacyjną w mej sprawie przed decyzją. Napisałem ostry list do Zarządu, że postępek Komisji posiada dla mnie cechy zniewagi. Ciekawy jestem, co mi odpowiedzą. Najlepiej bym chciał, żeby to

można załatwić pojedynkiem. Najłatwiejszy to dla mnie sposób i przynoszący zarazem rozgłos i szacunek. Tymczasem udało mi się zrobić pewne posunięcie przeciw Kadenowi. W czwartek byłem z Kisiem w Małej Ziemiańskiej i poznałem tam Brodzkiego, krytyka z „Głosu Prawdy”. Kisiel tak przed nim chwalił mojego *Nagana*, że poprosił mnie, żebym mu go przyniósł, jak wyjdzie. Może więc będę miał przychylną recenzję w organie Kadena. Brodzki przynajmniej mówi, że od nikogo nie jest zależny, bo ma odpowiedni kontrakt. Kisiel – zdaje się – nastroszony sceptycznie.

W Piotrkowie nic dotychczas nie robię, chodzę tylko do kina, ciotki Stępińskiej i flirtuję z jakimiś maszynistkami: Zenią i Halusią. Wczoraj pocałowałem Zenię w ciemnej ulicy, czem ją – zdaje się – bardzo ująłem, bo dzisiaj przy spotkaniu ze mną spłonęła się jak róża.

Piotrków. Poniedziałek 28. II. 1927 r.

Dziś o 13-ej wyjechał ode mnie do Warszawy Balcerski. Przyjechał, jak się umówili, w sobotę po południu. Wieczorem byłem z nim w Odeonie na *Czerwonym gońcu* z Priscillą Dean. Głupi dramat amerykański na tle powojennego Wiednia. Kazia poszła na bal prawników, W niedzielę byliśmy na radio w cukierni u Borczyka i znowu w Czarach na polskim filmie *O czym się nie myśli*. Dobrze wykonany obraz propagandowy o chorobach wenerycznych. Dzisiaj byliśmy na grobie jego siostry, zabitej w 1914 r., i w szkole. Ubłociłem się strasznie, bo od paru dni robi się ciepło. Ostatecznie wyjechał. Przez cały czas rozmawiałem z nim tylko jak zwykle, a wieczorem w łóżku czytaliśmy bajki *Z 1001 nocy*, które przywiózł z sobą. Bardzo się nimi obaj zachwycamy.

Piotrków. Wtorek 1 marca 1927 r.

Po południu przyjechała z Warszawy Maryśka. Opowiadała o naszej bytności w Gastronomii i wyśmiewała się z Hali, że tak jest wobec mnie uległa.

Wieczorem poszedłem do p. Rożanowicz. Ubrała się specjalnie na moje przyjęcie i dogadzała mi we wszystkim. Nie grała mi jednak wiele, gdyż było liczne towarzystwo: mąż, synowie i jakiś Wacutek, jak go po swojemu nazywa p. Rożanowicz. Zapowiedziałem swoją wizytę nazajutrz.

Poza tem nic prawie nie robię. Nie wychodzę prawie z racji błota: nie piszę ani *Kniaziewicza*, ani *Światelka*, tylko czytam trochę Dostojewskiego.

Warszawa. Wtorek 15 marca 1927 r.

Wczoraj o 16.15 przyjechałem z Łodzi. Jest mi przeraźliwie nudno i do niczego nie mam ochoty. Winni temu Kisielewscy ze swoją wiedzą tajemną. W Piotrkowie miałem sen dosyć dziwny. Śniło mi się, że przyszedł do mnie niespodziewanie Conrad-Korzeniowski i powiedział mi, że zabiera mnie ze sobą na swój statek, jako sternika. Uradowany, że będę mógł podróżować, zgodziłem się i jeździłem z nim po pięknych słonecznych morzach. Conrad zachowywał się tajemniczo i nie wdawał się w rozmowy. Zbliżyliśmy się do Hiszpanii. Conrad wziął mnie z sobą do szalupy i pojechaliśmy na ląd. Tam w jakimś domu spotkaliśmy się z agentem Conrada, jakimś młodym o pogodnej twarzy mężczyzną. Twarz jego była mi jakaś znajoma. Po wydaniu jakichś rozporządzeń Conrad wrócił ze mną na statek.

Otóż Kisielewscy tłumaczą mi, że oznacza to śmierć. Na dowód przeczytał mi listy Mickiewicza, któremu również przed śmiercią miał się ukazać Conrad. Zdenerwowało mnie to tak, że majaczyłem prawie w nocy. W każdym bądź razie ciągle mi się śniło, że przy moim łóżku siedzi Conrad i opowiada mi coś,

czego nie pamiętam. Nie wierzę co prawda w tę przepowiednię, ale rozmyślania o śmierci nastroiły mnie ponuro.

W Piotrkowie po wyjeździe Balcerskiego zabrałem się do pisania. Zainstalowałem się w domu dziadka, ile że zrobiło się cieplej, i pisałem *Światelko* oraz drogą powieść zaczęłą zupełnie niespodzianie, choć dawno o niej myślałem, pt. *Grzędzawica*. Napisałem jej dopiero kilkanaście stron.

W piątek zaraz odjechałem do Łodzi. Przez ten cały czas do wczoraj piłem strasznie u Stasi, która znalazła się w nędzy i koniecznie chciała ze mną jechać, z Witkiem i zwłaszcza u Blizińskich. Po tym wszystkim bardziej dokucza mi wątroba.

Środa 16 marca 1927 r.

Jeszcze we wtorek załatwiłem pomyślnie sprawę ze Związkiem. Kaden przysłał list z przeproszeniem, że tylko przez omyłkę nie zostałem restytuowany w prawach członka.

Dnie są teraz piękne, ale ja czuję się źle. Cały dzień przesiedziałem w domu, pisząc trochę *Grzędzawicę*. O 17-ej wyszedłem do Maryśki, ale takie miałem bóle, że zawróciłem i dopiero po godzinie poszedłem znowu. Byłem w T.U.R., gdzie jeszcze należą mi się pieniądze, a potem na Dobrej. Musiałem Maryśce opowiadać wszystko o Łodzi i umówiłem się z nią do Łazienek. Jedzie do domu w sobotę.

W domu zastałem Balcerskiego z Bruszewskim, a potem przyszedł Szibicki, który koniecznie chce, żebym spisał jego przygody wojenne, i wyjaśniał mi teren akcji w *Naganie*. Wyszedł dopiero wpół do pierwszej.

Niedziela 20 marca 1927 r.

Wczoraj odprowadziłem na dworzec Maryską. Pojechała już na ferie świąteczne do domu...

Nie mogę więcej pisać, tak mnie denerwuje ta ślepa kiszka.

Sobota 2 kwietnia 1927 r.

Od kilku dni pierwszy dzień pogodny. Na ogół zresztą i marzec był suchy i ciepły. Ja jednak żyłem bardzo ponuro. Całymi dniami nieraz nie widziałem się z nikim. Nie pisałem również do nikogo, choć do mnie pisał i ojciec, i Waśniewski, i Maryśka, i Kazia, i nawet siostra p. Rożanowicz, pani Borowska, która zaprosiła mnie w ostatnią niedzielą na przyjęcie. Byłem na nim, ale nie czułem się po nim dobrze.

Z namowy Kisielewskiego zaniósłem swoje nowele do „Roju”. Wańkowicz przyjął mnie nadzwyczaj uprzejmie. Prócz tego w czwartek byłem w świeżo otwieranym dzienniku „Strzelcu”, myśląc, że może uda mi się dostać recenzje kinowe. Ale redaktor Tytus Czaki przyjął mnie mową programową, co mnie zdenerwowało. Również zapewne na nic. Poza tym skończyłem nareszcie przepisywać *Serce kaprala* i myślę jechać do domu.

Radom. Poniedziałek 11 kwietnia

W sobotę wieczorem przyjechałem z Warszawy. Na dworcu dowiedziałem się od Felcia Sołtyka, że Waśniewski pojechał do Warszawy w sprawie swojej powieści. Byłem przybity. Z ledwością dostałem się do jego mieszkania pomimo podejrzliwości stróża i właścicielki mieszkania. Do nocy siedziałem w Felciem i Dolińskim w Europie. Niedzielę całą padał deszcz. Błąkałem się trochę z Dolińskim, trochę sam po mieście, byłem w kinie nawet, ale nie mogłem dosiedzieć do końca. Wreszcie poszedłem do Chojków. Tam rozgadałem się, słuchany z zajęciem, między innymi przez Zosię Radwanównę, która pała do mnie sympatią. O pół do jedenastej przyjechał Jan. Od razu zmienił mi się humor, który od dawna uważałem za stracony dla siebie. Długo w noc rozmawialiśmy i opowiadaliśmy kawały i ułożyliśmy plan zajęć na dziś.

Skarżysko. Wtorek 12 kwietnia

Wyjechałem z Radomia dzisiaj w południe i 3 godziny muszę czekać w Skarżysku. Czuję się nadzwyczajnie słaby i zniechęcony. Musiało mi zaszkodzić obfite jedzenie i picie po miesięcznej diecie warszawskiej. Wczoraj byliśmy z Felciem u Wierzbickiego na drugim śniadaniu. Przyczepił się do nas Jentsch. Nie rozmawiałem z nim wiele, bo wziął Jasia w obroty. Na obiad poszliśmy do Meduskiej. Zdaje się, że była mi bardzo rada. Rozpuściłem też język i gadałem, póki nie przyszedł Jan z lekcji prywatnej. Potem byliśmy u Wereników. Mają córeczkę. Nie bardzo tam kleiła się rozmowa, choć ja gadałem dużo. Ale po tej wizycie przyszło na mnie takie osłabienie, że nie miałem nawet siły mówić. Poszliśmy na kolację do Europy, ale nie mogłem nic jeść, tak że zaraz poszliśmy spać. Dzisiaj też zaraz wyjechałem. Po śniadaniu u Bolka oraz wykupieniu biletu zostało mi zaledwie 2 zł. Nie dodaje mi to humoru.

W ogóle wrażenia moje po wizycie w Radomiu są raczej przykre. Coś mi brak w stosunkach z ludźmi. Widzę, że nie rozumiemy się nawet z takim Waśniewskim. Może to tylko brak pieniędzy jest tego przyczyną.

Środa. Piotrków 20 kwietnia 1927 r.

Święta się skończyły. Spędziłem je dość przyjemnie. Kazi nie ma, bo pojechała do Brawatów do Kalisza. W niedzielę spotkałem przypadkowo Wróbla i poszedłem z nim do Hali. Na wieczór poszedłem z Frankiem do Klimków. Janka Błachiewiczowa zdawała się trochę do mnie przysuwać. Ale mnie już nie do amatorów. Nazajutrz Klimkowie byli u nas, a wieczorem poszedłem znowu do p. Rożanowicz. Był tam koncert jakichś młokosów. Rozmawiałem z urzędnikiem pocztowym Krajewskim, który napisał powieść pt. *Żyd* i chce ją wysłać na konkurs. Przeglądałem ją już, ale bez wartości.

Wczoraj poszedłem z Maryską do p. Różanowicz. Byłem niezadowolony z tego zaproszenia, gdyż teraz baby zaczęły już swoją politykę i będę się musiał wycofać z tego interesu. Złoszczą mnie w dodatku wspomnienia tej wizyty u Borowskich. Prosto stamtąd poszliśmy do Klimków, gdzie siedzieli już rodzice. Przyjęcie było dość wesołe. Gdy wróciliśmy, paliło się gdzieś na Sulejowskiej.

Warszawa. Sobota 14 maja 1927 r.

Pogoda przykra. Zimno. Od 11-go co chwila pada śnieg. Czasami deszcze albo grad. I znów roz pogodzi się na chwilę. Dopiero jeden dzień w maju był naprawdę ciepły.

Przyjechałem do Warszawy w piątek 29-go kwietnia. W sobotę nazajutrz byłem na zebraniu Związku, na którym Kisielewski obalił Kadena. Prezesem został Sieroszewski. Miller ciągle występował w sprawie odezwy Ligi Obrony Praw Człowieka, ale przewodniczący Jan Dąbrowski odbierał mu stale głos. Ja również wystąpiłem w kwestii formalnej, ale zupełnie niepotrzebnie. 1-go maja padał deszcz. Dzień przeszedł spokojnie z wyjątkiem szarż komunistów na Nowym Świecie.

3-go maja nie było wesoło. Przyjechał Waśniewski. Ja tymczasem piłem na imieninach Zygmunta.

W czwartek 4-go Waśniewski dostał trzy ataki ślepej kiszki. Zatelefonowałem do Dudy Chojkówny o adres lecznicy, a ta przysłała karetkę pogotowia i pojechaliśmy nią do Lecznicy Czerwonego Krzyża. Tam w poniedziałek zrobiono mu operację i dotąd leży, a ja śpię przy nim. Przy tej awanturce poznałem się z Wojciechowskim z Dyrekcji Kolejowej, który obiecał mi posadę.

Powieści Sterkowski nie wydał i nie wiadomo, czy wyda.

Warszawa 6 sierpnia 1927 r.

Wczoraj po lekcjach u Sekułowicza, gdzie pracuję od dwóch tygodni, poszedłem do pływalni A.Z.S. Był tam Leszek Macierewicz i Wanda Lange, Pomimo, że okazuje ona właściwie brak zainteresowania moją osobą, nie mogę się oprzeć przyjemności obcowania z nią. Sprawia mi również zadowolenie świadomość opanowania uczuć, tak że nie mógłbym się nieświadomie zakochać.

Po południu poszedłem do koszar Blocha. Nie byłem tam od czasu awantury przy kartach z Dermanowskim. Patrzano na mnie ze zdziwieniem, ale i z szacunkiem należnym człowiekowi mającemu sprawę honorową. Wyjaśniłem Nahajskiemu, że Derm nie przysłał sekundantów, wobec czego Balcerski i Dehnel robią protokół jednostronny.

Potem poszedłem do Balcerskiego, z którym poszliśmy do cukierni. Spotkaliśmy się tam z jakimś Dziewulskim, mag. praw i ziemianinem spod Torunia i jeszcze z jakimś kolegą. Dyskutowaliśmy w Gastronomii do 2-jej w nocy. Dziewulski – typowy mól książkowy i inteligent rosyjski. Umówiliśmy się jeszcze na dziś wieczór.

Dziś rano obudził mnie Żmigrodzki, b. kolega z proseminarium, obecny nauczyciel z Piotrkowa. Spotkałem się z nim po lekcji w cukierni. Chodziło mu o moją protekcję do jakiegoś dziennika. Chce pisać artykuły à la Bermaski. Obiecałem mu pomoc. Ma przyjść do mnie i razem pójdziemy do Balcerskiego.

Na wakacje zostałem w wielkiej nędzy. Sterkowski nie wydał mi *Nagana*. Wziął go Niedziałkowski do „Roju”, ale również dotąd nie drukuje. Przez pewien czas miałem wywiady z posłami PPS dla księgi *Parlament Rzeczypospolitej*, ale tak mnie denerwowali dygnitarzem, że rzuciłem to. Przez trzy dni pracowałem jako robotnik przy budowie domu akademickiego na Grójeckiej. Mama z Kazią i Maryską pojechały do Szaflar i przysłały mi pieniądze na drogę, ale nie mogę jechać, bo nareszcie dostałem

lekcje u Sekułowicza. Poza tym chodzę na plażę i dwa razy by-
łem w Falenicy u Kisielewskich. Akurat tydzień temu omal się
nie utopiłem w Wiśle.

Fragmety *Dzienników* Stanisława Rembeka ze zbiorów Biblioteki
Narodowej publikujemy dzięki uprzejmości Macieja Stępniewskiego.

Stanisław Rembek – świadek historii

Przed wyruszeniem na front

Tom *Dzienniki. Rok 1920 i okolice* ukazał się w 1997 roku, a zatem blisko osiemdziesiąt lat od czasu, w którym powstał, i dwanaście lat po śmierci Stanisława Rembeka. Stanowi on ważne świadectwo pisarza będącego uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej.

Wskazany w tytule dzienników rok 1920 odsyła do szczególnego czasu w historii – do wojny, która, jak pisał marszałek Józef Piłsudski, „omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata”. Zawarte w nim sformułowanie „i okolice” informuje zaś, że mamy do czynienia z zapisem wykraczającym poza ramy czasowe roku 1920. Okres, który obejmują *Dzienniki. Rok 1920 i okolice*, to czas od 13 grudnia 1914 roku do 21 września 1937 roku. Należy zauważyć, że ich część określoną przez Rembeka mianem dziennika wojskowego, wyznaczają daty 29 października 1919 roku oraz 16 października 1920 roku. Pisanie dziennika Rembek rozpoczyna w wieku 13 lat, kończy zaś jako człowiek 36-letni.

Zapisy poprzedzające okres ujęty w dzienniku frontowym obejmują informacje na temat nauki w szkole, pierwszych fascynacji i planów literackich, działalności w Polskiej Organizacji Wojskowej, a także wiadomości dotyczące wojny, której pisarz był świadkiem, mieszkając w Piotrkowie Trybunalskim. Notatki sporządzone w okresie późniejszym zawierają z kolei informacje o przygotowaniach do egzaminu maturalnego, wykładach na uczelni, spotkaniach towarzyskich, życiu uczuciowym. Rembek pisze również o wycieczkach, kąpielach w Wiśle, wyjściach do cukierni i restauracji (m.in. do Małej Ziemiańskiej), do filharmonii, na koncerty do Doliny Szwajcarskiej, do teatrów i kin. Zapisy te wydają się interesujące, jako że oddają atmosferę

życia towarzyskiego i kulturalnego międzywojennej Warszawy. Poświęca także uwagę wydarzeniom literackim w Warszawie – opisuje na przykład obiad w Bristolu wydany przez PEN Club na cześć Wacława Sieroszewskiego z udziałem marszałka Józefa Piłsudskiego, Andrzeja Struga, Gustawa Daniłowskiego, Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Rembek sam nie był obecny na przyjęciu, ale znał jego przebieg prawdopodobnie z opowiadania obecnego tam Zygmunta Kisielewskiego, a także z relacji w „Głosie Prawdy”.

Rembek uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej jako kanonier w 1 baterii 10 Kaniowskiego Pułku Artylerii Polowej. Brał udział w walkach nad Dźwiną, pod Warszawą i Zamościem. Jak sam napisał w życiorysie złożonym podczas ubiegania się o przyjęcie na Uniwersytet Warszawski w roku 1921: „Jako działonowy 1-go działu byłem na linii demarkacyjnej litewskiej, w walkach pozycyjnych nad Dźwiną, w odwrocie (przeważnie w tylnej straży 10-ej dywizji piechoty), w bitwie pod Warszawą, w oblężonym przez armię Budionnego Zamościu i w ofensywie aż do ukończenia wojny”.

Formowanie 10 Pułku Kaniowskiego, wchodzącego w skład 10 Dywizji Piechoty, rozpoczęło się 20 lipca 1919 roku w Łodzi. Włączono do niego część 1 dywizjonu artylerii 4 Dywizji Strzelców Polskich generała Lucjana Żeligowskiego, od którego nowo tworzony pułk miał przejąć nazwę „Kaniowski” oraz tradycje bojowe.

1 dywizjon pułku 5 listopada 1919 roku został przetransportowany do Wilna, a następnie skierowany na linię demarkacyjną polsko-litewską. Zakończenie czasu akcji ukazanej przez Rembeka w dzienniku frontowym przypada na pobyt w folwarku Cieleśnica od 5 października 1920, skąd żołnierze mają niebawem wyruszyć dalej, Rembek nie ma jednak informacji dokład. Dopiero w zapisie z 28 kwietnia 1921 roku, przebywając już w Łasku, pisarz powraca do zapisu z 16 października 1920 roku, informując, że wkrótce potem wyjechali do folwarku Witulina oddalonego o 10 km od Białej Podlaskiej:

Spędzaliśmy tam czas wśród straszliwych nudów, bo nawet do wsi nie wolno było właściwie chodzić z powodu księgossuszu. Tęskniłem do domu, ale z powodu nienawiści do mnie ogniomistrza Kossobudzkiego i porucznika Świnarskiego nie mogłem dostać urlopu. Tak samo ominął mnie awans. Pod koniec października jednak musiano mi na skutek specjalnych rozkazów udzielić kilkudniowego urlopu jako uczniowi po zaświadczenie szkolne (R, 135).

Ostatecznie w styczniu 1921 roku Rembek zostaje zwolniony z wojska:

Ponieważ dowiedziałem się na tyłach, że nie tylko zwolniono już wszystkich uczniów, ale również i cały mój rocznik, rozpocząłem więc walkę o swoje zwolnienie. Gdy tylko o tym wspomniałem, ogniomistrz Kossobudzki wsadzał mnie do aresztu. Mimo to nie ustawałem, gdyż napisano mi z domu, że w dywizjonie jest już moje zwolnienie. Gdy wreszcie telefoniści powiedzieli mi, że podsłuchali rozmowę Tarasewicza z adiutantem, jak naradzali się nad wybiegami, żeby mnie jeszcze zatrzymać w baterii, udałem się wprost do dowództwa raportu. [...] Nazajutrz, 17 stycznia 1921 roku, jechałem już do baterii zapasowej, gdzie kapitan Woll zwolnił mnie natychmiast, pomimo że przesłano mu przeze mnie list z żądaniem zamknięcia mnie w areszcie (R, 137).

Po zwolnieniu z wojska Rembek zamieszkał z rodzicami w Łasku, gdzie pomagał ojcu w pracy, między innymi pracując pod jego kierownictwem w wydziale drogowym, oraz przygotowywał się do egzaminów maturalnych.

Samo wyruszenie w drogę po sformowaniu pułku, kilkakrotnie przekładane, oraz relacja z 6 na 9 listopada zostały odnotowane przez pisarza dopiero w zapisie z 10 listopada 1919 roku, jak można się domyślać – w związku z trudnymi warunkami podróży pociągiem towarowym w zimnie, uniemożliwiającymi sporządzanie dłuższych notatek.

3 listopada 1919, poniedziałek: Nie pojechaliśmy dzisiaj, ale mówią, że jutro to już na pewno pojedziemy (R, 40).

4 listopada 1919, wtorek: Jutro wyjeżdżamy, tym razem zdaje się na pewno (R, 40).

6 listopada 1919, czwartek: Jedziemy na front. Piszę to na posterunku przy wozach na ostatnim wagonie. Ziemia ucieka mi spod nóg daleko w tył (R, 41).

Jak wynika z zapisów Rembeka, on i jego towarzysze spodziewali się, że wyruszą na front. Tymczasem jednak, jak podaje Leroch-Orlot, żołnierze 10 pułku rozlokowani zostali w rejonie Mejszagoły, Białej Waki i folwarku Dowgierdziszki.

25 listopada 1919, wtorek: Przybyliśmy do baterii pod wieczór. Szykowała się ona do wyjazdu do Białej Waki. W poniedziałek rano wyruszyliśmy (R, 48).

14 stycznia 1920, środa, Mejszagoła: Stoimy obecnie na linii demarkacyjnej litewskiej. Przyszło do tego zupełnie niespodzianie (R, 68).

W marcu 1920 roku Rembek sporządza tylko trzy notatki, informując o swoim 11-dniowym pobycie w szpitalu z powodu wyczerpania i gorączki. 10 maja zapisuje zaś, że prawie zarzucił pisanie dziennika, ponieważ właściwie nic się nie zmienia (R, 85). Dopiero 26 czerwca zaczynają się przygotowania do drogi, 27 czerwca następuje wyjazd z Mejszagoły, a 29 czerwca pisarz notuje: „Jedziemy na front” (R, 92).

Rembek i jego współtowarzysze wypełniają rozkazy swoich przełożonych, biorą udział w ćwiczeniach, stoją na warcie, zajmują się aprowizacją, pisarz ukazuje jednak codzienne wojskowe życie w sposób pozbawiony patosu, opisując monotonię zajęć związanych ze służbą żołnierską i prozaiczne czynności, wykonywane nieraz w uciążliwych warunkach, niekiedy niechętnie i wbrew własnej woli.

4 grudnia 1919, czwartek: Wczoraj odbyły się rano pierwsze ćwiczenia. Mamy program zajęć i wstajemy o szóstej (R, 52).
31 grudnia 1919, środa: Wyprowadziliśmy naszą armatę na pole i tam robiliśmy różne ćwiczenia, na moją propozycję także z busolą kierowniczą. Staliśmy w śniegu prawie po kolana (R, 61).
14 lutego 1920, sobota: Dziś rano spóźniłem się do ziemniaków, bo mi zadziali gdzieś czapkę. Kossobudzki kazał mi za to zrobić przy końcu porządku. Po śniadaniu dziabaliśmy oskardami zmarznięty gnój przed stajnią (R, 79).

Do żołnierskich powinności należą praca w kuchni i przygotowywanie posiłków. Rembek wielokrotnie wspomina o obowiązku obierania ziemniaków i kuchennych zajęciach. Zdarza się, że pełniąc funkcję inspekcyjnego w kuchni, uprzyjemnia sobie ten czas lekturą: „Czytałem tam sobie baśnie Andersena” (R, 52–53). Nieodłącznym elementem wojskowej codzienności są wyprawy po prowiant, drewno i siano, niekiedy w trudnych warunkach, podczas panującego mrozu i śniegu. Żołnierze często są zmęczeni, pracują do późna, nie mając czasu na posiłek w ciągu dnia.

20 listopada 1919, czwartek: Dzisiejszej nocy nie spałem do trzeciej. Musiałem zmieniać sam wartę zamiast rozprawiającego Kępińskiego i odbierałem sanie z sianem, którego było coś 40 wozów. O czternastej skończyłem wreszcie służbę i wróciłem na swoją kwaterę (R, 47).

25 listopada 1919, wtorek: W poniedziałek rano wyruszyliśmy. Nie wolno było siadać, więc grząłem w śniegu, który już zaczął rozmiękać [...]. Ledwośmy we dworze zdążyli wyładować amunicję, gdy już wysłano nas po siano z podwodami. Śniadanie zjadłem dopiero u chłopca, z którym jechałem. [...] Byłem tak zmęczony, że zaraz poszedłem spać bez wieczerzy w pustej sali na słomie (R, 48).

Niekiedy w codzienność żołnierską wkradają się nuda i bezczynność, choć czas, kiedy nie ma co robić, zdarza się nieczęsto.

Męcząca staje się natomiast jednostajność upływających dni. Pisarz tęskni za domem, a w jego rozmowach z kolegami pojawia się temat tęsknoty za frontem. Wyznanie to wydaje się szokujące – żołnierze, choć przebywają w stosunkowo bezpiecznym miejscu, woleliby z narażeniem życia wziąć udział w walce. Paradoksalnie, nie mogąc dłużej znieść nudy i monotonii bezcelowego oczekiwania na tyłach frontu, tęsknią za walką, która pozwoliłaby im wyrwać się z codziennej rutyny.

Rembek i jego towarzysze urozmaicają sobie czas pogawędkami, grą w karty, śpiewem. On sam chętnie czyta różnorodne książki; wspomina między innymi o lekturze *Króla Duchy* Juliusza Słowackiego czy *Na posterunku* Artura Gruszeckiego.

Pisarz w swoim dzienniku odnotowuje niedzielne i świąteczne wyjścia do kościoła, zdarza się jednak, iż dociera na mszę spóźniony z powodu wcześniejszego wykonywania obowiązków, jak 14 grudnia 1919 roku, kiedy otrzymuje polecenie palenia w piecu przy ziemniakach, czy też w pierwszy dzień Bożego Narodzenia 1919 roku, kiedy nie może udać się na nabożeństwo, ponieważ wraz z innym żołnierzem musi gotować obiad.

Powszednią monotonię z rzadka przerywają uroczystości z okazji świąt czy Nowego Roku. Wielkanoc 1920 roku przypada w dniach 4–5 kwietnia, a w tym okresie pisarz na kilka tygodni przerywa pisanie dziennika, dlatego wzmianka o tych świątach pojawia się w jego notatkach dopiero 10 maja i ma postać jednego lapidarnego zdania: „Święta Wielkanocne niczym szczególnym się nie zaznaczyły” (R, 85). Bardziej szczegółowo opisuje natomiast żołnierską Wigilię i Nowy Rok. Wigilijny poranek 1919 roku rozpoczyna się dla Rembeka jak każdy inny dzień – szorowaniem od rana podłogi i schodów. Na wieczerzę żołnierze przygotowują śledzie z ziemniakami, a jako świąteczny upominek otrzymują „po kilogramowym chlebie, po torebecce pierników, marmolady, piwa, po 110 papierosów, jabłko, pocztówkę i kalendarzyk” (R, 58). Życzenia wesołych świąt – o ile to możliwe z dala od rodziny – składa im wzruszony zastępca dowódcy podporucznik Tarasewicz, który następnie częstuje obsługę „najlepszymi papierosami” (R, 58). Jak pisze Rembek, wszystko to bardzo rozczerliło żołnierzy.

Atrakcję dla żołnierzy stanowią nieczęste wyjścia bądź wyjazdy na przepustki – do Wilna czy bardziej odległych miast jak Łódź. Są one okazją do chwilowego oderwania się od codzienności, powrotu – choćby na krótko – do zwykłego życia, tak odmiennego od ich dnia powszedniego. Dla Rembeka przepustka do Wilna jest sposobnością, by udać się po drodze do kościoła w Wojdatach, a następnie do teatru w Wilnie.

Rembek wspomina także o występujących wśród żołnierzy sytuacjach konfliktowych, które nie są zjawiskiem niespotykanym w szeregach wojskowych – pojawiają się tam, gdzie przez dłuższy czas przebywają ze sobą ludzie o różnych charakterach i temperamentach, często znużeni, wyczekujący na zmianę swojej sytuacji bądź wyczerpani walką i poczuciem zagrożenia życia – mimo iż na polu bitwy współdziałający ze sobą. Między żołnierzami zdarzają się nieprzyjemne sytuacje, kłótnie, a nawet bójkі.

17 stycznia 1920, sobota: Małkowski poszedł na karty do sąsiedniej kwatery. Przyszedłszy o dziesiątej, obudził mnie i kazał mi się wynosić z posłania. Oparłem się temu, bo Zelik dał nam dwie poduszki, a gdzie indziej musiałbym spać na gołej słomie. Rzucił się wtedy na mnie i zaczął mnie bić. Ponieważ byłem silniejszy, więc podrapał mi twarz (R, 71).

W świetle *Dzienników* Rembeka można stwierdzić, że żołnierze, przez długi czas oczekujący na wyruszenie na front, odczuwają niedogodności związane z warunkami pogodowymi, dokuczają im brak snu spowodowany wykonywaniem obowiązków oraz choroby. Oddaleni od bliskich, żyjący w stłoczeniu i zdani głównie na własne towarzystwo doświadczają nieraz poczucia nudy i monotonii. Czynnikiem, który również ich dotyczy, są napływające wieści z pola walki. O ile przez dłuższy czas informacje docierające z frontu nie są liczne, o tyle niedługo przed wyruszeniem z Mejszagoły zapiski z wieściami wojennymi stają się częstsze. Rembek nie wszystkim wiadomościom daje wiare, od niektórych dystansuje się, używając słowa

„podobno”, ale coraz częściej wspomina o możliwości wyjazdu na front, do czego dochodzi, jak już wspomniano, 27 czerwca 1920 roku.

25 maja 1920, wtorek: Dzisiaj słyszałem, jak podporucznik Tarasewicz mówił do wachmistrza o naprawie mostu przed linią demarkacyjną. Może wyjedziemy na pozycję (R, 87).

28 maja 1920, piątek: Wczoraj rano wyszedł z Mejszagoły I batalion 28 pułku strzelców kaniowskich na front bolszewicki, gdzie walczą już podobno pozostałe bataliony tego samego pułku (R, 87).

6 czerwca 1920, niedziela: Chodzą u nas wieści o walkach 2 i 3 baterii na froncie bolszewickim (R, 90).

Dwa dni przed wyruszeniem na front Rembek notuje:

Zdaje się, wczoraj przejeżdżał pisarz Masłowski z 51 pułku. Mówił on, że jego pułk i nasza bateria mają jechać na front bolszewicki pod Hermanowicze, za Głębokie nad Dzisnę. Daj Boże, żeby to się sprawdziło. Sprzykrzyło mi się bowiem to czterotygodniowe urzędowanie w komendzie placu. Jediną moją rozrywkę stanowi słuchanie opowiadań różnych przyjezdnych gości (R, 91).

Dalsza część dziennika frontowego poświęcona jest działaniom wojennym i zawiera przede wszystkim opis życia w warunkach ekstremalnych, w poczuciu ciągłego zagrożenia, relacje dotyczące walki, a także obraz świata po przyjściu wroga.

Na froncie

W części tomu *Dzienniki. Rok 1920 i okolice*, określanej jako dziennik frontowy, Rembek przyjmuje przede wszystkim strategię reporterską. Dominują tu opisy operacji wojennych i walki, dokumentaryzm (autentyzm wydarzeń, języka, postaci,

dokładność, sprawdzalność nazw, dat), jak również literackość (istnienie narratora, plastyczność opisów, środki typowe dla prozy). Na zakończenie dziennika frontowego pisarz przytacza dwuipółstronicowy fragment *Raportu bojowego 1 dywizjonu 10 kaniowskiego pułku artylerii polowej*, który urywa się na piątym dniu. Ukazany w nim przebieg działań wojennych odpowiada wydarzeniom opisanym przez Rembeka. Pisany zwięzłym, skrótowym językiem raport szczegółowo przedstawia działania poszczególnych baterii, wskazując precyzyjnie miejsca i godziny poszczególnych operacji:

Lipiec. 1. Przybywa na pozycję bateria 1, która dnia 27.6. wyruszyła z Mejszagoły i załadowała się w Wilnie. [...] 2. O godz. 1.00 bat 1 zluzowała na pozycji bat. 2. Podczas zmiany nieprzyjacieli zaatakował pozycje piechoty na odcinku bat. Bat. 1 wypuściła 100 pocisków. Atak został odparty. [...] O godz. 12 min. 15 bat. 2 odeszła z pozycji i rozkwaterowała się na folwarku Terespol. [...] 4. [...] O godz. 8.00 29 p.S.K., zebrawszy się we wsi Ulino i oparłszy się o drugą linię obronną, przeszedł do kontrataku na wsie Bogdinoje i Dworiszcze. Bat. 1 zajęła pozycję na wsch. od wsi Osinówka i ciągnęła linię telefoniczną na pkt. obs. na drodze pół km. na wsch. od wsi Ulino (R, 133).

Następująco przedstawia się relacja Rembeka z 2 lipca 1920 r., dostarczająca więcej informacji na temat przebiegu zdarzeń opisanych skrótowo w raporcie:

2 lipca 1920, piątek: Dowiedzieliśmy się, że mamy zmienić na stanowisku 2 baterię naszego dywizjonu. Wywiadowca ze sztabu dywizjonu zaprowadził nas do niej. [...] Zaledwie 2 bateria zdążyła wytoczyć swoje trzy działa, czwarte jest bowiem zepsute, gdy na linii rozległa się gorączkowa strzelanina karabinowa i terkot maszynek. Kapitan Połowski zawołał:

– To na pewno atak bolszewicki!

Niedługo odezwały się armaty i zrobiła się taka kanonada, że nie było po prostu żadnych przerw w huk. [...] Latarka gaśla

mi od huku z każdym strzałem. Oślepił mnie ogień z lufy. [...] Był taki huk i wycie przelatujących pocisków, że mało co było słycać słowa komendy. Zagwizdało mi nad głową. Obejrzałem się i zobaczyłem pękające za nami dwa szrapnele [...]. Podporucznik Tarasewicz krzyknął na mnie:

– Nie oglądajcie się! To was nic nie obchodzi!

Zresztą ciągle komenderował:

– Cztery naboje, ogień ciągły!

Minuta wsuwał granaty w dymiący zamek, a Kępa palił, aż oślepił i ogłuszał mimo waty w uszach. Wreszcie wszystko ucichło (R, 94).

Warto przywołać także informację o powyższych zdarzeniach, przedstawioną przez Rudolfa Lerocha-Orlota. Wnosi ona dodatkowe wiadomości o personaliach oficerów:

W dniu 1 lipca przybyła z polsko-litewskiej linii demarkacyjnej z pod Wilna 1-a bateria porucznika Stefana Świnarskiego, łącząc się z pułkiem i zajmując stanowisko we wsi Sielce. Obsadę oficerską 1-ej baterji stanowili: dowódca baterji – por. Stefan Świnarski i oficerowie baterji – ppor. Witold Tarasiewicz, ppor. Tadeusz Ling i podchor. Jan Janc. Ostrzeliwana w nocy przez dalekonośną baterję nieprzyjacielską zachowywała się w ogniu nad wyraz mężnie. Rannym został tu kan. Józef Lewosiński oraz jeden koń.

Na przewagę strategii reportażowej wskazuje także fakt, iż ukazany przez pisarza obraz wojny nie niesie za sobą wizji romantycznej – opisy z pola walki pozbawione są patosu, Rembek wprost pisze o piekle. Żołnierze spełniają swoją powinność i mimo ciężkich warunków oraz zagrożenia życia nie ustępują z pola bitwy; oburzają się na plutonowego Dobrosielskiego, który zaczął uciekać (R, 96), nie szczędzą też drwin, obelg, a nawet razów tym, którzy opuszczają swoje stanowiska (R, 111). W wizji Rembeka dominują jednak żołnierski znoj, znużenie i nieustanne ryzyko śmierci. Zdarza się, że zmęczeni długotrwałą

walką żołnierze zasypiają tak twardym snem, że nie słyszą ani wystrzałów własnej baterii, ani wybuchów bolszewickich granatów w pobliżu obozu. Nieobcy jest też im strach w obliczu zagrożenia śmiercią.

2 lipca 1920, piątek: Kilka szrapneli pękło nad samymi działami, jeden akurat nad moją głową. Potem zaczęły padać ciężkie granaty. Pierwszy padł o czterdzieści kroków w prawo od mojego działa (R, 96).

5 lipca 1920, poniedziałek: Tak byłem zmęczony walką oraz biegiem przez płonąca wieś, że gdy w pogoni za swym działem wydostałem się wreszcie na szosę, nie miałem nawet siły krzyknąć na jezdnych, by się zatrzymali, i tylko ręką dawałem im znaki. I tak by mnie zresztą nie usłyszeli, bo na szosie panowało istne piekło. [...] Jeźdźcy wymijali wszystkich, wznosząc chmury kurzu, który zasłaniał wszystko. Tylko ranni wlekli się wolno, poobwijani zakrwawionymi bandażami. Niektórych podtrzymywali towarzysze. Bolszewicy trzymali drogę pod huraganowym ogniem artylerii (R, 99).

18 lipca 1920, niedziela: Gwałtownie skręciliśmy do pobliskiego lasu. W tej chwili z Lidy, gdzie jak się okazało, byli już bolszewicy, zaczęto do nas bić z armat. Granaty pękały wśród nas na polu, a potem w lesie. [...] Raniutko po trzeciej nieprzebranej nocy wpadliśmy pod Mytem koło mostu w zasadzkę bolszewicką. Zasypano nas ogniem i zaatakowano równocześnie z dwóch stron: od mostu i z lewego boku. [...] na drodze przewracali się ranni i zabici oraz ugodzone kulami konie. [...] Niektórzy podwodziarze kładli się ze strachu na wozach i nakrywali sobie głowy słomą. Widziałem jednego, jak bił kłonicą jęczącego konia, któremu z przestrzelonego boku chlustała krew jak ze studni (R, 108).

Nie można też mówić o wizjach śmierci wzorowanych na *Pieśni o Rolandzie*, gdzie eliminowane są akcenty naturalistyczne, a moment śmierci, ukazany w sposób patetyczny, ma formę rytuału. Obrazy śmierci ukazane przez Rembeka mają

charakter naturalistyczny, pozbawiony wzniosłych, symbolicznych gestów; w zamęcie walki nierzadko nie ma nawet czasu na godne pogrzebanie poległych w bitwie towarzyszy broni. Ciała martwych żołnierzy, napotymane po drodze, są nieodłącznym elementem krajobrazu po bitwie – określonego brutalnie mianem krwawego śmietnika, przedstawionego w naturalistyczny przez pisarza, podobnie jak pożogi, zgliszcza, pozostałe po przejściu wroga, krew, porzucone wozy i sprzęt, a także zabite konie. Motywem wyraźnie obecnym w tekście pisarza jest obraz zniszczeń wojennych, pogorzeliisk, ruin, spalonych miasteczek, sterczących kominów. W zapisach Rembeka obecna jest również przyroda, ale jako że skupia się on na obrazie ludzkiej egzystencji w świecie wojny, to elementy natury pełnią tu szczególną funkcję: są częścią owego wojennego życia, częścią żołnierskiej codzienności. Lasy i zagajniki stanowią schronienie i miejsce postoju, ale zarazem bywają przestrzenią niebezpieczną, stają się terytorium walki. Podobnie łąki i pola zbóż stanowią element przestrzeni, w której toczy się wojna – znajdują się tu stanowiska baterii, padają pociski, wybuchają granaty wroga, przecho-
dzą ranni. Częścią tej scenografii są rzeki, jeziora i źródła, w których żołnierze kąpią się, piorą odzież. Ponadto w pobliżu rzek, a także na groblach, znajdują się pozycje żołnierzy, tu również toczą się zaciekle walki, podobnie jak na pagórkach czy leśnych polanach, nierzadko wśród płonących drzew.

1 lipca 1920, czwartek: Jechaliśmy wśród jakichś zwalisk i sterczących kolumn. Czuć był woń spalenizny. Przekonałem się, że miasteczko jest doszczętnie spalone, tak że pozostały jedynie komin i piec. Dalej rozpościerał się kraj równy i pusty (R, 93).

9 lipca 1920, piątek: Na naszej drodze leżą porzucone skrzynki od amunicji, naboje, rozbite wozy, padłe konie. Trafił się nawet trup opuchły i zakurzony jakiegoś żołnierza, zmarłego widocznie z ran (R, 103).

13 lipca 1920, wtorek: A wokół czerwono, ile że jeszcze było ciemno, bo płonęły lasy (R, 105).

18 lipca 1920, niedziela: Już dwa dni i noce maszerujemy bez przerwy. Odwrót nasz jest tak pośpieszny, że wszędzie spotykamy całe masy porzuconej amunicji karabinowej i artyleryjskiej, poniszczone kuchnie polowe, wozy, padłe konie... (R, 107).

5 sierpnia 1920, czwartek: Na szosie nie było żywego ducha. Leżały tam tylko wozy z pozabijanymi końmi i trupy naszych żołnierzy wśród krwawego śmietnika szarpi, bandaży, części oporządzenia i kałuż krwi. W jednym miejscu leżało aż czteremastu. Widziałem z bliska trzech: dwóch miało przestrzelone głowy, a trzeci serce. Jednego śmierć zaskoczyła, gdy nabierał menażką wody z kałuży (R, 117).

27 września 1920, poniedziałek: Szliśmy krajem spalonym i zniszczonym. Wszędzie po polach leżą zabite konie. Niektóre już się rozlewają, a wszystkie przeraźliwie śmierdzą (R, 130).

Rembek szczegółowo podaje trasę, którą żołnierze przemierzali w okresie ujętym w dzienniku frontowym. Miejsce akcji jest tutaj, jak pisze Andrzej Kaliszewski, analizując reportaż wojenny Władysława Orkana pt. *Drogą Czwartaków od Ostrowca na Litwę* (1916), „dynamiczne, tak jak dynamiczna jest sama wojna. Na miejsce to składają się etapy, marszruty, kwatery, obozy leśnie, pola walk. [...] Szczególnie ważne jako miejsca odpoczynku, ale i czającego się niebezpieczeństwa oraz bitew są tu lasy; swoistą rolę odgrywają też rzeki [...]: symboliczne jako granice etapów, malownicze, a zarazem śmiertelnie groźne w czasie przeprawy”. Po wyruszeniu na front marszruta baterii, do której należał Rembek, wiedzie przez następujące, wskazane przez pisarza miejsca: Łużki, Głębokie, Kułaki, Świnka, Jasło, Danuszewo, Bielewicze, Żuprany, Oszmiana, Grażyszki, Klewica, Podworańce, Mitwiańce, Wielkie Sioło, Myto, Kowale, Wasiliszki, Lesiszcze, Szkidel, Odelsk, Stojaki, Supraśl, Rózki, Sokoły, Faszczce, Kalinowo-Czosnowo, Zambrów, Wysokie Mazowieckie, Ostrów Mazowiecka, Trzcianka, Łajski w powiecie Miłosna, Zegrze, ponownie Łajski, Skrzyszewo, Nieporęt, Radzymin, Marianów nad Bugiem, Wyszaków, Pułtusk, Ruski, Mężenin, Ciechanów, Modlin, Warszawa (kilkuminutowy postój

na dworcu Warszawa Wschodnia), Dęblin, Garwolin, Lublin, Krasnystaw, Izbice, Zamość, Jarosławiec, Góra-Grabowie, Horyski, Tyszkowice, Radosław, Dołhobyczów, Uhrynów, Sokal, Konotopy, Druskopol, Ostrów, Kozin, Białogródka, Dubno, Łuck, Hołoby, Kowel, Brześć Litewski, Terespol, Malówka, Cieleśnica. Rzeki, o których wspomina Rembek, to: Auta, Narocz, Wilia, Niemen, Narew, Bug, Styr. Część trasy żołnierze pokonują pociągiem, nierzadko w uciążliwych warunkach.

27 sierpnia 1920, piątek: [...] zaczęliśmy się ładować dopiero w nocy podczas ulewnego i niesłychanie zimnego deszczu. Na dobitkę nam, obsłudze, dostał się wagon z podziurawionym dachem. [...] Ja mam wartę. Warownia mieści się w wagonie pełnym wilgotnego siana. Gorąco w nim jak w łaźni (R, 123–124).

Przemierzając duże odległości pieszo, żołnierze odczuwają niedogodności związane z pogodą, wyczerpanie długim marszem, głód, cierpią także z powodu ran. Nierzadko maszerują w przemoczonym ubraniu z powodu deszczu lub przeprawy przez bród, niekiedy boso lub w zniszczonym obuwiu. Zdarzają się też momenty załamania psychicznego.

7 lipca 1920, środa: Jechaliśmy przez całą noc bez odpoczynku. [...] Oficerowie szli na przedzie poranieni. Żołnierze wlekli się za nimi bezładnie, przeważnie boso. Niektórzy płakali, że już nie mają sił maszerować. Rzeczywiście był to pochód niezmiernie uciążliwy. Ja nie spałem już trzecią noc, siadłem więc na przodkarze i drzemałem aż do Łuzek. [...] Była jeszcze noc, kiedy wjechaliśmy do miasteczka. Stąd ruszyliśmy śmiertelnie pomęczeni i wśród skwaru do wsi Łuzka-Mosarz (R, 102)

1 sierpnia 1920, niedziela: Tymczasem cofaliśmy się wśród takich ciemności, że nie było widać końca swego nosa. Deszcz bił bez przerwy. Mimo to z trudem zwalczaliśmy niewypowiedzianą senność. Była to jedna z najstraszniejszych nocy. [...] Buty rozlały mi się od wilgoci zupełnie, tak że musiałem je zdjąć. Wokół kostek mam głębokie rany, wyżarte przez wszy (R. 115).

Odwołując się do ustaleń Williama P. Nasha z artykułu *Stresory wojny*, przywołanych przez Andrzeja Piotrowskiego, należy wskazać, że do czynników, których doświadczają żołnierze walczący na froncie, a które mają wpływ na ich psychikę, należą stresory fizyczne: warunki pogodowe – upał, wilgoć, a także brud, brak snu, choroby, urazy, ciemności utrudniające walkę, hałas wybuchów, wyczerpanie, głód; poznawcze – między innymi nagle zwroty sytuacji, niespodziewane ataki, pułapki zastawione przez wroga; emocjonalne – strach, brutalne sceny śmierci; społeczne – oddalenie od bliskich, brak prywatności. Widać zatem, iż część doświadczeń dotyczy zarówno żołnierzy oczekujących wyruszenia na front, jak i biorących udział w bitwach, niektóre zaś są specyficznym doświadczeniem związanym z walką.

Naoczne świadectwo, którego wyraz stanowią dzienniki Rembeka z wojny 1920 roku, jest świadectwem żołnierza i pisarza zarazem. W przypadku Rembeka ma to szczególne znaczenie, jako że doświadczenia frontowe stały się dla niego źródłem inspiracji. Jak pisze Tomasz Burek, przeżycia frontowe roku 1919 i 1920 uformowały w zasadniczym stopniu jego świadomość i osobowość twórczą, stając się tworzywem i natchnieniem dla dwóch powieści: *Nagan* (1928) i *W polu* (1937). Krzysztof Masłoń, pisząc o dziesięciu najlepszych powieściach o wojnie polsko-bolszewickiej, wymienia również *Dzienniki Rembeka*: „Kto wie, czy literacko najświetniejszego obrazu wojny 1920 r. nie przedstawił Stanisław Rembek, nie tylko w swych sztandarowych dziełach – *Naganie* i *W polu* – ale także w wydanym wiele lat po śmierci autora dzienniku, w którym beznamiętnie notował”.

DAREK FOKS

Szarża lekkiej brygady

Samozwańczym blokowym

Wychodzi na to, że się wszyscy
widzimy i wszyscy słyszymy,
więc zaczynamy. Wiecie już,
że nasze stowarzyszenie wygrało

przetarg na przemówienia
z okazji tegorocznych rocznic
sierpniowych. Skupiamy się
na stuleciu Bitwy Warszawskiej,

gdyż tego życzą sobie nasi
zleceniodawcy, obecnie bardzo
zajęci naszym nagim życiem,
ale wciąż wyczuleni na słowo.

Czasu niby jest sporo, jednak
dokładnie za tydzień musimy
przedstawić im jak najpełniejszy
zarys naszych pomysłów.

Mimo niebagatelnych stawek
zawodowcy nas nie wesprą,
bowiem podpisali już umowy
na kontynuację dzieła Camusa,

zatem całe zlecenie wykonamy
siłami naszego klubu literackiego.
Stąd ta moja nagle prośba
o spotkanie. Jeszcze raz dziękuję,

że jesteście. W nocy czytałem
wasze prace z ostatniego roku
i rozdzieliłem obowiązki. Wojtek,
jako specjalista od struktury tekstu,

zajmie się ogólną konstrukcją
wystąpień. Małgosia, czyli nasza
zdecydowanie najlepsza stylistka,
zapropnuje warianty tekstu

dla wójta, burmistrza, wojewody
i tak dalej. Jola od wymyślania
nietuzinkowych bohaterów
wymyśli nam nietuzinkowego

bohatera, na przykład księdza
uganiającego się z krucyfiksem
za gigantycznym zarazkiem
po polu, z którego właśnie zjechały

kombajny. Coś w tym stylu,
dasz radę. Jutro o tej samej porze
omówimy kwestię kluczowych
przymiotników. I bardzo proszę,

nawet na chwilę nie zapominajcie,
że to od nas w dużej mierze zależy,
co ten naród zabierze ze sobą
z placów apelowych do baraków.

17 marca 2020

ANDRZEJ DE LAZARI

Lata 1920–2020 w historii rodzinnej łódzkich de Lazari

W 1919 roku urodziła się moja mama – Irena de Lazari – jedna z pierwszych łódzianek (jeśli nie pierwsza?) odznaczonych Orderem Uśmiechu, w 1921 – jej siostra Ija, ceniona uczona-etyk. Z pochodzenia były Rosjankami. Ich ojciec Konstanty de Lazari (1869–1930), syn Mikołaja (1837–1901) i Aleksandry Engelhardt (1847–1927), stał się polskim obywatelem i zapoczątkował polską gałąź rodu. Urodził się w Krzemieńczuku (gubernia połtawska), a dzieciństwo spędził w Grójcu i w Radomiu, gdzie służył jego ojciec. Konstanty był wychowankiem korpusu kadetów, jednak w wojsku (40 Pułk Małorosyjski) służył tylko cztery lata. W 1892 roku, zapewne dzięki protekcji ojca (wówczas naczelnika żandarmerii w Omsku), został „urzędnikiem do specjalnych poruczeń” przy gubernatorze w Erewaniu, w 1894 roku pomocnikiem naczelnika powiatu w Kokczetawiu, a w roku 1896 – naczelnikiem powiatu w Lepsinsku. W 1897 roku wziął udział w pierwszym rosyjskim spisie powszechnym. Był zapalonym podróżnikiem i fotografem; pozostawił po sobie masę niezwykłych zdjęć na szkle. Prowadził korespondencję z pracownikami petersburskiej Kunstkamery (Muzeum Antropologii i Etnografii) i przysyłał im fotografie, które do dziś są bardzo wysoko oceniane. W latach 2009–2010 polska ambasada pokazała w kilku miastach Kazachstanu wystawę jego prac. Wiele nieskatalogowanych zdjęć Konstantego, tworzących swoisty portret Jedwabnego Szlaku (od Chin, przez Kazachstan, Rosję, Polskę do Włoch) znajduje się w łódzkim Muzeum Kinematografii. Niestety wszystkie moje wnioski o grant na ich digitalizację i publikację zostały odrzucone.



KONSTANTY W KAZACHSTANIE

Ponieważ w 1898 roku Mikołaj zakończył służbę w Omsku, przeszedł na emeryturę i przeniósł się do córki i zięcia w Rudłowie (nieistniejący już majątek niedaleko wsi Dubasiszcze na Smoleńszczyźnie), Konstanty podążył za ojcem do europejskiej części imperium. W 1899 roku został sędzią pokoju w Telszach w guberni kowieńskiej, w 1903 roku komisarzem do spraw włościańskich w Radomsku, a w roku 1914 – prezesem Gubernialnej Komisji do spraw Włościańskich w Lublinie. W Żuchowicach w powiecie piotrkowskim miał nieduży majątek.



KONSTANTY W ŻUCHOWICACH



KONSTANTY W ŻUCHOWICACH

Gdy wybuchła wojna, Konstanty trafił do sztabu 2. Armii w roli sekretarza Aleksandra Guczkowa, pełnomocnika Czerwonego Krzyża. Później, na przełomie 1915 i 1916 roku, był sekretarzem Stepana Bieleckiego, wiceministra spraw wewnętrznych. Zakończył służbę w Imperium Rosyjskim jako radca stanu (статский советник).

7 września 1917 roku był jeszcze w Piotrogradzie, później zaś, gdy wybuchła rewolucja, zapewne dołączył do rodziny w Rudłowie. W życiorysie załączonym do podania o przyznanie polskiego obywatelstwa pisze, że w latach 1918–1919 pracował jako „urzędnik kancelaryjny” oraz „buchalter rolniczy w majątkach rządowych” i że był kilkakrotnie aresztowany, o czym świadczyć ma m.in. dokument z 6 września 1921 roku.



DOKUMENT Z 6 WRZEŚNIA 1921 ROKU

Na początku 1919 roku Konstanty rozwiódł się z pierwszą żoną Walentyną Dylewą i 26 czerwca w Połocku poślubił Natalię Podrieżową (1897–1957). 9 listopada tego samego roku w Rudłowie urodziła im się córka Irena (moja mama), zaś 8 maja 1921 roku we wsi Arniszyce – Ija.



NATALIA Z IRENA

8 listopada 1921 Konstanty sporządził testament, a następnie, zebrawszy wszystkie dokumenty świadczące o jego „polskości” (żył w Polsce w sumie ponad 30 lat), rozpoczął starania o wyjazd z rodziną z sowieckiej Rosji jako polski uchodźca. Miał m.in. paszport wydany w 1904 roku przez gubernatora guberni piotrkowskiej i dokumenty poświadczające, że jest właścicielem majątku w Żuchowicach. Na ich podstawie znalazł się z żoną i córkami na „Imiennej liście uchodźców mieszkających w jelniskim powiecie, podlegających odprawieniu do ojczyzny, do Polski”. Na dokumencie wskazana jest polska narodowość uchodźców oraz miasto Nowo-Radomsk (Radomsko) w guberni piotrkowskiej jako miejsce ich zamieszkania przed rewolucją.

Учлененный в общество
 Таманский, промывавшийся в Новоромск
как один из род. таманских эмигрантов
 на падежи в Новоромск.

Имя	Фамилия	Возраст	Профессия	Место рождения
Имя	Фамилия	Возраст	Профессия	Место рождения
Имя	Фамилия	24	Торговля	Новоромск
Имя	Фамилия	12	Торговля	Новоромск
Имя	Фамилия	5	Торговля	Новоромск

IMIENNA LISTA UCHODźCÓW

Konstanty został co prawda z listy wykreślony z powodu wspomnianego zobowiązania o nieopuszczaniu guberni smołeńskiej, jednak, zapewne dzięki łapówce, 15 maja jako „rolnik” znalazł się z rodziną za granicą sowieckiej Rosji w Baranowiczach, zaś 28 maja w Radomsku.

Baranowicze, dnia 16/5 1922 r.

885

Komenda Powiatowej P.P.
Stacja Kontrolna 4 **ZASWIADCZENIE № 159570**
 w Baranowiczach.

Imię i nazwisko *De-Ponari Konstanty*

Wiek *53* Zawód *rolnik*

Przybył do Polski dnia *15/5* 1921 r. transport (lista transportu) №

Udaje się do miejsca zamieszkania w *Nowa Radomsk*

Stan rodzinny *żona Natalia 25 dzieci Józefa 10, 6 m.*
Jan 16.

Niniejsze wydaje się w myśl Instrukcji M. S. W. z dnia 23 marca 1921 r. an. № B. H. 4237 w sprawie postępowania podczas przebiegu repatriacji w dowód prawa powrotu do kraju i na zasadzie okazanych dokumentów *wypis dyplomu metryki matki z D. G.*

oraz jest ważne tylko za ich okazaniem.

Ulega wymianie na wewnętrzny dowód *W. P. P. B.* posiadacza do miejsca przeznaczenia.

M. S.
Stacja Kontrolna
BARANOWICZE
 data wjazdu _____
 podpis *Krupke*

ZASWIADCZENIE – BARANOWICZE

090

P.O. 3 dnia 21 sierpnia 1922 r. zgłosił się do mnie p. Konstanty DeLugari syn
 Aleksandra, urodzony w mieście Kremenczuk (Poltawskiej gubernii, w Rosji)
 20 marca 1889 r. i oświadczył, że on potrzebni i Rosji w dniu 20 maja
 1922 r. rodzina t.j. sowa Natalia lat 20 i 3 córki: Irena lat 17 i
 Iga i ruka.
 Proszę oświadczyć swojej nie udawania. - Zarządca w Radomsku
 p. p. przy ul. Krakowskiej 244. -
 Radomsk, dnia 20.V.1922.
 A. Szpakowski

Władność
[Signature]
 kierownik biura.

Radomsk, dnia 8.VI.1922 r.

BIURO POLICJI
RADOMSK

Komisariat Policji Państwowej
 w Radomsku

Do wiadomości i poleceń roztoczenia nad De Lu-
 gari p. p. przez burmistrza państwowego.
 Nadto polecać sprawcać baczną uwagę na jego zachowa-
 nie się pod względem politycznym i o wyniku donieść
 Starostę.

Radomsk, dnia 8.VI.22.

STAROSTA

[Signature]

[Stamp: BIURO POLICJI RADOMSK]
 [Stamp: 20.05.22]

RADOMSK

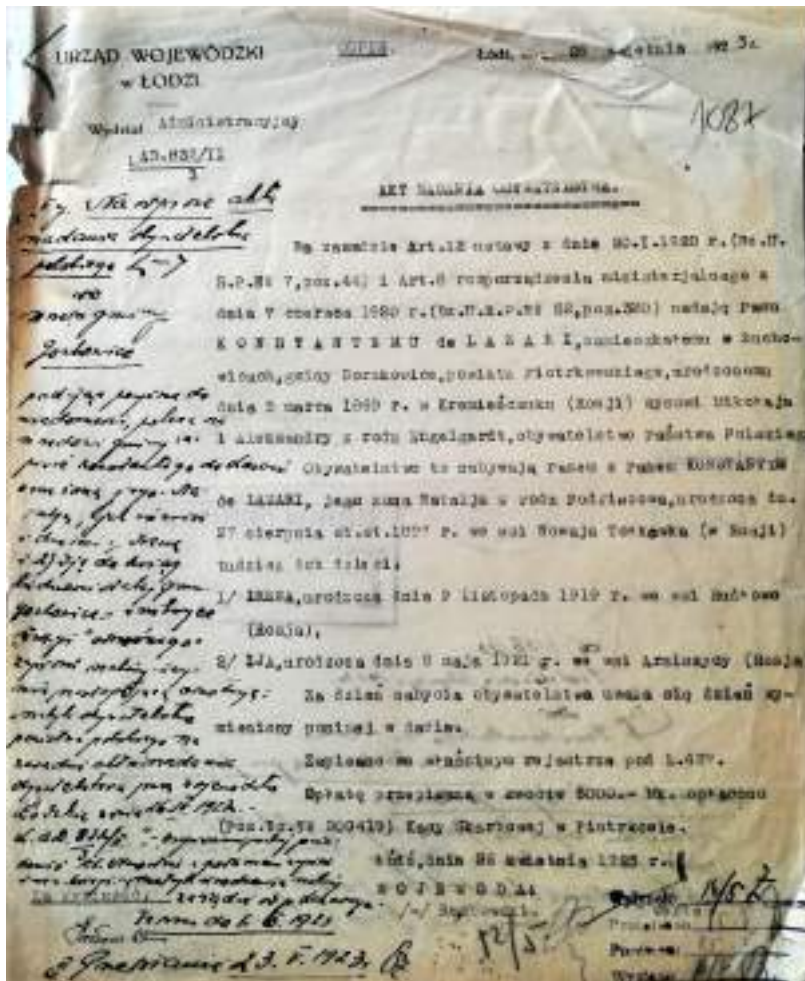
12 czerwca 1922 wystosował do „Wielmożnego Pana Starosty w Radomsku” następujące pismo:

Z chwilą wybuchu wojny w sierpniu 1914 r. ewakuacją byłem zmuszony wyjechać z Polski do Rosji i tam przebywałem aż do końca maja br., przechodząc podczas rządów bolszewików najokropniejsze traktowanie jako kontrrewolucjonista, tak że prawie cały czas aż do września ubiegłego roku przesiedziałem w fortcach i więzieniach, jak dowodzą załączone dokumenty.

Chcąc powrócić do Kraju, zapisałem się na listę uchodźców, jednak z listy zostałem również przez władze bolszewickie wykreślony i tylko ucieczka wróciła mi wolność i możliwość powrotu do Kraju.

Załączając przy niniejszym dziewięć dokumentów różnej treści i powołując się na W. Panów: dr Rago, dr Gurbskiego [lekarze z Radomska – przyp. aut.], geometrę p. Imienińskiego, byłego rejenta, obecnie właściciela majątku Maluszyn w województwie łódzkim p. Józefa Ostrowskiego, właścicieli dóbr Borowno pow. Radomskowskiego Adama Michalskiego i hrabiego Skarbka, upraszam W. Pana Starostę o wyjednanie mi u Władz Polskich poddaństwa i obywatelstwa Rzeczypospolitej Polskiej. Mając nadzieję, iż W. Pan Starosta po zasięgnięciu informacji co do mojej osoby zechce łaskawie poprzeć niniejszą prośbę moją, pozostaję z wysokim poważaniem K. de Lazari.

28 czerwca 1922 konsulats RFSSR zawiadomił Konstantego o pozbawieniu go obywatelstwa rosyjskiego. Obywatelstwo polskie uzyskał 26 kwietnia 1923 roku.



AKT NADANIA OBYWATELSTWA

5 lutego 1924 w Radomsku urodziła się jego najmłodsza córka Ludmiła. W Łodzi Konstanty zamieszkał pod koniec 1924 roku i został zatrudniony w Urzędzie Skarbowym. Niestety zachorował na sarkomę kręgosłupa i zmarł 2 listopada 1930 r. Pochowany został na łódzkim Starym Cmentarzu. Natalia zmarła w 1957 roku i spoczęła obok niego.



W PARKU HELENÓW



IRENA I IJA DE LAZARI, 1926 R., ŁÓDŹ



IZBA SKARBOWA W ŁODZI, LATA 20



KONSTANTY – KLEPSYDRA

Gdy dziad żył, rodzina była finansowo zabezpieczona. Konstanty sprzedał majątek w Żuchowicach, rozliczył się z pierwszą żoną, wykupił udziały Spółdzielczego Towarzystwa Budowy Domów dla Urzędników Skarbowych i zamieszkał przy ul. Skarbowej 10. Po jego śmierci Natalię stać było, by jej córki uczyły się w prywatnym Gimnazjum Niemieckim.



IRENA – LEGITYMACJA SZKOLNA



PRAWOSŁAWNI Z NIEMIECKIEGO GIMNAZJUM W ŁÓDZI, 1933 R.



IJA I IRENA W ŁODZI

PRYWATNE GIMNAZJUM ŻEŃSKIE
Z NIEMIECKIM JEZYKIEM NAUCZANIA

NIEMIECKIEGO STOWARZYSZENIA SZKOLNEGO W ŁODZI

Na mocy rozp. Min. W. S. i O. P. z dnia 18 czerwca 1917 r. Nr. II S. 615/17 szkółce posiada uprawnienie dostrawiania
gimnazjum ogólnokształcących.

PRIVATES MÄDCHENGYMNASIUM

MIT DEUTSCHER UNTERRICHTSSPRACHE

DES DEUTSCHEN SCHULVEREINS IN LÖDZ

Auf Grund der Verordnung des Ministers für Kultur und Unterricht vom 18. Juni 1917 Nr. II S. 615/17 besitzt
die Schule die Rechte der allgemeinbildenden staatlichen Gymnasien.

Nr. *11*

Rok szkolny-Schuljahr 1937/8

**ŚWIADECTWO SZKOLNE,
SCHULZEUGNIS.**

di Łasowa Ludmilla
urodzona dnia *Łódź* 19*24* ujęta den *Łódź* 19*24*
w *Łódź* in *Łódź*
(powiat) *Łódź* (Kreuz) *Łódź*
wymiar *prywat.* Korrespondenz *Łódź*
szkolna *I* klasa Schülern der *I* Klasse

otrzymano za rok szkolny 1937/8
stosownie następujące:

erhält für das Schuljahr 1937/8
folgende Zeichnen:

to sąstanowia się	<i>dobry</i>	Befolgen	<i>als gut</i>
z religii	<i>dobry</i>	Erlernen	<i>gut</i>
języka polskiego	<i>dobry</i>	Polnisch	<i>gut</i>
języka niemieckiego	<i>bestanden</i>	Deutsch	<i>bestanden</i>
języka francuskiego	<i>dobry</i>	Latin	<i>gut</i>
historii	<i>dobry</i>	Geschichte	<i>gut</i>
geografii	<i>dobry</i>	Erkunde	<i>als gut</i>
przyrodniczo-wiedzy	<i>dobry</i>	Naturkunde	<i>gut</i>
fizyki i chemii		Physik und Chemie	
matematyki	<i>dobry</i>	Mathematik	<i>gut</i>
pracy ręcznej	<i>bestanden</i>	Handfertigkeit	<i>bestanden</i>
światła i muzyki	<i>dobry</i>	Tanze	<i>gut</i>
z tasksi przedmiotów dodatkowych:		Wahlfreie Fächer:	
języka angielskiego	<i>dobry</i>	Englisch	<i>gut</i>
niemieckiego i muzyki	<i>dobry</i>	Deutsch und Musik	<i>gut</i>

Liczba ocenionych dla szkolnych

Zahl der bewerteten Schülere

Liczba spośród

Zahl der Versetzten

Wynik ogólny

Gesamtergebnis

z czego nie odpowiednio

ausser ausreichend

z czego nie odpowiednio

davon unzureichend

dobry

gut

ŚWIADECTWO LUDMIŁY

Później było coraz trudniej. W 1936 roku Irena musiała, jako najstarsza, zakończyć naukę i poszukać pracy (maturę zdała dopiero w 1962 roku, rok przede mną). W 1939 roku dom przy Skarbowej 10 zlicytowano i Natalia z córkami zamieszkały przy Murarskiej 9 w domu z wychodkiem na podwórzu.

Owdowiałej żonie i jej córkom pomagała rodzina rosyjskiego emigranta Aleksego Griaznowa, inżyniera w fabryce Eitingona, sąsiada ze Skarbowej. Dzięki tej pomocy Irena została najpierw guwernantką w rodzinie Wańkowiczów w Równem na Wołyniu (tam zastała ją wojna), a później w Raśnikach uczyła trójkę dzieci Włodzimierza Pospiełowskiego: Marynę, Olgę i Dymitra, który po latach stał się znanym w świecie historykiem (zmarł w Kanadzie w 2014 roku). Z Wołynia do Łodzi wróciła w 1941 roku, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, i została kasjerką w łódzkim ZOO, natomiast jesienią 1944 roku trafiła do obozu pracy przy zakładach zbrojeniowych w Kapfenbergu w Austrii. Ponieważ biegle władała niemieckim i rosyjskim, przydzielono ją do opieki nad dziećmi robotników przymusowych ze Związku Sowieckiego. Zachowały się obozowe wspomnienia Ireny oraz jej wychowanków.



IRENA W KAPFENBERGU

Tania Aleksiejenko wspomina: „Na pewno zmarnielibyśmy tu do reszty, gdyby nie pojawiła się u nas Irina Konstantinowna. Irena Lazari, 24-letnia osadzona z polskiego baraku, zobaczyła, w jakim jesteśmy stanie, i poprosiła, by mogła być naszą wychowawczynią. Zezwolili. Od tej pory w naszym życiu pojawiło się słońce, którego wcześniej nie zauważaliśmy. [...] Zaczęliśmy się nawet niekiedy uśmiechać”.



SIERIOŻA KOWALENKO I DMITRIJ LIAKOS 1944–1945



AUSWEIS IRENY

Od tej pory Irena na stałe związała swoje życie z wychowaniem dzieci. Do Łodzi wróciła we wrześniu 1945 roku. Pracowała jako pielęgniarka, kierowniczką żłobka, wychowawczyni. Gdy poszukując lepszych zarobków, postanowiła wykorzystywać znajomość języków obcych i w 1960 roku zatrudniła się w łódzkiej Centrali Handlu Zagranicznego, kontynuowała pracę z dziećmi jako kurator społeczny Sądu dla Nieletnich. Zajmowała się tymi, z którymi nie radziły sobie domy dziecka. Gdy wyjechałem na studia do Warszawy, stała się „ciocią” dla – kolejno – trzech chłopców i jednej dziewczynki. Dzieci mieszkaly u niej. Za tę działalność w 1971 roku została odznaczona Orderem Uśmiechu (legitymacja nr 58).

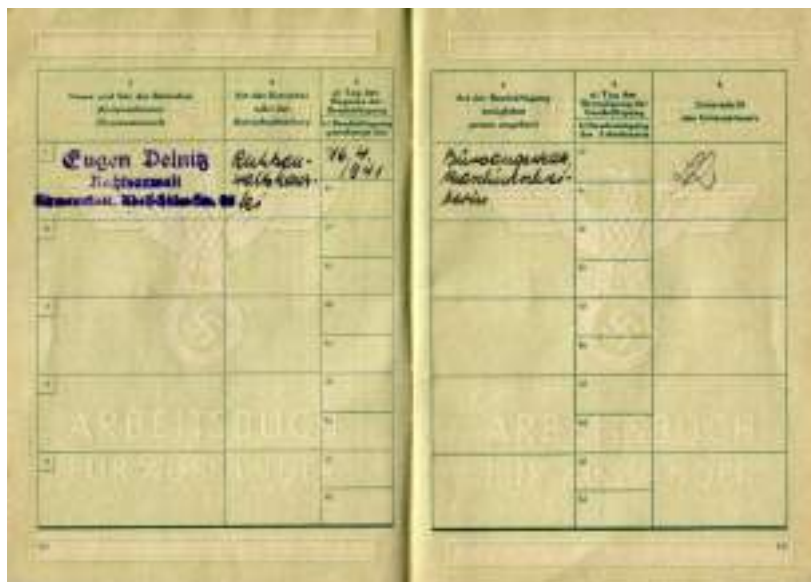


IRENA WŚRÓD ODZNACZONYCH

Ludmile, najmłodszej córce Konstantego, również nie udało się ukończyć gimnazjum (maturę zdała dopiero w 1965 roku). Ponieważ dobrze znała niemiecki, podczas okupacji pracowała w kancelarii adwokackiej Eugeniusza Delnitza jako tłumaczka.



LUSIA – KSIĄŻECZKA PRACY (ARBEITSBUCH), STRONY 2-3, ZDJEĆIE I DANE



LUSIA – KSIĄŻECZKA PRACY (ARBEITSBUCH), STRONY 10-11, DANE DOTYCZĄCE ZATRUDNIENIA

Delnitz prowadził przede wszystkim sprawy rozwodowe (niejednokrotnie ich przyczyną było żydowskie pochodzenie jednego ze współmałżonków), ale bronił też z urzędu więźniów Radoszcza w procesach przed łódzkim Sondergerichtem.

Po wojnie za przyjęcie volkslisty i współpracę z okupantem został skazany na dożywotnie więzienie. W ostatnim słowie utrzymywał, że „uratował dziesiątki ludzi od pewnej śmierci, że występował w tysiącach spraw w obronie Polaków”. Podczas procesu Delnitza Ludmiła była świadkiem obrony. Zeznała, że jej pracodawca podczas wojny zachowywał się przyzwoicie i starał się bronić swoich klientów, na ile było to możliwe w warunkach okupacji. I pewnie rzeczywiście tak było, skoro w 1947 roku Sąd Najwyższy uchylił wyrok.



„GŁOS KALISKI”

Niestety nie udało mi się ustalić, kiedy Delnitz opuścił więzienie. Nie siedział jednak długo, skoro 20 lutego 1968 roku w „Dzienniku Łódzkim” ukazał się nekrolog z informacją o tym, że był „długoletnim pracownikiem [...] Spółdzielni Pracy im. Janka Krasickiego w Łodzi”.



NEKROLOGI

Fakt wystąpienia Ludmiły w obronie volksdeutscha został źle przyjęty przez jej znajomych i sąsiadów. Postanowiła więc w poszukiwaniu pracy wyjechać z Łodzi na Ziemię Odzyskane (podjęła pracę księgowej w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich Zespół Stólniewo [dziś Sławoborze]). Tam poznała Zbigniewa Skotnickiego, AK-owca, który, by uniknąć prześladowań, także szukał pracy w okolicach Kołobrzegu. 28 grudnia 1946 roku w Gościnie wzięli ślub i w ten sposób Ludmiła przestała być łodzianką. Zbigniew, ziemianin z dziada pradziada, w nowej rzeczywistości został dyrektorem PGR-u (najpierw w Rokosowie i Modlimowie, potem w Konarzewie). Wraz z nim i Ludmiłą zamieszkała babcia Natalia. Jeździłem do nich na wakacje, a gdy byłem nieco starszy, dorabiałem przy zbiorach.

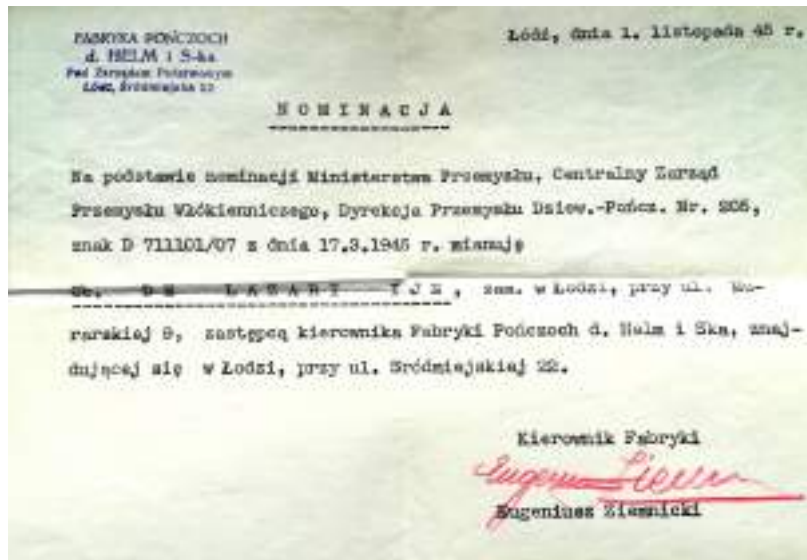


LUDMILA I ZBIGNIEW SKOTNICCY



W KONARZEWIE

Bez wątpienia w historię Łodzi, ale i nauki polskiej, chwalebnie wpisała się Ija Lazari-Pawłowska (po wojnie wraz z Ireną, by nikogo nie drażnić, zrezygnowały z „de” przed nazwiskiem). Udało się jej ukończyć szkołę średnią i w maju 1939 roku zdała egzamin maturalny. Podczas wojny pracowała jako księgowka w należącem do Heleny Herse majątku Widzew (dziś część Ksawerowa), po wojnie – najpierw jako zastępczyni kierownika fabryki pończoch Helm i Ska (1945–1946), później – jako kierowniczką działu w Centrali Technicznej (1946–1948). W tamtej rzeczywistości była więc także najpierw członkiem Związku Zawodowego Włóknarzy, później – Związku Zawodowego Metalowców (sic!).



IJA - FABRYKA POŃCZOCH

Jesienią 1945 roku została studentką (jednocześnie pracującą) na Wydziale Humanistycznym nowo powołanego Uniwersytetu Łódzkiego. Filozofię i socjologię wybrała nie bez wpływu kolejnego rosyjskiego emigranta, prof. Sergiusza Hessena, który zaczął wówczas wykładać w Łodzi. W mieszkaniu przy Murarskiej 9, z Natalią, Iją i Ireną, a od 2 stycznia 1946 roku również ze mną, w jednym pokoju z kuchnią zrobiło się ciasno.



IJA ZE MNA – 1946 R.

Hessen udostępnił więc Iji pokój w domu Griaznowych przy Skarbowej 6, w którym sam zamieszkał. W odróżnieniu jednak od innego wybitnego ucznia Hessena, Andrzeja Walickiego (później mojego nauczyciela), który w ślad za rosyjskim filozofem stał się historykiem idei, Ija początkowo zajęła się metodologią i logiką. Była wyróżniającą się studentką i w 1949 roku zatrudniono ją w Katedrze Logiki na zwolnionym przez Leszka Kołakowskiego (przeniósł się do Warszawy) etacie młodszego asystenta. Studia ukończyła w 1950 roku. Promotorem jej pracy magisterskiej (*Poglądy metodologiczne Leona Petrażyckiego*) oraz rozprawy doktorskiej (*Tworzenie pojęć w naukach humanistycznych*, 1958) była Janina Kotarbińska. Z nią, z Tadeuszem Kotarbińskim i z Marią Ossowską związana była cała późniejsza działalność naukowa Iji. Gdy do Polski dotarła polityczna odwilż, Ija mogła zająć się wreszcie tym, co najbardziej ją fascynowało – problematyką moralności. W 1961 roku ukończyła

rozprawę *Etyka Gandhiego*, a rok później habilitowała się na Uniwersytecie Warszawskim. W 1976 roku ukazała się jej praca poświęcona Albertowi Schweitzerowi.

„Napisałam swoje monografie o Gandhim i o Schweitzerze, ponieważ sympatyzuję z dążeniem, aby nie dopuszczać się przemocy w akcjach obywatelskiego sprzeciwu, i ponieważ sympatyzuję z dążeniem, aby we wszelkim działaniu liczyć się z cierpieniem nie tylko ludzi, ale także zwierząt. Opowiadam się za tym, aby w żadnej sytuacji nie traktować nienawiści w kategoriach cnoty lub obowiązku. Opowiadam się też za tym, aby czujnie odróżniać kierowanie się zemstą lub zawiścią od ustanawiania sprawiedliwości. To były i są dla mnie ważne idee moralne” – wspominała niedługo przed śmiercią.

Ija była wykładowczynią niezwykle lubianą i szanowaną. Prof. Joanna Jabłkowska tak wspomina jej seminaria:

Były to zajęcia kultowe odbywające się co poniedziałek, zawsze o tej samej porze. Skupiały bardzo różnych ludzi: studentów uczęszczających na nie z obowiązku, asystentów Pani Profesor, innych pracowników UŁ z różnych wydziałów i wolnych słuchaczy z innych uczelni. Każdy mógł przyjść, nie było trzeba żadnego pozwolenia, nie było żadnej listy obecności. Przede wszystkim nie było żadnego „programu” do „przerobienia”, w ogóle nie istniało pojęcie programu – ustalaliśmy wiodącą problematykę seminarium i rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, czasem ktoś miał referat. Pani Profesor pożyczała nam książki – czasami wtedy nie do zdobycia. Bywało, że kopiowała dla nas coś za granicą, bo u nas kopiarek przecież wtedy nie było. Kto znał jakiś język obcy, mógł czytać w tym języku i dalej to przekazywać. Nie były to usystematyzowane zajęcia, nie było konkretnej pracy domowej, a część osób nie potrzebowała żadnych zaliczeń; polegały na tym, że Pani Profesor była «guru» dla nas wszystkich, tworzyła atmosferę rozmowy. Dopuszczała do głosu poglądy z naukowego punktu widzenia bezsensowne lub takie, z którymi się nie zgadzała, po czym korygowała je z właściwym sobie wdziękiem: nie w sposób autorytarny, nie

ucinając dyskusji, lecz rozmawiając tak, jakby to ona uczyła się od nas. Tworzyła możliwość swobodnej wymiany myśli w czasach trudnych, gdy swoboda myśli bywała karana. Stąd seminaria u Pani Profesor Pawłowskiej były tak cenne.

Gdy w 1980 roku powstała „Solidarność”, Ija była jedynym samodzielnym pracownikiem naukowym z grona filozofów, którzy do niej przystąpili. Zaangażowała się również w rolę eksperta po stronie studentów w trakcie ich strajku w 1981 roku. W archiwum IPN odnalazłem ją w „Wykazie osób wytypowanych przez TKN [Towarzystwo Kursów Naukowych] do działalności w Towarzystwie” z następującymi uwagami: „Utrzymuje kontakty z Giedroyciem, Herzem. Przewodzi grupie 5–7 osób na UŁ, które sympatyzują z działalnością TKN”. Jest tam też sporządzona przez TW „Piotra” kilkustronicowa „Informacja operacyjna” o wykładzie Iji wygłoszonym 30 maja 1984 roku w kościele jezuickim w Łodzi na zaproszenie ks. Stefana Miecznikowskiego i Duszpasterstwa Środowisk Twórczych: „Prelegentka mówiła o sytuacyjnym i /lub/ okolicznościowo uniwersalnym stosowaniu się jednostek i zbiorowości społecznych do zasad moralnych [...]. Na wykład przybyło ok. 250–270 osób [...], nie stwierdzono wznoszenia haseł ani okrzyków o charakterze antyrządowym, antyradzieckim lub antysocjalistycznym...”.

Ija nie była ani osobą wierzącą, ani aktywną politycznie. Jej najbardziej znanym tekstem są *Trzy pojęcia tolerancji* (1984) – i właśnie tolerancja kierowała jej postępowaniem przez całe życie. Przyjaźniła się z duchownymi i była szanowana przez wielu ludzi o różnych światopoglądach. Prof. Marian Przełęcki, przyjaciel, z którym studiowała w Łodzi, ujął to następująco:

Mam wrażenie, że nie docenia się na ogół roli, jaką w życiu Iji odegrało jej pochodzenie i wychowanie. Chociaż była zawsze solidarna ze swą przybraną ojczyzną, czuła się w głębi duszy „obywatelką

świata”. Była całkowicie wolna od nacjonalizmu – w jakiegokolwiek jego postaci. Najzupełniej obca była Jej wszelka ksenofobia; przeciwnie, odczuwała w sposób autentyczny życzliwą tolerancję wobec kulturowej i światopoglądowej odmienności.

Jej dorobku nie będę opisywał, zrobili to inni, a uczniowie uhonorowali ją, nadając auli Uniwersytetu Łódzkiego jej imię.



PRZED AULĄ IJI

Dodam choć kilka słów o jej życiu rodzinnym. W 1951 wyszła za mąż za Tadeusza Pawłowskiego (1924–1996), kolegę ze studiów i pracy, logika i metodologa, który również został profesorem. W 1953 urodziła się ich córka Joanna.



IJA Z TADEUSZEM

Niestety ani Ija, ani jej najbliżsi nie cieszyli się dobrym zdrowiem. Prof. Marek Zirk-Sadowski wspomina:

Jeżeli się uważa, że umieranie jest częścią naszego życia i rozwoju, to jest ono ważnym momentem, szczególnie jeśli się umiera na ciężką i długą chorobę, i cierpi się. Znam kilka osób, które podziwiam, które są dla mnie wzorami w tym wymiarze, choć mam nadzieję, że sam nie będę takiej próbie poddawany. Właśnie Pani Profesor zaimponowała mi swoją siłą duchową w tym czasie. Dzwoniła do mnie wielokrotnie, kiedy umierała w oddziale-hospicjum Szpitala Kopernika. Dzwoniła do mnie, bo tam był telefon, i słyszałem jej straszną walkę o każdy oddech. W zasadzie w ogóle nie mówiła o sobie, ona cały czas prosiła mnie o pomoc dla jej najbliższych, ponieważ umierała w koszmarniej sytuacji życiowej. Ta osoba praktyczna, która wszystkim chciała pomagać, nagle zobaczyła, że Jej najbliżsi są w ciężkiej sytuacji, że mogą sobie nie dać rady, a Ona nie może im pomóc. Bardzo przez to cierpiała.

Dla mnie, dla swoich poznańskich i zielonogórskich siostrzeńców i siostrzenicy oraz dla naszych dzieci Ija była wspaniałą ciotką i cioteczną babcią. Wspierała nas nie tylko dobrym słowem.

Trzy córki Konstantego i Natalii rodziły się co dwa lata i przeżywszy 73 lata umierały, ciężko chorując i cierpiąc. Irena zmarła 1 marca 1992 roku, Ija – 9 listopada 1994, Ludmiła – 15 sierpnia 1997.

W Łodzi tradycje rodu kontynuuję ja, moja żona Elżbieta i nasza córka Katarzyna de Lazari-Radek. Nam także obca jest ksenofobia i my także otwarci jesteśmy na wszelką kulturową i światopoglądową odmienność. Ja obrałem drogę mojego nauczyciela Andrzeja Walickiego – od rusycystyki do historii idei, Kasia poszła drogą Iji i została etyczką-utylitarystką – jest adiunktem w Katedrze Etyki, stworzonej przez jej cioteczną babcię. W tym roku złoży do druku swoją rozprawę habilitacyjną *Godny pożądania stan świadomości*.

RAFAŁ ZIĘBA

Prawdopodobieństwo dziadka

Nie mogłem zapamiętać, jak wyglądał. Zmarł w 1971 roku, kiedy miałem dwa lata. Został po nim portret, który mój ojciec kazał namalować ze zdjęcia już po jego śmierci. Widać na nim siedzącego na parkowej ławce młodego, szczupłego człowieka w mundurze; czapka maciejówka, pobłyskujące cholewy wysokich ułańskich butów, szabla. Ojciec mówił, że zdjęcie zostało zrobione w Kijowie bądź też w jego okolicach. Narzekał przy tym, że malarz przekłamał kolory. Że mundur nieco zbyt jasny jak na khaki, że barwy pułkowe nie takie, bo to nie jest amarantowy kolor. Widziałem to zdjęcie w młodości: czarno-białe, na sztywnym fotograficznym papierze. Przepadło gdzieś po śmierci ojca wraz z innymi pamiątkami: urną z ziemią z Wołynia oraz pieczołowicie tworzoną całymi latami mapą rodzinnej okolicy.

Wojciech Zięba, mój dziadek, nie urodził się na Wołyniu. Przeprowadził się tam z żoną Marianną dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej. Większość epizodów z jego życia jest mi nieznaną, ale to pobudza tylko moją wyobraźnię. Dlatego niniejszy tekst jest nie tyle materiałem wspomnieniowym, co uprawdopodobnioną fantazją.

Pochodził ponoć z Kielecczyny, choć niektórzy twierdzą, że z okolic Bydgoszczy, inni na miejsce jego urodzenia wskazują Mazowsze. Jak trafił w szeregi 1 Pułku Ułanów Krechowieckich – tego nie wiem. Być może z poboru, jak sugerowałyby pewne opowieści przekazywane przez ojca, choć z drugiej strony do cywila dziadek poszedł zaraz po zakończeniu działań wojennych, tak jak ochotnicy, przy czym, również jak ochotnicy, jako tzw. kolonista otrzymał w nagrodę za swoje poświęcenie ziemię na Kresach Wschodnich.

Nie był typem żołnierza-samochwały, dlatego wiedza o jego wojennych przygodach jest niewielka. Na pewno brał udział

w wyprawie kijowskiej. Czy walczył pod Komarowem? Tego nie wiem, ale, prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Był człowiekiem solidnym i odpowiedzialnym, więc sądzę, że w ten sposób podchodził też do obowiązku obrony ojczyzny. Miał również cenny dar autoironii i sarkazmu. Ojciec opowiadał mi, że w 1939 roku do okupujących Wołyń bolszewików zwracał się per „panie towarzyszu”. Później ktoś wpadł na ten patent ponownie, bo zdaje się, że słyszałem ten zwrot w jakimś filmie. Zresztą w polskich filmach jest masa obrazów jakby wyjętych z wojennej historii mojej rodziny, choćby *Pokolenie Wajdy*. Początek filmu pokazuje, jak młodzi chłopcy ryzykują życie, zrzucając węgiel z niemieckich wagonów. Mój ojciec zajmował się tym procederem w Łucku. Obraz ten pokrywa się z jego wspomnieniami w stu procentach.

Ale wróćmy do dziadka i jego pułku. Był to – jak głosi legenda – najstarszy pułk ułanów jazdy polskiej. Swoją nazwą i barwami nawiązywał do lat 1776–1792–1794, w których istniał 1 Pułk Ułanów Nadwornych. Od tego czasu jego historia płynęła przedziwnym nurtem, który to pojawia się, to znów znika. W latach 1815–1831 istniał jako 1 Pułk Ułanów Królestwa Kongresowego, później odtworzono go na Węgrzech, gdzie walczył w tamtejszym powstaniu w latach 1848–1849, następnie ponownie powołano go do życia podczas I wojny światowej po stronie rosyjskiej.

Swoją nazwę, pod którą jest dziś znany, zdobył właśnie wtedy, w 1917 roku. Pochodziła od nazwy wioski pod Stanisławowem, gdzie pułk stoczył bitwę z wielokrotnie silniejszymi wojskami niemieckimi i austro-węgierskimi. Dziś prawie nikt już o tym nie pamięta, ale ta bitwa odbiła się echem w ówczesnej Europie.

Jak młody Wojciech Zięba trafił do tego pułku? W 1918 roku tworzone go ponownie, a jeden ze szwadronów formował się w Kielcach, więc najbardziej prawdopodobne jest to, że właśnie wtedy dziadek wstąpił w jego szeregi. Jednak inny szwadron formował się na Mazowszu, a jeszcze inny w okolicach Bydgoszczy, więc możliwe są wszystkie trzy opcje. Ten elitarny pułk

składał się w osiemdziesięciu procentach z ochotników, rekrutujących się przeważnie z młodzieży akademickiej. Ciekawe, co spowodowało, że chłopak z kieleckiej bądź pomorskiej lub też mazowieckiej wsi trafił do tego ekskluzywnego klubu? Tego już nikt się dziś nie domyśli.

Ale jeśli tak było, to historia dziadka musiała być bogatsza, niż mi się pierwotnie wydawało. Czy w takim razie był uczestnikiem walk na froncie polsko-ukraińskim – najpierw na Podkarpaciu, później na Wołyniu – następnie przyłączał Pomorze do Polski i uczestniczył w zaślubinach Polski z Bałtykiem, by, dopiero po tym wszystkim, powrócić znów nad wschodnie granice Polski, aby walczyć z bolszewikami? Czy naprawdę był wszędzie tam? Tego nie wiem, ale jest to bardzo prawdopodobne.

Rodzinna legenda rozpoczyna się jednak od wojny polsko-bolszewickiej. Mogę jednak się mylić. Takie opowieści interesowały mnie, gdy byłem parolatkim, a wtedy nader niechętnie zaspokajano ciekawość dziecka żyjącego w PRL-u i mogącego przez nieuwagę i/lub nieświadomość wygadać się przed nieodpowiednimi ludźmi. Kiedy dorosłem, a PRL się skończył, pochłaniały mnie całkowicie inne rzeczy, więc zapewne uleciało z mojej pamięci wiele elementów owej legendy.

O zwycięskich bitwach, w których dziadek z szablą w rękę gromił bolszewików, właściwe mi nie opowiadano. Co najwyżej ogólnikowo. Pamiętam za to, jak ojciec opowiadał mi o karze, jaką dziadek dostał wraz z całym patrolem, z którym został wysłany. Napotkali na podobny patrol bolszewików (wyobrażam sobie, chcę to sobie wyobrazić, że chodziło o Konarmię Budionnego). Jedni przestraszyli się drugich i pierzchli w przeciwną stronę. Dowództwo uznało to za wysoce naganne zachowanie – dwanaście godzin stania pod szablą. Polegało to na tym, że trzeba było przez dwanaście godzin stać na baczność z szablą na ramieniu.

Twierdzę jednak, że dziadek na pewno nie był tchórzem. Był człowiekiem sumiennym i odpowiedzialnym, który uważał się wprawdzie za pechowca co rusz popadającego w niezłe tarapaty, ale zawsze potrafił wychodzić z nich obronną ręką. Ta

umiejętność dwadzieścia parę lat później okazała się zbawieniem dla jego rodziny. Podczas sowieckiej i niemieckiej okupacji, a przede wszystkim wołyńskiej rzezi.

Zresztą fakt, iż Wojciech Zięba znalazł się w programie tzw. osadnictwa wojskowego, polegającym na nadawaniu ziemi w okresie II RP na Kresach zasłużonym żołnierzom oraz ochotnikom, zdaje się potwierdzać moje domysły i hipotezy.

Osadników, zwanych też kolonistami, lokowano, zgodnie z przyjętą ustawą, na ziemiach należących uprzednio do rosyjskiego skarbu i rodziny carskiej, w niektórych dobrach duchownych i klasztornych, opuszczonych przez ziemian dobrach prywatnych, a także w części funkcjonujących polskich folwarków. Na jakiego rodzaju ziemiach osiadła moja rodzina? Ojciec wspominał coś o niedalekim folwarku, ale sąsiedztwo takie jeszcze o niczym nie świadczy. Może należały one wcześniej do rosyjskiego państwa? O żadnym klasztorze ojciec nie wspominał, a do kościoła szło się ładnych parę kilometrów, czyli o dobrach kościelnych raczej mowy być nie mogło.

Osadnictwo wojskowe odbywało się w latach 1920–1923 i szło bardzo opornie. W efekcie z prawie stu tysięcy podań pozytywnie rozpatrzono trochę ponad siedem tysięcy. To nie mógł być przypadek, że mój dziadek osiadł w miejscowości o nazwie Kolonia Leonówka, zaludnionej przez takich jak on weteranów wojny o polską niepodległość.

Nawet nie wiem, jakiego stopnia się dosłużył. Nie zdziwiłbym się zresztą, gdyby cały swój szlak bojowy przeszedł jako prosty ułan. W tamtych czasach nie było to nic deprecjonującego. Wraz z nim w takiej samej randze służyli przyszli adwokaci, inżynierowie, urzędnicy, ludzie zajmujący później kierownicze stanowiska. „Wachmistrz Zięba” – jakoś mi to brzmi mało wiarogodnie. Dystans, z jakim traktował samego siebie, oraz wysoce prawdopodobny sarkazm z pewnością stanęły mu na drodze awansu.

Nie wiem też niczego o jego medalach i odznaczeniach. Jeśli były, to na pewno pozbyto się ich 17 września 1939 roku.

Okres heroiczny zamienił się po 1920 roku w okres arka-
dyjski. Homerowa *Iliada* przemienia się w hezjodowe *Prace
i dni*. Dom i gospodarstwo, żona i dzieci (sami synowie, jak na
mitycznego patriarchę przystało). Opowieści mojego ojca do-
tyczące tego okresu były najobszerniejsze – w końcu dotyczy-
ły jego dzieciństwa. Stanowią one jednak materiał na odrębną
opowieść i odrębne snucie domysłów. Okres ten zamienił się
zresztą z arkaadyjskiego w infernalny.

W 1939 roku dziadek był weteranem obarczonym rodzinnymi
obowiązkami i na kolejną wojnę nie poszedł. Być może właśnie
dzięki temu moja rodzina przeżyła. Udało się jakoś uniknąć wy-
wózek na Syberię bądź do Kazachstanu, choć w domu wszystko
było spakowane zawczasu, bo Sowieci nie dawali zbyt dużo cza-
su na zabranie swoich rzeczy i pytanie nie brzmiało „Czy po nas
przyjdą”, ale „Kiedy przyjdą”? Zamiast bojców z NKWD przy-
szedł jednak Wehrmacht. Dziwna to była sytuacja, kiedy jed-
ni okupanci wyzwalali od drugich. Dziadkowi udało się w jakiś
sposób ocalić swoich bliskich przed bolszewikami, więc miał
zapewne nadzieję, że i z Niemcami też mu się to uda. Lecz to nie
Niemcy okazali się największym problemem w tamtych czasach
na Wołyniu, ale sąsiedzi z pobliskich wiosek.

Nie zdziwiłbym się, gdyby toboły spakowane w sowieckich
czasach w ogóle nie zostały rozpakowane. Przecież nie wiado-
mo było, co będą robić Niemcy. Stary wiarus, który widział nie-
jedno oblicze wojny, na pewno nie wierzył, że Niemcy przyniosą
ze sobą coś dobrego. A na pewno nie przyjął opowieści, że zo-
stał wyzwolony spod bolszewickiego ucisku, skoro nie uwierzył
niecałe dwa lata temu, że również został wyzwolony spod uci-
sku pańskiej i obszarniczej Polski.

Te toboły są w mojej wyobraźni symbolem tamtego okresu.
Nie wiem tylko, ile mojej rodzinie udało się ich zabrać, gdy ucie-
kała z Leonówki do Łucka.

Kiedy o tym myślę – o okupacji jednej, drugiej, o rzeziach,
jakie się tam odbywały, a następnie o nielegalnym przedosta-
niu się moich przodków z Wołynia na teren Generalnego Gu-
bernatorstwa (zostali przemyceni pod węglem w lokomotywie)

i o dalszych traumatycznych doświadczeniach, jakie przeszła moja rodzina (znów Niemcy i znowu Sowieci; co za piekielny przekładaniec!) – dochodzę do wniosku, że chyba największym wojennym zwycięstwem mojego dziadka było to, iż przeprowadził swoją żonę i dzieci przez to całe piekło bez żadnych strat.

Że pozwolił im to wszystko przetrwać i osadził ich wreszcie, całych i zdrowych, w bezpiecznym miejscu. Zbudował nowy dom, posłał synów na studia, doczekał się wnuków.

MARCEL WOŹNIAK

Zły, który był Dobry. Sto lat Tyrmanda

Leopold Tyrmand zapisał się w pamięci kulturowej jako autor *Złego* i „człowiek w kolorowych skarpetkach”. Kolejne skojarzenia to jazz, bujne życie towarzyskie, antykomunizm, *Dziennik 1954*. Musiało minąć ponad trzydzieści lat od śmierci Tyrmanda, byśmy poznali jego prawdziwe losy. Kiedy wreszcie nadjechał pociąg, jeden z nich dał znak i rozpoczęło się powitanie – jęczały organy, waliły bębny, piszczały surmy, a cienkie flety wyły jak w wizjach od odurzających kwiatów.

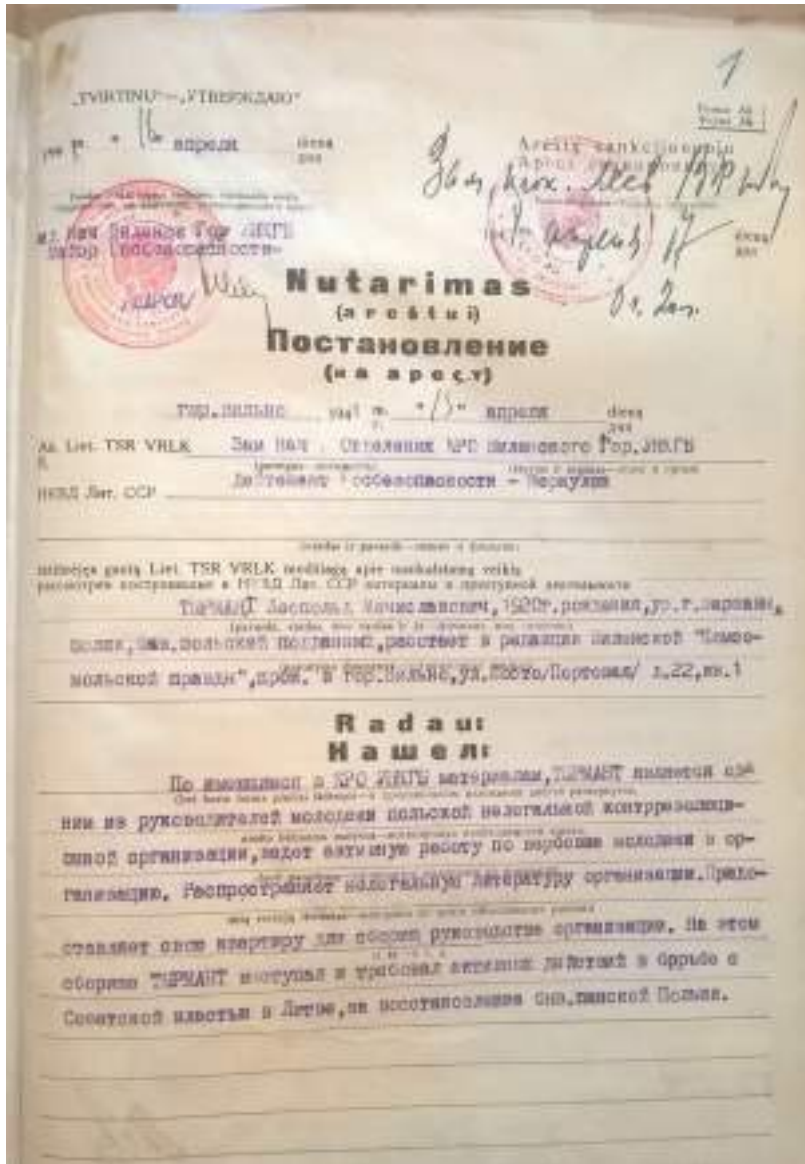
Tylko Zły

Wydany na przełomie 1955 i 1956 roku *Zły* okazał się fenomenem kulturowym. Nie tylko zrobił z Tyrmanda gwiazdę okresu „odwilży”, ale unieśmiertnił go jako twórcę pierwszego polskiego superbohatera, piewcę Warszawy i jej kronikarza. Barwne opowieści z życia pisarza zapisały go na zawsze w towarzyskich kronikach lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a opowieści zapisane na kartach *Dziennika 1954* uczyniły z Lolka oportunistę i antykomunistę, ale i kobieciarza.

Kronikarzom umknęły jednak dzieciństwo i wojenne losy Tyrmanda, a także brutalna prawda o jego okresie życia w PRL, podsłuchach, siatce szpicli i donosicieli. Pozostał *Zły* i legenda autora.



GAZETA, ZA WYDAWANIE KTÓREJ ARRESTOWANO TYRMANDA.



POSTANOWIENIE O ARESZTOWANIU, 15 KWIETNIA 1941. ARCHIWUM KGB W WILNIE.

1961

W Polsce ukazuje się powieść pióra Lolka pod tytułem *Filip*. Znika z półek w dwa dni, dodruku nie było. To, że książka się ukazała, i tak było cudem. Jej nakład, w porównaniu ze *Złym*, jest dwudziestokrotnie mniejszy, więc i mniej czytelników, którzy uważnie prześledziliby jej fabułę. A ta opowiada o młodym chłopcu Filipie Vincelu, który postanawia wyruszyć do oka cyklonu.

Przestawiając sceny w książce – pełnej retrospekcji – możemy zobaczyć następujący scenariusz: młody chłopak cudem unika śmierci z rąk Sowietów i ląduje w dzikich lasach między Litwą a Białorusią. Jest końcówka roku 1941. Chłopak znajduje schronienie w parafii we wsi Cudzieniszki. Tam, upiwszy miejscowego sołtysa, zdobywa od niego nowiutki blankiet dowodu osobistego, na którym może wpisać swoje fałszywe personalia. Co też czyni, choć nie bez wątpliwości:

Siedziałem przeto na plebani w Cudzieniszkach nad czyściutkim blankietem, wklejałem fotografię, do której przezorny sołtys przybił prawidłową pieczętkę, i wykuwałem precyzyjny plan kampanii: co chwila jednak okazywało się, jak cenne, sprzeczne i pozostające w wiecznym ze sobą konflikcie są siły, które mną rządzą. Zmień zupełnie imię i nazwisko – myślałem sobie. – Tak będzie lepiej. Będziesz miał odtąd dwa dowody osobiste, jeden prawdziwy, drugi ten. (...) Znasz francuski tak dobrze, że aż do Renu możesz uchodzić za rodowitego Francuza, zaś od Renu na Zachód wytłumaczysz wszystkim, żeś się urodził i wychował w Polsce. Stąd niedobory w akcencie. (...) A więc: Filip Vincel, urodzony w Warszawie, bez przynależności państwowej, narodowości francuskiej, z zawodu architekt...



FAŁSZYWY DOWÓD OSOBISTY. WYNIKA Z NIEGO, ŻE TYRMAND JEST FRANCUSKIM KATOLIKIEM. CUDZIENISZKI, 1941. ARCHIWA HOOVERA.

Dalsze losy bohatera to jego praca we Frankfurcie nad Menem w roli kelnera. Tam Filip przyjaźni się z Piotrusiem, Peterem von Digglem, próbując jakoś przetrwać w bombardowanych Niemczech. Ostatecznie rozstają się w gdańskim porcie – obaj okrętują się na statki. Mają plan, by dać nogę w neutralnej Szwecji i w ten sposób przetrwać wojnę.

Czy taka historia mogłaby być prawdziwa?

Kanada

Odpowiedzią jest internet. Na tę konstatację przystaliby zwłaszcza młodszy, zafascynowani tym medium czytelnicy, ale muszę dodać, że nie chcę internetu ani przesadnie gloryfikować, ani też umniejszać jego roli. A jednak praca reportera i biografów w drugiej i trzeciej dekadzie XXI wieku polega na korzystaniu z wszelkiego rodzaju źródeł, dzięki którym możemy poznać odpowiedź na banalne pytanie: dlaczego wcześniej nie ustalono tego, o czym zaraz się dowiemy?

Internet to czasoprzestrzenny tunel. Często wydobywa rzeczy z niebytu. Niektórzy gotowi są twierdzić, że w internecie jest tylko tyle, ile ktoś tam wrzuci, ale nie jest to prawdą. Podobnie jak spacer ulicą nie jest li tylko podróżą z punktu A do punktu B. Mijane po drodze przejścia i podwórza, a nade wszystko ludzie – wszystko to pozwala zwiedzać zakamarki niekiedy niezwykle.

Dzięki śledztwu w internecie trafiam na ślad Alexandra Shannona z Kanady, który na jednym z forów wspomniał o Tyrmandzie. Oto co mi odpisał:

Moja teściowa, podczas wojny Idalia Abramson, była studentką polonistyki na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Po rozpoczęciu wojny została odcięta od rodziny w Łodzi. W czerwcu 1941 roku Niemcy napadli na ZSRR, a rok później została zamknięta w getcie. Polscy przyjaciele pomogli jej stamtąd wydostać. Wtedy zamieszkała u swojej koleżanki ze studiów, Władysławy Ginko-Borkowskiej. Ona i jej brat

– student medycyny Tadeusz Ginko – pomogli jej przerobić aryjskie papiery na nazwisko Zofia Masłowska. W domu Ginków Idalia, już jako Zofia, poznała swojego przyszłego męża, Henryka Klimowicza. A Henryk, wraz z grupą innych studentów, też pomagał komuś z papierami i kryjówką.

Człowiek, któremu pomagali, nazywał się Leopold Tyrmand.

Moja świętej pamięci teściowa wspomniała, że Tyrmand przebywał wraz z nią – tam bodajże ukrywało się kilka osób z Wilna – w kryjówce w okolicy Oszmiany. Było to trochę anegdotyczne wspomnienie.

Moja przyszła teściowa, 19-letnia studentka, pyta:

– Czy pan jest Żydem?

Na co Leopold odpowiedział:

– Zwariowała pani? Frrrrrrancuz jestem!

Młode małżeństwo Klimowiczów, podobnie jak Tyrmand, wyjechało na roboty do Niemiec.

Nie interesowałem się wówczas Tyrmandem, nie czytałem jego utworów. Dopiero gdy opuszczałem Polskę, tuż po Marcu 1968, historia znowu wypłynęła na wierzch. Mój znajomy z Toronto, śp. Heniek Dasko, zajmował się również w swoim czasie biografią Tyrmanda.

Henryk Dasko to jeden z badaczy Tyrmanda, który opracował oryginalną wersję *Dziennika 1954*.

Shannon do wiadomości załącza zdjęcie Zofii i Henryka Klimowiczów oraz ich córki Anny. Moja radość i zdziwienie są ogromne. Mamy zatem wiarygodną historię o ukrywających się Polakach i podrabianiu dokumentów. I Tyrmanda, który upiera się, że jest Francuzem.

Zaczynam więc jeszcze intensywniej przeczesać internet w poszukiwaniu nazwisk Klimowicz i Ginko.

Tak trafiam na zamieszczony na YouTube wywiad z Wandą Ginko. Kobieta opowiada w nim o czasach okupacji. Zamieszczam komentarz pod filmem. Po siedmiu dniach pojawia się odpowiedź: „To wywiad z moją mamą, Wandą Ginko, z domu Dziewulska. Mama spędziła okupację w Wilnie. Podaję mój e-mail...”

List od Tomasza Ginko:

Dobry wieczór z Bonn, gdzie mieszkam i pracuję od wielu lat. Jednym z tych studentów był Tadeusz Ginko (mój ojciec, późniejszy profesor chirurgii w Śląskiej Akademii Medycznej), który opowiadał nam, jak za pomocą nalepianych na skórę kulek z chleba symulowano wysypkę charakterystyczną dla duru brzuszego, żeby ratować ludzi z getta lub osoby zagrożone aresztowaniem.

Alexandra i Tomasza kontaktuję ze sobą. To efekty uboczne pracy nad biografią, te boczne uliczki, w których spotykamy nieznanych ludzi. Wyłaniają się z historii jak wywołani na fotografii. A my możemy iść dalej.

Żółta kartka

Ostatnia część układanki znajduje się w Archiwach Hoovera na Uniwersytecie Stanforda w Palo Alto w Kalifornii, gdzie przechowywane są archiwa po Leopoldzie Tyrmandzie. „Niepełne, jakby ktoś w nich grzebał” – powie mi rok później archiwista Zbigniew Stańczyk.

Przeglądam dokumenty w czytelniku. To cały karton. Jestem zdenerwowany. Za trzy godziny jadę na lotnisko. A co, jeśli coś pominąłem? Co, jeśli archiwa Tyrmanda kryją tajemnice, których nie odkryłem? Odwieczny lęk reportera: a jeśli nie zobaczysz tego, czego szukasz? Nie z powodów zewnętrznych, oceny, którą ktoś potem nam wystawi. Chodzi o coś prostszego: o prawdę ukrytą na mapie poszukiwań gdzieś między punktem A i punktem B.

I w tym właśnie momencie z kartonu numer 24 na blat stołu wypada mały poślizgnięty kartonik.

Dowód osobisty No 1817

Nazwisko Tyrmand
Imię Leopold
Imiona rodziców Mieczysław i Maria
Data urodzenia 16 V 1920
Miejsce urodzenia Warszawa
Miejsce zamieszkania Cudzieniszki
Stan rodzinny kawaler
Dzieci do lat 16 –
Zawód architekt
Narodowość francuska
Wyznanie rzym-kat
dn. 14 listopada 1941
Wójt gminy Polany – tu podpis

Na rewersie dokumentu – daty przekraczania granicy. Aż do roku 1945. Już wiem, jak Tyrmand trafił do oka cyklonu.

Oszmiana

Listopad 2019. Dzwoni do mnie Michał Butkiewicz, prowadzi stronę oszmianszczyzna.pl. Twierdzi, że chce rozmawiać o *Filipie*.

– Pan do mnie pisał. O Tyrmanda pan pytał i przysłał ten jego dowód. Skąd pan to ma?! – krzyczy do słuchawki.

– Nie uwierzy pan, ale z Kalifornii. Co pan może o tym powiedzieć?

– Mam przed sobą otwartego *Filipa*. Nazwiska, które Tyrmand opisuje w książce, zgadzają się z rzeczywistością, a blankiet jest prawdziwy. Przedwojenny sołtys, pan Skrzat, jak w książce, sprawował tam władzę i miał stare blankiety.



WIEM, ŻE MAM SZALIK... – NAPISZE W 1954 ROKU TYRMAND. TU NA ZDJĘCIU – WILNO,
ROK 1940 I SZALIK OD FRANKA WALICKIEGO, KTÓRY OPĘYNAŁ ŚWIAT. ARCHIWUM
MARY ELLEN TYRMAND.

Człowiek w kolorowych skarpetkach

Po wojnie Leopold Tyrmand zacznie w Polsce nowe życie. Da się poznać jako dziennikarz, animator życia muzycznego, powieściopisarz, oportunistą. Sławę przyniesie mu *Zły* i jazz, ale da się także poznać jako świetny dziennikarz, antykomunista, liberał i człowiek o unikalnym sznycie. To, co do historii nie przejdzie, to podsłuch w ścianie, zamordowanie teścia Tyrmanda oraz donosy Kazimierza Koźniewskiego czy Romana Waschki, bliskich przyjaciół Tyrmanda. W legendach nie będzie też nic o czasie wojny – o konspiracji w Lidze Wojennej Walki Zbrojnej w Wilnie, o areszcie NKWD i wyroku ani o nazistowskim obozie w Norwegii. Niektórzy przebąkiwać będą w anegdotach jakoby Tyrmand robił z siebie kurlandzkiego barona albo Francuza, tłumacząc etymologię swojego żydowskiego nazwiska. Niski nakład *Filipa* rozejdzie się, a Tyrmand, po emigracji z kraju w 1965 roku, na kolejne dekady zapisany zostanie w ocenzonej wersji historii jako człowiek w kolorowych skarpetkach.

MICHAŁ LACHMAN

Berlin – każdego roku

Po peronie przeszła nerwowym krokiem wzburzona kobieta i coś mamrotała w języku niemieckim. On był z tym językiem na bakier. Od czasów drugiej wojny światowej był z niemieckim na bakier, chociaż sam urodził się przecież wiele, wiele lat po wojnie, kiedy Niemcy były już innym krajem. Ale jego ojczyzna i jego naród były cały czas taką samą ojczyzną i takim samym narodem, narodem drugiej wojny światowej, krajem który tej wojny co i rusz potrzebował, który co i rusz tę wojnę wywoływał i na nowo ją przegrywał, zaliczając się dumie w poczet państw zwycięskich. Znało się w jego ojczyźnie niemiecki wojenny, okupacyjny, ale taki język nie pozwalał na pokojową komunikację, taką na peronie, czy dworcu. A mimo to rozumiał poparte żywą gestykulacją okrzyki kobiety. Na peronie był szczur, kobieta zobaczyła na berlińskim peronie szczura, szczur wyłonił się z jakiegoś załomu chodnika czy szpary i niemal otarł o kostki kobiety. Niemal, bo sam był przerażony. Wzburzona kobieta pokazywała nieznanemu mężczyźnie, jak to się dokładnie stało, że szczur prawie ugryzł ją w kostkę. Albo coś takiego. Ale teraz już przyjechał jego pociąg. Wsiadł, choć z oporami, bo lubił obserwować takie nietypowe zdarzenia. W szybie widział jeszcze przez pewien czas zbiegowisko, które zniknęło dopiero za zakrętem ciemnego tunelu.

Jak na Berlin miał nienajgorszą kwaterę. Przynajmniej tak myślał, kiedy zasypiał i budził się pod wielkim zdjęciem Bramy Brandenburskiej. Ktoś pomyślał o miłym wystroju tego wnętrza. Znał Berlin z filmów, zdjęć i historii, w których to miasto pojawiała się jako miejsce zepsute, dekadentkie, zapowiedź przyszłych tragedii, miasto zgliszcz. Wiele nazw ulic, placów i budynków brzmiało znajomo. Lubił chodzić do kina i dlatego miasto kojarzyło mu się ze znanymi aktorami albo

z konkretnymi scenami, z pompatycznym umieraniem, a nawet romansami wśród ruin. To go z początku ekscytowało. Z początku, czyli wtedy, kiedy patrzył na zdjęcia, kiedy oglądał filmy, czytał o dekadencji, miasto go ekscytowało, mrowiło, przyciągało. Nie wiedział, co robi. Nie wiedział, czego naprawdę dotyka, bo przeważnie dotykał świata bardzo powierzchownie, a tu nagle.

Dedukował, że zdjęcie nad łóżkiem musiało być wykonane z któregoś z górnych pokoi hotelu Adlon. Adlon stał naprzeciwko Bramy Brandenburskiej i wyglądał na stary, bardzo ekskluzywny hotel. Pewnego dnia łącząc wokół Pariser Platz, pod gigantycznymi kolumnami łuku triumfalnego, który Niemcy nazywali bramą, wśród zorganizowanych i dezorganizowanych tłumów, poszukiwał tego okna na bogato zdobionej neoklasykistycznej fasadzie hotelu. Zdawało mu się, że je widzi. Poczul, że zaczyna wypełniać luki, zapychać dziury, łączyć pęknięcia. Nie, nie w obrazie miasta, we własnym obrazie. Fakty dotyczące miasta i jego przeszłości można było łatwo znaleźć na tablicach informacyjnych dla turystów, w przewodnikach, a nawet w trakcie wycieczek piętrowym autobusem bez dachu. Berlin był już dawno scalony, spójny, zwarty, złożony z miliona kawałków doskonale do siebie dopasowanych, wzajemnie w sobie powrastanych. Przyjechał tu do pracy, ale jak widać, szukał czegoś jeszcze.

Nie wiedzieć dlaczego, najpierw wybrał się na stadion miejski. Pojechał metrem, bo był posiadaczem biletu tygodniowego, który dawał wiele zniżek. Starał się je wszystkie wykorzystać. Wygląd i rozkład stadionu znał oczywiście z filmu o olimpiadzie, która odbyła się tu w 1936 roku. Nakręciła go znana reżyserka. Zdawał sobie sprawę, że jej filmy były ważne, bardzo odkrywcze, ale ze względu na jej współpracę z Hitlerem potępiane. Nie interesowało go to. I tak nie wiedziałyby, jak ocenić postępowanie i życie tej reżyserki, w ogóle nie umiał podejmować moralnych ocen tego rodzaju. Było mu z tym dobrze. Nie musiał albo czuł, że nie musiał się angażować. Zresztą nikt nie pytał go o zdanie. Te dyskusje przechodziły gdzieś obok. Zanim

zebrał się, żeby coś powiedzieć czy pomyśleć, było za późno, a ludzie już mówili o czymś innym, paski w wiadomościach telewizyjnych pisały o nowych katastrofach, o których on i tak niewiele wiedział.

Na dużym parkingu przed stadionem olimpijskim zobaczył grubego Niemca na motorze. Robił wielkie kółka wokół placu. Na pewnym odcinku przyspieszał, żeby po chwili rozpocząć slalom między słupkami. Wtedy po placu rozchodził się przejmujący zgrzyt metalu o asfalt. Jakaś rura tarła o drogę. Przez chwilę miał wrażenie, że w pobliżu rozgrywa się średniowieczna bitwa. Teutońscy rycerze z zacięciem próbują przebić mieczami stalowe zbroje. Motocyklista ubrany był w skórzany kostium, a na kolanach i łokciach nosił plastikowe ochraniacze. On i tak nie wiedział nic o sportach motorowych, nie interesowała go pojemność silników w motocyklach klasy A. Nie wiedział nawet, czy coś takiego w ogóle istnieje. Nie oglądał kanałów sportowych, nie prenumerował żadnych pism motoryzacyjnych, nigdy nie rozmawiał ze znajomymi o tajnikach motorowego świata. Motocykl w zasadzie kojarzył mu się z rykiem pod oknami. Ile to razy dziękował bogu, że w swojej rodzinnej miejscowości ma mieszkanie od podwórka, z widokiem na odrapaną, zapleśniałą ścianę, ale przynajmniej z dala od zgiełku ulicy.

Wszedł, przechodząc przez sklep z pamiątkami klubu Herta Berlin. Wykupił wycieczkę po stadionie i postanowił pilnie słuchać przewodnika. Przewodnik mówił wtedy nieco kolo-kwialnie, że klub Herta Berlin „jest do bani” i że nigdy nic nie wygrał, chyba że przed wojną. Przewodnik uznał również, że sam stadion jest dla Herty Berlin za duży i miasto w związku z tym rozważy budowę nowego, mniejszego obiektu. Pomyślał, że może wtedy brak osiągnąć Herty Berlin nie będzie się tak rzucał w oczy, nie będzie kontrastował z niewspółmiernie wielkim stadionem. Bo sam stadion, podkreślał przewodnik ze słabo skrywaną dumą, był wcieleniem wielkich idei Hitlera. Miały się tu odbywać zawody w 1914 roku, ale z powodu pierwszej wojny się nie odbyły, więc olimpiada w 1936 była mocno

wyczekiwaną datą. Przynajmniej tak twierdził przewodnik. Podobno na polecenie Hitlera zbudowano ten obiekt od nowa tak, że mieścił sto tysięcy widzów na miejscach stojących. Za stadionem na wielkim polu olimpijskim mogło maszerować bądź stać jeszcze dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Od przewodnika dowiedział się również, że w czasie zimnej wojny plac zajmowali alianci, którzy aż do 1994 roku grali tu w golfa. Zdziwiło go, że na tablicy pamiątkowej umieszczonej tuż przy zniczu olimpijskim, który zapłonął w 1936, nie było imienia Hitlera, chociaż byli tam wszyscy przywódcy Niemiec. Okazało się, że po wojnie usunięto jego nazwisko. Ten element historii przewodnik podkreślił szczególnie dobitnie. Nie chciano umieszczać Hitlera wśród osób zasłużonych dla niemieckiego sportu. Nie chciano gloryfikować Hitlera.

Murawa stadionu była tego dnia do połowy zdjęta. Akurat kładziono nową trawę po koncercie U2, który odbywał się trzy dni wcześniej. Wokoło słuchać było warkot traktorów zwożących świeżą darń zwiniętą w wielkie rulony. Jakiś nieforemny pojazd prał bieżnię lekkoatletyczną. Orowadzanie z przewodnikiem trwało koło półtorej godziny i po jego zakończeniu z ulgą usiadł w małej restauracji znajdującej się w koronie stadionu. Dawała piękny widok na cały obiekt. Zamówił tylko kartoflankę, bo główna kuchnia była już zamknięta i nie serwowano obiadów. Na stołach postawiono odwrócone doniczki, które w ten prosty sposób spełniały rolę popielniczek. Pomimo tego pomysłowego rozwiązania i tak sporo popiołu poniewierało się po blacie. Uważał palenie za niesportowe. Co prawda jego związki ze sportem były nikłe i nie zależało mu specjalnie na własnej kondycji. Zawsze nabijał się z tężyzny fizycznej innych. Wolał hodować brzuch niż skakać po mechanicznej bieżni w takt pokrzykiwań trenerki ubranej w tygrysie leginsy. Opanował niesmak, zjadł kartoflankę i zebrał się do wyjścia.

Po drodze zaczął mimowolnie przyglądać się ludziom skaczącym do wody z wielkiej wierzy umieszczonej tuż przy betonowym

basenie, stanowiącym część kompleksu sportowego stadionu. Nigdy regularnie nie uprawiał sportów wodnych, a do tego bał się wody. Może właśnie dlatego tak podziwiał odwagę młodych Niemców. Wchodzili na najwyższy poziom wieży i skakali bez wahania, próbując wykonywać karkołomne akrobacje w powietrzu. Złapał się na tym, że perwersyjnie gapi się na ich rozłożyste tatuaże pokrywające plecy, uda i ramiona. Ruchem skoczków na wieży kierował szczupły ratownik. Wysuwał długą nogę z nienaturalnie nabrzmiałymi żyłami na okrągłych mięśniach. W ten sposób kontrolował przepływ sprężystych ciał znikających za krawędzią podestu. Niektórzy wyglądali dramatycznie, lecąc w dół prawie bezwładnie jak szczeniaki wyrzucone w powietrzu. Inni potrafili zdumiewająco sprawnie zmienić położenie i układ ciała w locie. Wpadali do wody jednym szybkim cięciem – bezgłośnym i niezostawiającym śladu. Jak krótkie cięcie szabli. Przypomniawszy sobie własną naukę pływania, kiedy to ojciec zaprowadził go na basen po wakacjach. W to lato mało co nie utonął w wodzie głębokiej na metr sponiewierany morskimi falami. Zajął mu rok zanim przełamał strach i zaczął pływać na środkowym torze bez kontaktu ze ścianą albo dnem.

Opuszczał stadion, idąc przez niewielki sklepik klubowy pełen koszulek, piłek, getrów i bidonów. Pies z kulawą nogą nie kupował pamiątek Hertty Berlin. Herta Berlin była słabym klubem, o czym zresztą wspominał przewodnik. Stadion zwiedzały dzieciaki ubrane w koszulki Bayernu Monachium i Realu Madryt. Kupił kompletny zestaw stroju dla bramkarza Hertty Berlin oraz dwa breloki do kluczy.

Wsiadł z tym wszystkim do metra i pojechał do domu, ale nie prostą drogą. Miał bilet tygodniowy i mógł go dowolnie wykorzystywać na jazdę, nie ponosząc dodatkowych kosztów. Wybrał więc okrężne, dalekie połączenie, ponieważ chciał jeszcze obejrzeć dwie stacje metra. Zachwalano je w przewodnikach i w sieci. Zawsze kierował się takimi wskazówkami, bo nie miał innego pomysłu na zwiedzanie. Dotarł do pokoju skonany, ale

umiarkowanie szczęśliwy. Strój sportowy pasował jak ulał; postanowił, że będzie go nosił w chłodniejsze dni.

I to właśnie w Berlinie przestał troszczyć się o ubranie. Uznawał, że bycie w podróży zwalnia z obowiązku estetycznego wyglądu. Nie to, żeby wcześniej był szczególnie elegancki, ale tu jego modowe i higieniczne priorytety uległy zupełnej dewastacji. Nie golił się i nie przycinał paznokci. Po prostu zaabsorbowało go zwiedzanie i studiowanie rozkładów metra oraz autobusów. Po powrocie na kwatere padał z nóg, zwyczajnie zwał się na wyrko i przed zapadnięciem w niespokojny sen oglądał piłkę nożną kobiet. Rano wstawał i pędził. Znajdował się w nieustającym napięciu, które charakteryzuje profesjonalnego podróżnika i odkrywcę, człowieka przemierzającego bezdroża jakiegoś egzotycznego kraju i wystawionego na niebezpieczeństwa rzeczywistości odciętej od cywilizacji. Tak właśnie czuł się w Berlinie, jak człowiek żyjący poza cywilizacją, a przecież Berlin był cywilizowany, był samym ucieleśnieniem cywilizacji, był jej wzorem i modelem. No ale on właśnie tu czuł się dziko, bo miał wrażenie, że wszystko i tak płynie swoim rytmem i nikt nie zwraca na niego uwagi. Zarastał i ginął pod warstwą włosów, pod zawijającymi się kłęczami paznokci, pod splamionymi koszulkami polo z zatłuszczonym napisem Tommy Hilfiger. Takim z pewnością zapamiętają go sprzedawcy owoców i warzyw na ulicy sąsiadującej z jego berlińskim lokum, a także obsługa pobliskiej knajpki serwującej turecki kebab o nazwie „Berliner kebab”. Dopiero w pewnej lodziarni przy jednej z berlińskich ulic, którą w latach trzydziestych ubiegłego wieku kilkakrotnie maszerowali naziści, uważniej przyjrzał się swojej podkoszulce w lustrze. Sprzedawczyni zagadała do niego po rosyjsku, ponieważ jak później przyznała, wyglądał jej na Rosjanina albo kogoś z tego kręgu kulturowego. Sprzedawczyni była z Polski. On sam w zasadzie nie znał wielu Rosjan i nie wiedział, jak się ich rozpoznaje. Słyszał o nich od dziadków, bo pojawiali się w ich mrocznych wojennych historiach, w których radość z wyzwolenia mieszała się z entuzjazmem wobec nowego systemu, wobec jego wielkich planów i nadziei.

Tego dnia odwiedził kilka butików, między innymi jeden, w którym sprzedawano designerskie dodatki w postaci wyszukanych pasków do spodni i portfeli ze specjalnym mechanizmem, dzięki któremu z wnętrza kieszonki wysuwała się zgrabna talia kart kredytowych. Były tam pierścionki w kształcie tortu urodzinowego ze świeczkami oraz mini wiatraczek, który podłącza się do komórki, by chłodzić sobie twarz w trakcie rozmowy. Za ladą stała sprzedawczyni z pięknie opalonymi ramionami pokrytymi dziwnym tatuażem. Miała na imię Kimberley. Chyba nie była Niemką. Słyszał, jak Kimberley rozmawia z mężczyzną w wąskich dżinsach. Mężczyzna miał na nogach niby zwykle, proste tenisówki. Ale ich gumowa podeszwa miała pewnie z dziesięć centymetrów grubości. Wyniesiony w górę na tym elastycznym koturnie mężczyzna wyglądał monumentalnie.

Ten świat wydał mu się prosty. Prosty, ale niedostępny. Albo lepiej nieprzystępny, ta rzeczywistość wydała mu się nieprzystępna. Jego zdaniem wszyscy wokół zachowywali się tak, jakby cały sklep wypełniało szczęście. Jakby całe podwórko, na którym znajdowało się jeszcze kilka podobnie szczęśliwych butików, wypełniała radość. Przyjrzał się temu i doszedł do wniosku, że radość tryskała z innych podwórek otaczających to, w którym się akurat znajdował i wypełnionych podobnymi butikami, kwiatami, piaskownicami tonącymi w zieleni, pnącymi się po murach różami, balkonami z krzesłami ogrodowymi do siedzenia wieczorem. Na jednej z ławek mężczyzna w butach do biegania Nike Alpha Fly i w starannie zaprasowanych spodniach od garnituru jadł z plastikowego pojemnika coś, co wyglądało na dietetyczną sałatkę. Popijał jogurtem. Takie zestawienie elegancji ze swobodą, spokój wśród zgiełku dnia, ruchu samochodów, odpraw paszportowych, napiętej sytuacji międzynarodowej, nieznamomości języka wyglądało mu na „inkarnację”. Czasami używał słów trudnych, kiedy rzeczy stawały się szczególnie klarowne, proste i zrozumiałe, kiedy działały bezpośrednio na jego zmysły.

Wtedy przypomniał mu się dziadek ze strony babci. Dziadek prawie nie mówił, a jeśli już to krótko. W zasadzie znał tylko

kilka słów na krzyż. Pochodził ze Śląska, więc cała jego rodzina była pogmatwaną mieszanką narodów, które od zawsze toczyły ze sobą wojnę. W dziadka głowie różne narody żyły obok siebie i może to coś tłumaczy. Dziadek przeżył drugą wojnę światową fedrując. Miał największy urobek na całej kopalni. Ale nie mówił. Śmiali się z niego, że jest najlepszym górnikiem na Śląsku, ale nie potrafi wydobyć głosu.

On sam rzadko myślał o dziadku, bo w zasadzie nie interesowała go historia. A już dzieje drugiej wojny światowej to wcale. Ale i tak zawsze go gdzieś dopadła. W mediach społecznościowych było o niej pełno i w zasadzie trudno było uniknąć tematu. Jego kraj żył drugą wojną światową. Kiedy tylko potrzeba było wygrać wybory albo odwrócić uwagę od kolejnego łamania prawa przez rządzących, Niemcy ponownie najeżdżały jego kraj, na Westerplatte znów rozbrzmiewały salwy, a niemieccy żołnierze wyłamywali biało-czerwony szlaban. W takich chwilach kulił się w sobie, zamykał w najciemniejszym kącie mieszkania, najchętniej w łazience, gdzie przy zgaszonym świetle związał się w kłębek na dnie wanny. Zdał sobie sprawę, że dopiero w Berlinie udało mu się uciec od drugiej wojny światowej.

Zaobserwował, że w Berlinie Hitler jest właściwie nieobecny, a jego dzieło istnieje jako zdarzenie z przeszłości. W jednym z pierwszych dni pobytu trafił na wystawę w bunkrze. Opowiadała o narodzinach narodowego socjalizmu w Niemczech. Ponoć tu Hitler spędził ostatnie dni życia. W tym pokoju odebrał sobie życie, na tej kanapie siedział odbierając sobie życie, przynajmniej tak wynikało z opowieści przewodnika i z tablic informacyjnych pełnych autentycznych zdjęć z pierwszych chwil po wejściu Rosjan, a może aliantów. Jednak bunkier okazał się zwykłą rekonstrukcją, o czym przeczytał później. Wydarzenia historyczne, o których tu mowa działy się gdzie indziej, w miejscu intencjonalnie wymazanym z mapy. Prawdziwy bunkier Hitlera, jego ostatnią kwaterę dowodzenia zasypano, a na jej miejscu powstał parking pod blokiem mieszkalnym. Poszedł w to miejsce wiedziony czystą ciekawością. Zapragnął chyba dokładniej przyjrzeć się owej nieobecności. Teraz to może brzmieć

dziwnie. Czytywał od czasu do czasu opracowania historyczne, a nawet jakieś wybiórcze fragmenty dzieł filozoficznych. Było to związane z jego pracą, która nigdy go nie opuszczała. Pustka niejednokrotnie przemawia mocniej, brak materialnej obecności wzmacnia jedynie poczucie realności i wypełnia je treściami wyobraźni, nad którymi nic, ale to nic nie ma już kontroli, przepracowanie traumy oscyluje właśnie między takim biegunami odmiennych afektów, między tym czego nie ma, ale czego obecność się czuje, a tym co jest, ale ewokuje to, czego nie ma. Okazało się, że miejsce po autentycznym bunkrze Hitlera jest zdeptane przez defekujące psy i dzieci grające w Bundesligę. Były tam krzaki i śmietniki, i znaki drogowe, i informacja o głębokich wykopach, które akurat przygotowano w związku z koniecznością położenia nowych rur kanalizacyjnych. Po drodze zaczął go chłopak w wieku studenckim i zapytał, czemu ma na plecaku napis Hitler. Chłopak prosił o jego usunięcie. Z początku nie wiedział, co się dzieje, bo nigdy nie pisał sobie na plecaku Hitler ani nie eksponował nazistowskich emblematów. Okazało się ostatecznie, że to pomyłka, a napis Hitler wydrukowano na muzealnym bilecie, który nieopatrznie schował do prześwitującej kieszeni plecaka.

Innym razem wybrał się do dużego parku z bardzo obszernym centralnym placem, który w formie ogromnego prostokąta, a w zasadzie alei, biegł w szpalerze drzew i w otoczeniu białych pomników pokrytych płaskorzeźbami. Z przewodnika zorientował się, że patrzy na miejsce upamiętniające żołnierzy radzieckich poległych podczas zdobywania Berlina. Pochowano ich dokładnie w tym miejscu w liczbie ośmiu tysięcy, o czym wspominała tablica informacyjna. Zadrzewiona aleja prowadziła do konstrukcji przypominającej bramę wykonaną z płyt czerwonego marmuru. Ponoć pochodził on z nowej kancelarii Hitlera. Z niewielkiego podwyższenia rozpościerał się widok na dalszą część placu zakończonego dużym wzniesieniem. Stała tam gigantyczna rzeźba rosyjskiego rycerza z ogromnym mieczem i dzieckiem na rękach. Według danych na tablicy

informacyjnej posąg ważył siedemdziesiąt ton. Ponoć upamiętniał jakieś prawdziwe zdarzenie, które miało miejsce w trakcie wyzwolenia miasta. Nie interesowała go zbyt ta historia, chociaż waga pomnika robiła wrażenie. Mimo to podszedł bliżej, wlokąc się przez ogromny plac. Czuł już od tego ból nóg. Tuż pod umięśnionymi nogami rycerza siedziała muzułmańska kobieta z twarzą całkowicie zakrytą chustą. Taka chusta ma swoją specjalistyczną nazwę, był prawie pewien, że raz czy dwa słyszał to słowo w telewizji w swoim kraju. Bardzo powoli stawano się ono częścią codziennego słownika mieszkańców jego państwa, jednak on go nie pamiętał. Kobieta miała dużą komórkę z różową obudową w kształcie głowy z odstawionymi intensywnie różowymi uszami. Muzułmanka co i rusz strzelała fotkę rycerza upamiętniającego wyzwolenie Berlina przez Rosjan. Tuż obok, jej koleżanki robiły selfie swoim zakrytym twarzom.

Podobno dokładnie spod tego pomnika wyprowadzono armię rosyjską w asyście Jelcyna i Kohla w 1994 roku. Przeczytał na ten temat obszerny rys historyczny zamieszczony na lśniącej w słońcu tablicy informacyjnej. Nigdy wcześniej nie słyszał nazwisk Jelcyn i Kohl. Spacerował jeszcze przez jakiś czas po całym terenie, żeby mniej więcej zorientować się w jego układzie. Szczególnie dokładnie oglądał płaskorzeźby okalające plac. Przedstawiały sceny walk o miasto z udziałem żołnierzy radzieckich. Rozpoznał ich po charakterystycznych pepeszach i dobrotliwym wyrazie twarzy. Wszyscy wyglądali na wesołych chłopów ze zmierzwionymi blond włosami. Wyglądali na ludzi, którzy śmierć przyjmowali z uśmiechem. W zasadzie z otwartymi ramionami. Przychodziła po nich w postaci długich wyrzeźbionych w kamieniu smug, które rozchodziły się promieniście z jakiegoś miejsca niczym słońce i oznaczały, że w tym dokładnie punkcie nastąpiła eksplozja. Rosyjskim żołnierzom wyrzeźbionym w kamieniu kobiety podawały dzbany wody i dorodne bochny chleba. Kobiety te były bardzo kobiece. Wszystkie sceny opatrzone cytatami ze Stalina o bohaterstwie armii czerwonej

oraz ogólnej sprawiedliwości i pokoju. Przekonał się, że w wielu kwestiach zgadza się ze Stalinem.

Postanowił wracać, bo do domu miał spory kawałek metrem, a praca nie pozwalała mu na marnowanie za wiele czasu. Już jakiś czas temu zauważył, że wieczorami w metrze panuje ohydny zimny przeciąg. Tego nie znosił. W podróży i poza domem szczególnie dbał o zdrowie, a już najbardziej starał się zapobiegać przeziębieniom, które w jego przypadku zawsze kończyły się dolegliwymi chorobami skóry i dojmującym swędzeniem. Idąc pospiesznym krokiem w kierunku stacji, mijali mały park z okrągłą fontanną. Bawiło się w niej kilkoro dzieci, a wśród nich ogromny mężczyzna o gigantycznej słoniowatej tuszy. Ubrany był w coś długiego i bezkształtnego. Zupełnie nie europejskiego. „Może to jest galabija” – pomyślał. Nie wiedział, co to jest galabija, ale to było jedyne obce słowo na określenie ubioru, jakie znał. Mężczyzna brodził po dnie fontanny, zupełnie nie przejmując się gejzerami wody, co chwilę strzelającymi w górę. Miał małe różowe wiaderko, którym próbował zatykać strumień tryskającej wody w taki sposób, żeby połączyć biegającą wokół małą, niezmiernie grubą dziewczynkę. W pewnym oddaleniu na trawie siedziała ogromna, strasznie otyła kobieta z twarzą zakrytą czarną tkaniną. Na stopach miała różowe skarpetki. Przyglądała się zabawom przy fontannie. Wokół panowała cisza, a liście opadały z drzew, jakby zbliżała się jesień, chociaż to był dopiero gorący sierpień. Większość liści pozjadały jakieś szkodniki. Liście zalegały teraz stosami na asfalcie pełne wielkich dziur. Kobieta wydała mu się bardzo na czymś skupiona i najpierw miał wrażenie, że po prostu słucha szelestu drzew. Ale ona chyba przyglądała się zabawom grubego faceta i tej małej, pulchnej dziewczynki. Tak sobie to wszystko tłumaczył, żeby w ogóle zrozumieć, co się dzieje.

Po chwili dotarł do stacji metra. Zszedł po schodach na podziemny peron, czując na twarzy bryzę pachnącą stęchlizną kolejowych tuneli. Miał już bilet i mógł spokojnie stać. Stać i po prostu czekać. Przyglądał się ludziom i miejscu, czyli ścianom

z wielkimi prostokątnymi billboardami reklamowymi, sieci kabli biegnących równo, szeregami w różnych kierunkach. Zaplanował sobie, że wykorzysta ten czas właśnie na takie obserwacje, na notowanie w głowie dziwności tych kolorów, kształtów, tych rozwiązań przestrzennych, a nawet ludzkich gestów i ubrań. To wszystko było inne, ale nie w tym rzecz, rzecz w tym, że to było nieopatrzone, jeszcze nie zadomowione w jego percepcji, jeszcze nie obejrzone na tyle, by stracić sens, a przynajmniej ekscytację płynącą z nowości. Każda nowość się wyciera i staje się jakąś tam koleiną, po której życie toczy się bezszelestnie, tak że w zasadzie nie widzimy jego znikania. Ale w nowym miejscu widzimy dokładnie, jak znika i nam i innym. Zaplanował sobie, że właśnie tego wieczora na peronie postara się mieć takie doznanie, bo nie miał ich w życiu za wiele, bo gniotło go w dołku, że jego życie właśnie znika niepostrzeżenie. Chciał się na nim za to jakoś odegrać, a przynajmniej złapać je na gorącym uczynku.

Kiedy przyjechał na kwaterę leciała w tv reklama nowego serialu *House of Cards*. To już piąty czy szósty sezon. Nie znał tego filmu. Nigdy nie obejrzał nawet sezonu pierwszego. Nie czuł się przez to wykluczony. Kiedy jego znajomi i koledzy dyskutowali zapalczywie na temat tego filmu, on odwracał wzrok. Nigdy nie oglądał również *Homeland* czy *Breaking Bad*. Wiedział, że nie omija go nic wartościowego, a mimo to czasami zasiedziało się przy jakimś starym odcinku, jeśli akurat był dostępny w internecie za darmo. Jego koledzy i koleżanki żyli cztery sezony do przodu i ze zdziwieniem reagowali na pytania czy próby zagajenia. „A no tak, było kiedyś coś takiego” – albo „Nie mów, że ktoś to jeszcze ogląda”.

Gwoździem programu wyjazdowego miało być muzeum żydowskie. Kiedy sobie wszystko planował w domu, postanowił, że to będzie dla niego ważne, że to zwiedzanie ma dać mu coś wymiernego, że ma go wzbogacić, że ma mu skomplikować życie. O tym muzeum wiele rozmawiali jego znajomi. Znajomi i przyjaciele, których szanował. I liczył się z ich opinią. On niewiele z tego rozumiał i chciał to nadrobić. Naprawić ten brak. Ale nie z powodów towarzyskich, żeby powiedzieć pokazać, że

wie. Nie. Raczej dla siebie. Nie miał specjalnie nosa do tematów, do ciekawostek, ale teraz czuł, że ta właśnie rzecz była czymś wartościowym. Zorientował się, że muzeum to w zasadzie dwa budynki i dwie koncepcje przeszłości. Jedna nowoczesna, druga zupełnie tradycyjna, chociaż ciekawa.

Zawsze był pilny i zależało mu na dobrej opinii nauczycielek, dlatego podczas szkolnych wycieczek do muzeów czytał wszystkie podpisy pod gablotami i stawał zaraz obok przewodnika. Notował w myślach ważne informacje, a przynajmniej tak mu się zdawało. Nauczono go, że muzeum służy do zdobywania wiedzy. Że jest obiektywnym obrazem. Że jest obiektywną pamięcią, że nie mówią w nim konkretni ludzie, a fakty w ogóle, że muszą tam być daty, że niczego się nie dotyka. W dzieciństwie lubił muzea, w których było dużo do czytania, a najlepiej na temat złotych kielichów, mieczy dwuręcznych, a jeszcze lepiej map, na których jego państwo poszerzało swoje terytorium. Najbardziej lubił plafony. W dzieciństwie nie mógł się do syta napatrzeć na plafony. Plafony i stiuki, herby i proporce. Miał hople na punkcie arrasów. Czytał arrasy jak otwartą księgę, ku zdumieniu nauczycielek i przewodników. Uspokajało go i wyciszało szuranie filcowych kapci. Uważał, że w muzeum powinien zawsze znajdować się przewodnik z parasolką uniesioną do góry. W muzeum żydowskim w Berlinie największe wrażenie zrobiła na nim lniana serwetka, którą żydowska matka dała synowi, kiedy uciekał przed wojną do Ameryki. Już nigdy się nie zobaczyli. Syn nigdy nie rozłożył serwetki i teraz leżała w gablocie muzealnej dokładnie tak, jak własnymi rękoma poskładała ją dla niego matka. Może wewnątrz fałd materiału ciągle da się odnaleźć jej linie papilarne, a nawet zapach. To go zmroziło. Nie bardzo wiedział, co zrobić. W muzeum należy czytać o faktach historycznych, wojnach, bitwach i samolotach zrzucających bomby. Nie o prywatnych rzeczach, które należą do czyjejś historii, historii intymnej, historii własnej, ukazującej człowieka w jego bezbronności prywatnej, bezsilnej, z którą ten ktoś sam nie potrafi sobie poradzić, o którą się potyka

przez całe życie, która stoi na przeszkodzie jego szczęścia, przeszkadza mu w znalezieniu żony i domu. Nie pozwala zorganizować ogrodowego grilla z piwem, podczas którego opowiada się o oponach zimowych i upuście cenowym przy zakupie dywaników do auta. Szczęście musiało być w jakiś sposób niedostępne dla tego małego chłopca, który teraz był już z pewnością dorosły. Tego braku nie powinno się eksponować. Przynajmniej tak mu się wydawało, ale on nie był nikim ważnym i na szczęście jego poglądy nie miały dla nikogo żadnego znaczenia.

Skierował się do rozległego ogrodu należącego do muzeum. Po drodze przeszedł przez podwórko pokryte szklanym dachem, pod którym rozstawiono stoły muzealnej kawiarni. Były tu miękkie puffy i kanapy, duże rodzinne stoły, wygodne krzesła, fotele. Zdziwiło go to obudowanie muzeum luksusem i wygodą. Ludzie pili wino, szczytywali wiadomości z telefonów, nawijali spaghetti na widelec. Krzykiem sezonu było prosecco. Nie wiedział, co to jest i nigdy nie próbował. Zwykle upływało sporo czasu zanim nowa nazwa zadomowiła się w jego słowniku. Szedł dalej, bo pod szkłem paliło słońce bardziej niż na zewnątrz.

W ogrodzie mnóstwo niskich drzew o rozłożystych gałęziach i grubych liściach. Pod tą osłoną skutecznie zatrzymującą słońce pełno było drewnianych leżaków z czerwonego materiału. Przeszedł obok nich obojętnie, bo myślał już o bryle muzeum, która była zadziwiająca. Ale te leżaki, a szczególnie ich czerwony kolor, którego intensywna nasycona barwa rozpałała się jeszcze bardziej pod wpływem plam słońca, dużo później przyszyły mu niespodziewanie do głowy, kiedy szedł przez szare i brudne podwórko w swoim prowincjonalnym mieście. Był przyzwyczajony do tych głębokich odrapanych studni bez światła, ponieważ w nich właśnie spędził całe swoje życie i nie zanosiło się, żeby kiedykolwiek zmienił lokum. Ale tamtego dnia wokół podwórka wędrowała sąsiadka z kijami nordic walking

ubrana w intensywnie czerwone tenisówki. Na ręce miała duży krokomierz i nie odpowiedziała na jego powitanie pochłonięta planem treningowym.

W muzeum jego myśli pobiegły szybko własnym torem. Błazniane ściany nowej części przypominały nieco burty gigantycznego lodolamacza. Miał wrażenie, że stanął na krze, którą ten za moment rozetnie. Pokryte były długimi pęknięciami albo lepiej nacięciami, jakby po uderzeniu miecza. Wydało mu się, że tak musiały wyglądać stalowe, kute zbroje rycerzy w średniowieczu, kiedy zdejmowali je, albo kiedy je z nich zdejmowano, po pojedynku. W tych zacięciach na ścianach znajdowały się dyskretne okna wpuszczające dziwne, szczelinowe światło do środka ekspozycji. Zdał sobie sprawę, że bryła muzeum wciśnięta została w obrys ulic i istniejący układ kamienic na siłę, zygzakowato, sztucznie, wbrew logice i brutalnie. W zasadzie nie było na nią w tym miejscu miejsca, a jednak ktoś dokonał gwałtu na przestrzeni i wpasował na siłę tę kanciastą, nieproporcjonalną konstrukcję tak, że wchodziła ukosem w trawniki, wychylała się krzywo nad chodnikiem i podchodziła pod okna nowego osiedla. Tu, niedaleko za ogrodzeniem zobaczył balkon jednego z nowoczesnych bloków wypełniony wiklinowymi fotelami, kolorowymi wiatrakami, doniczkami geometrycznie rozwieszonymi na ścianach i pobrzękującymi na wietrze ozdobami. Na stole wymyta do czysta popielniczka. Ktoś zaciąga się tu regularnie papierosem i z ulgą rozsiada na anatomicznym oparciu z lekko beżowej wikliny.

Na koniec wszedł jeszcze do muzealnej księgarni. Pierwsza książka, która rzuciła mu się w oczy to była biografia Gandhiego. Ale nie kupił jej. Wynałazł zapiski Christophera Isherwooda, angielskiego pisarza, który spędził w przedwojennym Berlinie kilka lat i udokumentował swoje znajomości z mieszkańcami wszelkiej maści, ukazując w ten sposób tę dekadencją energię, która wyniosła Hitlera do władzy. Wiedział, że ta pozycja bardzo przyda mu się w pracy, którą koniecznie musiał tu skończyć. Przy kasie płacił kartą, więc czekał chwilę w niepewności

na połączenie ze swoim bankiem i potwierdzenie transakcji. Obok dwóch nastolatków kupowało wymyślne spinery. Razem z prosecco to drugi modowy szal tego lata.

Zbliżał się koniec. W domu nikt na niego nie czekał, a i tak miał przecucie, że musi wracać. Czekala na niego nowa robota. Jego praca była bardzo terminowa i kiedy tylko zbliżał się moment, kiedy powinien coś skończyć, jego życie zmieniało się w piekło, a telefon rozdzwaniał się i wypełniał szlochami młodych ludzi. Od dawna utrzymywał się z pisania prac licencjackich, magisterskich, a nawet doktorskich na zamówienie. Czasami temat był przyjemny i nie wymagał od niego wysiłku. Ot siadał i klepał w klawiaturę, a po dwóch tygodniach dostawał szampana i okolicznościową kartkę z plikiem banknotów. Ale czasami pisanie było męką, a zbieranie materiałów pochłaniało tygodnie ślęczenia, czasami zmuszało go do wyjazdu i robienia kwerendy poza domem. To był dobry zawód, dobra praca. Gwarantowała anonimowość, o którą zawsze w życiu walczył. To inni dbali, aby o nim nikt nie słyszał. Popyt na jego usługi nigdy się nie wyczerpywał, bo w jego kraju nie gasła potrzeba kształcenia i edukacji. Umiał dzięki temu robić dokładne notatki, syntetyzować fakty, interpretować, wczuwać się w temat. Berlin był idealnym miejscem jego działania.

Skrzętnie zapelniał ostatnie dni pobytu w Berlinie atrakcjami wziętymi z przewodnika. Od kilku dni próbował chodzić wzdłuż muru berlińskiego. Na Bernauer Strasse zatrzymał się w małej kawiarni. W zasadzie miał już dość chodzenia, a może nawet dość samego zwiedzania, zebrał też wszystkie potrzebne materiały do pracy. I tak nie potrafił spamiętać wszystkich historii, a nazwiska kobiet, mężczyzn i młodych ludzi, którzy uciekając zginęli, skacząc z dachów kamienic bądź okien pogmatwały mu się w głowie. Usiadł w kawiarni, bo nie był pewien, czy ma jeszcze siłę dalej robić to, co robił. Jego stolik znajdował się akurat w miejscu, z którego doskonale widać było początek Bernauer Strasse. To tu znajdowało się jedno z wielu miejsc, gdzie spontanicznie zaczęło się wyburzanie muru w 1989 roku. Tu symbolicznie skończył się podział Niemiec i zimna wojna.

Na ścianie kamienicy umieszczono ogromne zdjęcie ludzi wiwatujących przy wyrwie w betonowej konstrukcji. Zamówił kanapkę z kawą. Nie był głodny, ale próbował odzyskać spokój. Ludzie naokoło jedli i pili. Wyglądali na zrelaksowanych. Obok siedziała szczupła dziewczyna w bluzce na ramiączka i przeglądała notatki w dużym skoroszycie. Piła różowy koktajl i wyglądała na studentkę przygotowującą się do egzaminu. Zazdrościł jej swobodnego osadzenia w miejscu i czasie. Pasowała do krajobrazu. Społeczeństwo, historia, szkoła, polityka i wychowanie przywróciły te miejsca do życia. Dlatego człowiek wychodzący z bramy z paczką dpd i wsiadający na skuter nikogo nie dziwi, dlatego skoda sedan z otwartym bagażnikiem zaparkowana przy niewielkim klombie nikogo nie dziwi, dlatego mała wystawa ciuchów z butiku wiszących na metalowej rurze w cieniu pergoli nikogo nie dziwi. W sumie jego to też nie dziwi, że teraz parkuje się rowery wzdłuż płotu i nawet nie trzeba ich przypinać, że je się lody, idąc w słońcu świejącym w oczy. Te rzeczy działy się też kiedyś, ale nie miały znaczenia. Albo miały, tylko i tak niczego nie zmieniały, nie miały sensu, nie zostawiały śladu. Po co jeść lody, skoro twoja matka została po drugiej stronie muru. Po co jeździć rowerem, skoro twój kolega ze studiów właśnie zabił się, skacząc z dachu kamienicy podczas próby ucieczki. Jedzenie lodów trzeba było odłożyć na inną okazję. Przechadzanie się swobodne pełne zadowolenia trzeba było odłożyć na później. On jadał lody z przyjemnością i zawsze wybierał nowe miejsca, w których serwowano nieznanne mu smaki. Był zbyt mało istotny, ważny i zbyt zwykły, żeby postępować inaczej niż sugerował przewodnik Planette. Ale miał z tego i taki pożytek, że uczył się nowych nazw. Cookie monster, lemon flurry, salt sweet seaweed, frapper kooggel, meringe and choc chips, kiwi lasagne, smurf bluff.

Po długim, bolesnym chodzeniu dotarł do muzeum muru, w którym zobaczyć można pas ziemi niczyjej i pustkę tej urojonej granicy. Znow usiadł w kawiarni. Bolały go nogi. Ale miał satysfakcję, bo jeśli chodzi o mur zobaczył prawie wszystko: chodził wzdłuż jego obrysu i na chodniku szukał miejsc, gdzie

podczas ucieczek ginęli ludzie, stał przed fragmentem muru pomalowanego przez grafficiarzy w dziwne esy floresy, był też nad rzeką tam, gdzie znajdują się murale znanych artystów sprzedawane na kartkach pocztowych. Widział słynny wizerunek trabanta przebijającego mur. Teraz przycupnął na chwilę. Czuł się dziwnie ospały wśród kolejnych fal podekscytowanych zwiedzających, którzy stali w kolejce do zdjęcia na tle szarego betonu. W ciągu dziesięciu minut naliczył jakieś dwanaście różnych narodowości. Dokuczało mu swędzenie w pasie i na pięcie. Myślał, że ma to już za sobą. Stosował maści przepisane przez dermatologa. Przez pół dnia palce śmierdziały mu specyfikami, które wcierał w siebie codziennie rano. Uznał, że wszystkie formy publicznej pamięci zamiast przestrzegać przed powtórką z historii, tylko zachęcają ludzi do sentymentalnych powrotów. Stoiska z maskami gazowymi, czerwonymi gwiazdami i czapkami sowieckich żołnierzy, a także charakterystycznymi fragmentami umundurowania z okresu zimnej wojny w zasadzie nigdy nie wychodziły z mody.

Postanowił poszukać skarpetek do biegania, bo nagle nabrał ochoty, żeby uprawiać jakiś sport. Wszedł do sklepu Pummy. Nic z tego nie wyszło, bo ceny zbiły go z tropu. Przy wyjściu ze sklepu znajdował się mały kantorek, w którym pracownik w firmowej koszulce zajmował się tatuowaniem obuwia. Dziwne, ale okazało się, że skóra butów niewiele różni się od ludzkiej i można ją pokrywać regularnymi tatużami. Tu młodzi adeptki piłki wypisują na swoim obuwii własne imiona. Shoe tattoo. To był ostatni krzyk mody sportowej w Berlinie. Razem ze spinnerami i prosecco wywiózł z tego miasta sporo ciekawych informacji.

Ale nie wszystko było takie inne w Berlinie. Niektóre rzeczy przypominały mu dom, jego ohydną ulicę w prowincjonalnym mieście, podwórko odrapane i pozbawione tynku, w którym co prawda zbierano odchody zwierząt, za to ludzkie zalegały na trawnikach tygodniami. Ostatniego wieczora wracał przez Pariser Platz koło Bramy Brandenburskiej. Mijał właśnie monumentalny budynek hotelu Adlon. Budowla błyszczała od świateł i mieniła się kolorami, a jej odnowiona fasada nie miała jednego

nawet zabrudzenia, smugi czy śladu błota. Jednak w załomie muru, za niewielkim przepierzeniem przypominającym boczne wejście do podziemnej kotłowni zobaczył babinę na zydelku sprzedającą kostropate, w połowie zwiędłe bukieciki niewielkich ogrodowych kwiatów. Brązowa od słońca i wycieńczona upałem babina podsypiała, opierając głowę o mur, a jej kwiatki tkwiły w wodzie, która do połowy wyparowała zostawiając na ściankach słoika szare zakola. Na szkle wytrąciły się rozmaite pierwiastki obecne w powietrzu: brom, kadm, rad, polon, a kto wie czy nie nowiczok. Kupił dwa zwiędłe bukieciki. Liczył na to, że atmosfera tego miejsca będzie się z nich powoli uwalniać i wypełniać przestrzeń jego niewielkiej, ciemnej kuchni. Czekały go tygodnie pisania na zamówienie. Nie chciał stracić kontaktu ze światem.

ZOLTÁN LESI

Skok wzwyż

Stella Walsh

W szkole ściagałam się z chłopakami,
z powodu mięśniów i grubego karku
przeżywali mnie byczkiem z Montany. Miałam
powodzenie, zapraszano mnie na tańce, ale
to nie był mój świat, najlepiej
czułam się w trakcie biegu.

Przed olimpiadą w Los Angeles w 1932
całymi miesiącami obchodziłam urzędy, ale te gnojki
wciąż przekładały moje papiery z kąta w kąt.
Bez stałej posady nie mogłam dostać
obywatelstwa. W końcu zatrudnili mnie
w centrum sportowym w Cleveland.

Wtedy okazało się, że na igrzyska mogą
jechać tylko ci, którzy nie zarabiają
na sporcie, więc musiałam zrezygnować
z pracy. I znów szukać roboty,
bo podróż do LA opłaciłam
z własnych środków.

Przyjęli mnie w instytucie polonijnym w Nowym Jorku.
Tym sposobem wystartowałam w biało-czerwonych
barwach. Co ja się później nasłuchiłam, że
zdradziłam Amerykę. Jedynie Babe Didrickson
cieszyła się, że jestem Polką, bo dostała moje
miejsce w reprezentacji. Żyłam w biedzie
i przez długi czas bez obywatelstwa.

Wyścig trwa zaledwie kilka sekund,
liczy się tylko adrenalina. W Los Angeles
zaskoczyła mnie Hilda Strike. Wystrzeliła na starcie,
była cholernie silna, ale nie poddałam się.
Wyprzedziłam ją z rekordem świata.

Polki nie mogły zrozumieć, dlaczego
mimo zwycięstwa trzymam się na uboczu,
a ja bałam się, że zdradzi mnie przepocony strój,
że zobaczą na nim coś, czego nie powinny.

Na olimpiadzie w Berlinie wygrała Helen Stephens.
Nawiedzeni dziennikarze z Polski
utrzymywali, że jest mężczyzną.
Nie była piękną, ale widziałam ją
w szatni. Wreszcie udowodniła swoją kobiecość,
a nawet pozwała gazetę. Posądzała mnie o udział
w tej insynuacji, dlatego z zemsty
oświadczyła, że nie wie,
kim jest Stella Walsh.

[fragment dziennika]
Brema, 8 stycznia 1981 roku

Od dnia, kiedy cię zamordowano, Stello Walsh, dużo o tobie myślę.
Nie było mnie na twoim pogrzebie, ale pewnie
nie zniosłabyś roztkliwiania nad sobą.

W Berlinie ominął mnie twój bieg na sto metrów,
po którym wszyscy mówili o Helen Stephens,
o tym, jak wystrzeliła na starcie i już nie zdołałaś
zmniejszyć jej przewagi.

Helen nie była mężczyzną, mimo to cała komisja
lekarska szukała u niej penisa. Zdumiała mnie wtedy twoja

pewność siebie, że niczego nie dałaś po sobie poznać.
 Po zawodach dla mnie najlepiej było zniknąć,
 a ty udzielałaś wywiadów.

Wiele nas różniło. Największą niespodzianką
 była twoja próba bycia żoną, podczas gdy
 u mnie strach budzili nawet przyjaciele.
 Może to przez dr. Fischbeina, mojego lekarza,
 niestety zbyt późno udało mi się wyrwać z jego szponów.

Ty pozostałaś kobietą – mnie w wieku 21 lat odebrano
 ten przywilej. Zmuszono mnie do zmiany tożsamości,
 przyjęcia imienia mojego ojca, który zawsze budził mój lęk.
 Ale to nie było bycie prawdziwym mężczyzną, raczej kimś pomiędzy,
 lecz któż byłby gotów to zrozumieć.

Heinz Ratjen

Stójkowy

21 września 1938 roku pociągiem do Kolonii
 jechał młody mężczyzna w damskim stroju.
 Pasażer siedzący naprzeciwko myślał,
 że ma zwidy. Jak młoda
 dziewczyna może mieć taki zarost?

Nie znosił wichrzycieli, a już najbardziej pedałów
 i Żydów. Dał znać konduktorowi, żeby
 coś z tym zrobił. Mężczyzna w damskich ciuchach
 wysiadł na stacji w Magdeburgu,
 chciał kupić sobie śniadanie zanim
 pociąg ruszy w dalszą drogę.

Zatrzymał go stójkowy i poprosił o dokumenty.
Co z tego, że legitymacja należała
do olimpijki Dory Ratjen, funkcjonariusz zaprowadził
go na posterunek. Tam podejrzany element szybko
przyznał, że tak naprawdę jest mężczyzną.

Policjant zwrócił się do przełożonych o zgodę
na wszczęcie śledztwa. Niedługo później
Dora Ratjen stała już nago
przed specjalnie zwołaną komisją.

W opinii lekarza pierwszorzędne
cechy płciowe nie były
jednoznaczne, mimo to Dorę uznano
za mężczyznę i zatrzymano w areszcie.
Później do policjanta zatelefonował ktoś

z partii: kierownictwo ministerstwa
sportu zażądało, by
lekkoatletę wypuszczono na wolność,
bo mimo damskich ciuchów

służy interesom Trzeciej Rzeszy.
Później Dora zmieniła imię na Heinrich.
Krótco po tym zdarzeniu stójkowy
sortował już pociski w zakładzie zbrojeniowym.

Rickie Clark

To się nazywa niefart,
babsztyl nie miał przy sobie
nawet pół centa. Jeszcze

idiotka tak machała rękami,
że strzeliłem jej w pierś.
Uznałem, dobrze jej tak,
mogła stać spokojnie.
Wzięliśmy z Donem nogi za pas,
na szczęście nikt nas nie widział.

Gdyby stara nie była
olimpijką, legendarną
Stellą Walsh, byłoby po
sprawie. Mało tego,
okazało się, że to facet.
Kilka dni później nawet
w telewizji mówili o jej
ptaszku i jajach jak orzeszki.

Byłem w szoku i od razu
zadzwoiłem do Dona,
choć ustaliliśmy, że
nie będziemy się kontaktować.
Zamurowało go.

Wreszcie powiedział, że
podobno babka, którą
gazety nazywały już
Stella, the fella, w latach czterdziestych
nawet miała męża, jakiegoś
włoskiego boksera. Biedny
chłop, pewnie do dziś leczy smutki
kurwami. Wyznaczyli nagrodę
za nasze głowy, to tylko kwestia czasu,
kiedy jakiś kumpel zakapuje
nas dla dziesięciu patoli.

Do luftu, skwitował Don,
ale wiesz, na rogu Searsdale
Ave i Broadview Road jest
sklepek. I co wieczór
zostawiają na zapleczu
otwarte okno.

Krewny dementuje

Minionej nocy w Erichshofie trzymał mróz.
Nie sypnęły się grzyby, za to proszę,
przywiało kolejnego dziennikarza.
Musiał widzieć ten sensacyjny
film o nazistowskiej olimpiadzie.
Tani sukces kosztem naszej rodziny.
Heinza nie znałem osobiście,
opowiadała mi o nim matka.
Wiem, że plotkują o nim na potęgę,
gadają, że rodzina go ukrywała,
ojciec krzywdził, że wyrzekł się go,
że był pod opieką nazistowskich medyków.
Nawet nie wiedzą, jak miał na imię –
Horst, Hermann, a może Heinrich?

Już taki się urodził. Kiedyś nazwaliby
go hermafrodytą, ale z ambicjami
sportowymi. I to przez nie
sekret wyszedł na jaw. Jego los
zależał od biologii. W raporcie
policji zapisano, że Heinz podawał się
za kobietę i szkodził interesom
Trzeciej Rzeszy.

Z powodu szykan i strachu
kilkukrotnie próbował popełnić samobójstwo.
Kiedyś moja matka zjawiała się u niego
w ostatniej chwili. Heinz nie chciał być mężczyzną,
ale nie pozostawiono mu wyboru.
Czasem pytają, dlaczego go nie
zabrali, przecież homoseksualistów też
wywozili, a znali jego sekret,
co więcej, wykorzystali go, by na igrzyska
nie pojechała Żydówka,
Gretel Bergmann.

Pewnie chciałby pan usłyszeć,
że załatwił to jakiś wujaszek należący do
partyjnej elity, ale to kłamstwo.
Armia uznała Heinza za niezdolnego
do odbycia służby wojskowej
i przydzielono go do prac przymusowych.
Chyba tylko dzięki zmianie
imienia i próbie życia jako
mężczyzna nie trafił na listę
do wywózki.

tłum. Daniel Warmuz

Prezentowane wiersze pochodzą z książki poetyckiej Zoltána Lesiego
Skok wzwyż w tłumaczeniu Daniela Warmuza, która ukaże się nakładem
Domu Literatury w Łodzi.

JAKUB ŘEHÁK

Pora płynna

Przebłycki dla Johna Ashbery'ego

*

Przysięgać na tablice zmarzniętego śniegu
Na światła przewróconych budynków
Zapewnić skład chemiczny otoczenia
Było to twoim odwiecznym życzeniem

Powietrze wypełnił pisk opon
Czynszówki nie zajmowało ptactwo
Po świcie z łóżka nie sypało się igliwie
Spacer trwał niezaprzeczalną chwilę

Ulica się przewraca a ty się po niej
ślizgasz jak po przyspieszonym lodzie
jak po osobliwych schodach

Koty widziały załamania zakazanej dzielnicy
Twoje uczucie: czas pracował przeciw tobie
nie dojdiesz dalej niż do łazienki

*

Miasto poczt pneumatycznych, zmroki na lodowiskach
Lato oddalało się z prędkością światła
Ziemniaki iskrzyły w piwnicach (jak dziewczęta)
Świat nie był świeży ani różowy

Powietrze było z nami
W mieszkaniach pełnych mysich dziur
Domowe rury słały uszom różowe dźwięki
Powolne motocykle pełzły przez zasy

Poranny naród sunął ku zimie
Dom się przewracał i upadał
Wzdłuż pustyni pełnej karoserii

Mrok zstępuje na poddasze
Twoje uczucie: zostaliśmy wynajęci
Nie udaje nam się odejść z miasta

*

Po południu śnieg padał na ramiona
Przemieniał się w piasek przesiewany między palcami
Pustulka przedarła się do ciebie przez okno
Utrzymywała, że wie o przebiegającym śledztwie

Twój proces sądowy rysuje się niewyraźnie
Podziemia rozdzielono sznurami
Przez budynek płynie tajna pogoda
Zstępujesz do biurowych zaświatów

Przygważdżają tam tajemnice do drewnianej beczki
Na półpiętrze można dostrzec złote wnętrzości
Szorstkie koce leżące na łózkach

Chłodzisz się kulami ze śniegu
Twoje uczucie: myśl się rozniesie
Ale do rana zostanie z niej jedynie szum

*

W tramwaju wciąż przybywa pasażerów
Spotykasz podróżniczki z kolczykami w uszach
Może nie zostanie z nich nic więcej niż śnieg
Za rozpalonymi oponami

Ulice wciąż są na swoich miejscach
Wzdłuż szos rdzewiejące widma
Wysokie wieże i nieznajomi listonosze
Palce poszukujące klamek u drzwi

Przejeżdżające auta zamieniały się w dym
Czas zdierał mokry tynk
Rzeczywistość zalała twoją przegrodę nosową

Na środku skrzyżowania migają światła
Twoje uczucie: zaskoczyła cię zima
Śnieg padał na zagubioną podeszwę

*

Letni mieszkańcy nie dostąpili zbawienia
Wykasują kurz z zimowych wind
Nikom nie brakowało czasu ani snopka słomy
Chciałeś przeżyć wiele lat na poddaszu

Opowiadasz o jeziorach wzdłuż zamku
W środku miasta mijales jego blanki
Podróżniczki fosforyzowały niczym nocne namioty
Ręce dotykały girland zmierzających ku wybrzeżu

Asfalt pachniał w ogrodach za bramami
Sieć autobusów pozostała spowita przesądami
Bilety przedzierano ręcznie jak kiedyś

Rozległe schody zamarzały niczym lzy
Twoje uczucie: pomówienia pędziły przez rury
Wniknęły głęboko w materię miasta

*

Znów odkryć opuszczone podwórza
Pocztę pneumatyczną i wywinięte rajstopy
Poczuć biegun magnetyczny Ameryki
Było twoim odwiecznym życzeniem

Powietrze przymarzało wokół rzeki i wybrzeża
Łyżwiarki włożyły buty i wyruszyły
Meble skrzypiały i zmieniały pozycje
Obawy rozbrzmiewały w wychudzonych pokojach

Słyszałeś chrobot galaktyk wewnątrz odkurzacza
W pokoju odgrywał się dziki szelest
Wokół krzesła iskrzyły nagie włosy

Trwała wojna przeciw posiłkom na stole
Twoje uczucie: skończyła się pora płynna
Szczebiotały ptaki na płocie

tłum. Zofia Bałdyga

WANDA HEINRICHOVÁ

Wiersze

Odsuwanie

to co istotne dzieje się w związku z pociągami
w upływie międzyczasu
świat wokół raptem z rozkoszą ciągnie
ciąg
wszystko czego sobie odmawiamy staje się tutaj cnotą
drzemki i nieprzerwana lektura
gapienie się i wsłuchiwanie
niech to trwa
czerwcową przedłużoną łaska jeziornych półcieni
rozświetlone godziny meklemburskich błoni
a w przedziale przy alejce bulgotanie rozmowy
dwóch południowych Niemek
w podróży ku górze na Pomorze
polskie tak to ptasi spad
dziób dzwoni o okostną i przejeżdża przez rdzeń
język w postaci mewy: mowa
za prywatne lekcje znajomego języka
nie można płacić mało
przy barze
jak pod prześwieconym witrażem
smakujemy z plastrów
coraz ciemniejszy brąz
koniaków i rumów
po kroplach skapujemy w głębsze
piętra miodu gdzieś tam na pograniczu

kraju od którego nie oczekujemy zbyt wiele
ciągną przez ciało najbardziej wartko
a zomiera tam kdesi v piči na Kramároch
przemknęło przez wars za oknem
nad tatrzańskimi szczytami wstały rdzawe mary

wspólne łóżko to łódź ale też i pociąg
o świetle
twoje letnie członki splecione z moimi
wyrazistość ruchu na drodze odśrodkowej
wzdłuż budynku który znam z dzieciństwa
zaraz obok pływalni stęchły
słodkawy odór rzeźni: *bitúnok*
bydlęca głowa na elewacji pojawia się
i znika

sunięcie na razie w kręgach

Sen

zdejmuję płaszcz
to twój wiersz
na podszewce karteczka a na niej
skład: cukier opium śnieg opium

Przerzucam sobie płaszcz przez przedramię. Jestem na
ogromnym dworcu, przede mną ciągnie się wiele kas, w
każdym okienku poza sprzedażą biletów jest i biuro rzeczy
zagubionych. Oszczędzają, myślę sobie.

Lekarz zmierzył jej puls

podniósł się z posłania i przykazał
wszystko w porządku stan stabilizowany
zalecam sporadyczne wizyty w piwnicznych
kramach ze starzyzną
najlepiej w nocy
ma pani porządną latarnię?
świetne są te ze ślusarstwa artystycznego Čermák na ulicy
Nitranskiej
można na nie uzyskać zniżkę
świeczki są dla pani na kasę wie pani
poza tym uzdrowisko niczemu nie zaszkodzi
co jeszcze kiedy opadnie gorączka może pani
zadzwoić
na razie się kłaniam

Śnieżyca

Idę, pada i pada. Słupki do mierzenia głębokości śniegu się skracają, nie ma ich. Pokazywały drogę. Ale droga mnie nie interesuje, nie mogę się doczekać, aż upadnę. Kiedy upadam, jest ciepło i jest dobrze. Światło różowieje za zamkniętymi powiekami. Nie wolno mi zasnąć, przypominam sobie, trzeba wstać i iść. Takie nauki prowadzą do złych nawyków, do spania na stojąco, na przykład. Może to męczące, nie można jednak powiedzieć, że pogoda jest wciąż jednakowa. Jasne niebo prowadzi do ochłodzenia albo na odwrót, coś za coś. Znowu pada gęsty śnieg. Gdzieś podobno stoi pałac. Zakładam, że na wzgórzu, choć jego kontur nigdy nie pokazał mi się nawet w wyobraźni. Tylko wewnątrz. Różowe światło. To o pałacu to legendy. Nic da się wymusić, wymusić nie da się nic. Idę przez głęboki śnieg i upadam, wstaję, nie mogę się doczekać, aż znowu upadnę.

Wyrok

wieczne dziecko wzywa starotestamentowe okrucieństwo
chodź więc gdzie jest to miejsce?
ogień już płonie

nie bój się
w ostatniej chwili zabeczy
w krzakach pojawią się owce
i będzie po wszystkim

a nawet jeśli nie to tylko pismo

zdejmuję z siebie starotestamentowe okrycie
błagam o literę
jeszcze litera!

nawet w kolonii karnej nie było jednak
szczególnie dużego zainteresowania straceniami
długa igła pisze krótka strzyka wodą
spłukuje krew aby pismo było wyraźne

jak brzmi werdykt?

nie mogę nie umiem go rozszyfrować
nie jest to kaligrafia dla uczniów
na ślepo wyczuwam każde drgnięcie
wystawiam plecy by pogłębić pismo

zasługuje sobie na długie czytanie

pisanie powoli i na coś jak gra

co może pismo przeciwko ciału?

zakładam starotestamentowe okrycie
wyrok głosi oddanie pismu
wyrok brzmi: od początku jest po wszystkim
a czytanie nie ma końca

tłum. Zofia Baldyga

MICHAŁ TABACZYŃSKI

Nadzorować i czytać: narodziny biblioteki

Tak mówi Robert Burton w *Anatomii melancholii*:

Król Jakub przy okazji odwiedzin naszego Uniwersytetu Oksfordzkiego w roku 1605 pośród i innych wizytowanych gmachów obejrzał także słynną bibliotekę, którą Sir Thomas Bodley odnowił na wzór tej aleksandryjskiej, a przed odejściem wypowiedział te szlachetne słowa: „Gdybym nie był królem, zostałbym szkolarzem, a gdyby mi przyszło być więźniem, chciałbym, o ile mógłbym wyrazić swoją wolę, aby więzieniem mi była wyłącznie owa biblioteka i byłbym przykuty do wszystkich tych wspaniałych autorów *et mortuis magistris* [oraz umarłych nauczycieli]”. Tak słodką przyjemnością jest studiowanie, a im więcej nauki się zażywa (jak chory na puchlinę wodną, który im więcej pije, tym większe odczuwa pragnienie), tym więcej się jej pragnie, a dzień miniony jest *prioris discipulus* [ucniem poprzedniego]; trudne bywa z początku studiowanie, bowiem *radices amarcae* [korzenie są gorzkie], lecz – jak twierdził Izokrates – *fractus dulces* [owoce słodkie]; im dłużej się żyje, tym większym afektem obdarza Muzy.

Przypisek 1

1.1 Ach, ten król Jakub, iv i i jednocześnie, mają tam mały bałagan w historii Królestwa, ale może nie ma się co dziwić, imperialne mocarstwa inaczej chyba nie mogą, przymusza ich do tego własna wielkość – w końcu też: przytłacza i obala. Ale to już inna historia, historia depresyjnych państw nadmiaru: nadmiaru marzeń, ambicji, dumy, przemocy.

Ach, ten król Jakub – to ten od Biblii, której przekład zlecił i którą tradycja nazywa *King James Bible*, Biblia Króla Jakuba.

Zlecił przekład i jeszcze za niego zapłacił – król intelektualista, intelektualista na tronie, a do tego jeszcze podobno pacyfista, co czyni z niego, o ile to wszystko polega na prawdzie, zajmujące dziwo natury. Oprócz tego, że zlecił przepisanie po angielsku Biblii, to sam też pisał – pisarz na tronie, którego dzieła bywały ówczesnie bestsellerami: na przykład *Basilicon Doron* – taka rozprawka o dobrych rządach i mądrym rządzeniu – rozeszło się podobno w tysiącach egzemplarzy. Napisał też uroczą, jak wszystkie produkcje tego gatunku, *Demonologię*, ale podobno po doświadczeniach asystowania przy przesłuchaniach i procesach podejrzewanych o czary stracił do tego zapał i nawet zalecał większą roztropność i wstrzeźliwość w wysuwaniu oskarżeń przeciwko domniemanym czarownicom. Dobry to był pan? Może tak być, w historii jest bałagan zbyt duży, żeby rozstrzygać.

Ale nawet jeżeli dobry, to na pewno nie dla palaczy, dla których nie miał żadnej wyrozumiałości i był tak zapalczywy w zwalczaniu palenia, że, jak na króla pisarza przystało, napisał rozprawkę *A Counterblast to Tobacco* („Tyrada przeciwko paleniu tytoniu”), w której przeprowadził miazdzącą krytykę tego zwyczaju. Dobry król? Na pewno niegłupi, skoro na początku wieku XVII wiedział (albo przynajmniej: przeczuwał) to, do czego koncerty tytoniowe nie chciały się przyznać jeszcze pod koniec wieku XX; co prawda książka w warstwie naukowych dowodów jest najoczywiściej dość zabawna, ale królewskie fantazje podane zostają tu z największą dostępną monarchii powagą i to jest najlepsze.

Kilka ma król argumentów, których ciężar jest, powiedzmy, dość umiarkowany, a byłby może i jeszcze mniejszy, gdyby nie to, że padały one z królewskich ust, ale dopomaga im retoryczna swada i siła tego tekstu podbijająca autorytet płynący z samego monarszego autorstwa. Jest więc argument kulturowy o wyższościowym charakterze, który dałoby się streścić jako tak: jak wam, bogobojni chrześcijanie i cywilizowani mężowie, nie wstyd przejmować obyczaje dzikusów i pogan?

Jest argument estetyczny: smród, który musiał być królowi estecie wyjątkowo nieprzyjemny; ale i tu estetyka jest traktowana jako nauka o zmysłach, bo król mówi wprost o niekorzystnym wpływie dymu na mózg, dymu, który nos transportuje do mózgu – zagrożenie jest oczywiste i duże: tak potraktowany mózg, tak zaburzony przez dotknięty dymem zmysł powonienia grozi szaleństwem.

Jest i argument ściśle medyczny, właściwie kilka, ale ten jeden najurokliwszy: król rozprawia się z tezą, że palenie jest dobre dla zdrowia, a tytoń – uniwersalnym lekarstwem, szczególnie dla mózgu. Wedle ówczesnych sądów mózg jest zimny i mokry, więc służą mu rzeczy gorące i suche jak tytoniowy dym. Bzdura, mówi król, nasze ciało, ten nasz (uwaga!) mikrokosmos działa inaczej, bardziej jest skomplikowany, żeby przyjmować za prawdę tego typu prostackie zależności. Mózg potraktowany dymem będzie skutecznie podniecony, jako że chłód i wilgotność tego organu są niezbędne, by nasze ciało zaznawało snu i odpoczynku – może więc dym pomóc tym, których mózg potrzebuje takiej stymulacji (Jakub tego nie mówi, ale możemy sobie dopowiedzieć: melancholikom pomoże!).

Ale lekarstwo można podawać tylko wtedy, gdy jest potrzebne, a nie cały czas: „Przyznając zatem, że tytoń może być pomocny w niektórych rodzajach chorób, pytam: czy powinien być używany przez wszystkich chorych? czy powinien być stosowany stale? czy zatem powinni go zażywać witalni, młodzi i zdrowi mężczyźni? Medycyna posiada tę zaletę, że nikogo nie pozostawia w stanie, w jakim go zastaje: zesłabionego uzdrowi, zdrowego osłabia”.

1.2 Król Jakub wizytował bodlejańską bibliotekę w roku 1605, na tron (angielski, bo przedtem zaliczył był szkocki, skąd bierze początek ten numeracyjny bałagan) wstąpił w 1603, a w 1604 wydał „Tyradę przeciwko...”. W 1603 jeszcze zabrał się za największego nikotynistę królestwa i niezmordowanego propagatora palenia – Sir Walter Raleigh podpadł mu podobno planowaną zdradą, ale oskarżenie miało dość chwiejne podstawy, co

jednak nie przeszkodziło wielkiego palacza skazać na śmierć. Łaskawy był król intelektualista, bo karę zamienił na więzienie i Raleigh następną dekadę i pół przesiedział w Tower, gdzie mógł pisać i palić do woli, co może świadczyć o tym – i jest to hipoteza oczywiście o wiele atrakcyjniejsza niż prawdziwa – że najważniejszym powodem uwięzienia była izolacja namiętnego palacza tak od króla, jak i od reszty społeczeństwa.

Łaskawy król, który sam by chciał odsiadywać wyrok w bibliotece, takiej łaski poskąpił skazańcowi – być może z uwagi na dobro książek, które ten by zapewne okadzał bez umiaru i bez należytym bibliotecznym zbiorom czci. W roku 1617 król wypuścił buchającą dymem bestię z klatki i kazał mu płynąć do Ameryki, ale spuszczonej ze smyczy Raleigh zaatakował Hiszpanów, naruszając pokój i wywołując międzynarodowy skandal, więc zirytowany król odwiesił mu karę śmierci. Po ścięciu w celi palacza znaleziono woreczek na tytoń ozdobiony po łacinie wypisaną sentencją: *Comes meus fuit in illo miserrimo tempore*, co znaczy: oto był mój towarzysz w czasach największej niedoli.

Gdyby uznać, że bezczelnie kontynuowany nałóg był osobliwą, ale nieustającą krytyką królewskiego traktatu, trzeba by się zastanowić, czy król Jakub nie był przypadkiem autorem zbyt przeczulonym na własnym punkcie, co się pisarzom nierzadko przecież zdarza.

1.3 Lepszym pewnie był Jakub filozofem niż medykiem (a może i pisarzem), bo najważniejszy argument przeciwko używaniu tytoniu – poza ścięciem Raleigha, oczywiście – ma ściśle filozoficzny charakter:

Czyż nie widzimy codziennie – pisał – że zza mórz nie tylko przybywają do nas nowe formy przyodziewku, ale też, że trudno wprost o nobliwego człowieka, który by ich nie naśladował? I tak się to rozpowszechnia, przechodzi z jednego na drugiego, aż wreszcie każdy temu ulegnie, nie dla wartości, którą to posiada, ale dlatego, że stało się modą. Taka jest bowiem natura miłości własnej żadnemu z nas nieobcej oraz zazdrosnej

deprawacji w sercu każdego z nas, że nie osiągniemy zadowolenia, póki nie będziemy we wszystkim podobni naszym towarzyszom i nie dowiedziemy sobie, że jesteśmy w stanie robić wszystko to, co i oni potrafią, jak te małpy, które naśladowują inne na swoją zgubę.

Moda ma z paleniem rozmaite związki, nie tylko taki, że palenie jest modne – tak, po czterystu latach jest nadal modne i to mimo tyrad króla i jego licznych następców. Król filozof wymaga jednak od nas chwili filozoficznego namysłu. Chwila wystarczy? Taka na papierosa? Za długa nawet będzie.

„Moda” – pisze król, ale dwa przynajmniej są znaczenia tego terminu: jedno oznacza skłonność człowieka do ulegania stadnym zachowaniom, drugie przemysł odzieżowy, który też oczywiście żeruje na tej ludzkiej predylekcji, chcąc narzucić swoje normy estetyczne i sprzedać swoje wymyślne produkty, swoje drogocenne szmaty. Ale król Jakub łączy te dwa znaczenia w jednym przydługim zdaniu: przyodziewek i moda. Przebiegły włoski lis Agamben, mędrzec współczesności, napisał o modzie, że znajduje się ona w wiecznym beczasie czy może niedoczasie, bo jest zawsze między „jeszcze nie” a „już nie”, co przetłumaczyłbym z jego włoskiego na depresyjne nasze tak: moda się mieści w wielkim „zanim” i zanim się spełni, już przeminie; zanim się ktoś stanie modny, już się moda dezaktualizuje; zanim zabłyśnie, już zgaśnie. Owo „teraz” mody – twierdzi błyskotliwie filozof – jest nieuchwytnie. Jaki to ma niby związek z trwającą czterysta lat modą na palenie?

Otóż ma dość istotny. Jednostkowy akt palenia jest bowiem analogiem istnienia mody, tyle że w zwolnionym tempie pokazuje nam nieuchwytnie „teraz” mody: tak się właśnie zachowuje moda w czasie, na jego osi. Tli się, nie wybucha żadnym płomieniem, właściwie: zanim rozgorzeje, już zgaśnie zgnieciona w popielnicze, spetowana o murek, zgaszona w słoiku z wodą, rozgnieciona podeszwą.

To prowadzi do oczywistego wniosku, który intuicyjnie wyczuwa każdy palacz: pali się w beczasie, czas się wtedy zatrzymuje,

ustaje na moment jego bieg. Nie chcą w to co prawda uwierzyć pracodawcy niechętnie spoglądający na wymykających się na papierosa pracowników, nie chce tego faktu przyjąć do wiadomości rodzina pocąca się w kurtkach w przedpokoju, gdy on już wychodzi, zaraz się zbiera, tylko jeszcze spali.

5.1.3 Wiedzą o tych figlach, jakie wyczynia papieros z czasem, nie tylko palacze, ale i teoretycy palenia, na przykład Richard Klein, autor książki *Papierosy są boskie* (wiedział to chyba także polski tłumacz, który zmienił oryginalnie występujące w tytule słowo „wzniosłe” na „boskie”: to można czytać – mimo całej wieloznaczności – jako „posiadające przymioty właściwe bogu”, a ten, jak wiadomo, posiada wyłączność na władanie czasem). Spora część książki jest poświęcona temu oczywistemu związkowi, który tworzą, doczekawszy się liczego potomstwa, wojna i palenie. Ten przychówek liczy się nie tylko liczbą trupów, które i wojna, i palenie generują, ale i liczbą dzieł sztuki i artefaktów kultury.

Palenie i cywilizacyjny kryzys to jest para, którą Klein tak swata: „Francuscy żołnierze przywieźli nałóg z wojny i w Paryżu panowała przez pewien czas moda na palenie. Marksiści mawiali niegdyś, że wzrost popularności papierosów w 1848, roku wstrząsów rewolucyjnych w całej Europie, nie był tylko zbiegiem okoliczności. Sądząc z nagłego wzrostu spożycia papierosów i raptownych zmian stosunku do palenia, wszystkie społeczeństwa zaczynają doceniać je w czasie wojny, kryzysów społecznych i gospodarczych”. Kryzysy społeczne, ale i osobiste. Melancholijni palacze, depresyjni nikotyniści – rzecz w kulturze nieobca.

W uroczym i – właśnie sobie to boleśnie uświadamiam, pamiętając jego premierę – dość już starym filmie *Dym* obaj główni bohaterowie (jeden ściśle depresyjny, w otchłani po tragicznej śmierci jego ciężarnej żony, drugi łagodnie melancholijny i doświadczony wieloma małymi stratami) palą malowniczo w nowojorskich, brooklyńskich dekoracjach. Pojawia się tam też ten arcypalacz Raleigh w anegdocie opowiadającej, jak to

ustalił wagę dymu (zważył cygaro przed paleniem, a następnie pozostały popiół z niedopałkiem po wypaleniu, odjął liczby od siebie i już), czym miał zaimponować Elżbiecie, poprzedniczce Jakuba na tronie.

Żeniłem depresję z wojną i teraz specjalnie dla sceptyków przywołuję znów świadka ich ślubu – Kleina: „Papierosy obdarzają żołnierza wolnością, łagodząc okrucieństwo warunków jego życia. Wywołują nie tyle stany narkotyczne, ile pełen intelektualnego dystansu stosunek do świata. Wtedy człowiek, na wzór rzymskiego boga Janusa, oddaje się zadumie nad przeszłością albo snuje pełne marzeń domysły.

Papierosy są czymś więcej niż terapią. Nie wystarczy stwierdzenie, że – pomimo szkodliwości dla zdrowia – są lekarstwem na choroby ducha”. Oczywiście, że nie wystarczy, oczywiście, że są więcej niż terapią: terapia ma nas osadzić w tu i teraz, związać z chwila obecną. Kto uważa, że tu i teraz jest jakimś rozwiązaniem, ten nigdy nie był w depresji. Tu i teraz jest nieznosne i tak samo straszne jak przeszłość i tak niepewne jak przyszłość. Jedyną ulgą jest bezczas. Żar na końcu papierosa jest jedynym światłem w tunelu, które przy każdym zaciągnięciu przybliża się nieuchronnie – zupełnie jak ten pociąg w znanym dowcipie. Ale zanim nadciągnie, zanim uderzy i nas zmiecie, rozjedzie, zgasimy papierosa. Żeby go znów za chwilę zapalić – na złość królowi Jakubowi, na przekór ciemnej depresji.

Przypisek 2

Kiedy już spaliliśmy, możemy wrócić do biblioteki, w której chyba rzeczywiście palenie powinno być zabronione: przed drzwiami, na schody, na zewnątrz, ale już! Trzeba uważać, bo pożar i biblioteka to jest dobrana, sprawdzona przez lata i wieki para: od legendarnego spalenia Biblioteki Aleksandryjskiej po Bibliotekę Narodową w Sarajewie – z niedawnym postscriptum w postaci pożaru Narodowego Muzeum w Rio de Janeiro,

w którym najbardziej ucierpiała właśnie biblioteka. Natomiast fajki i biblioteka, papierosy i książki – to jest zupełnie inny, pozapozarniczy temat.

Kupiłem kiedyś książki od pewnego Rosjanina – nigdy człowieka nie wdziałem, bo załatwialiśmy wszystko przez telefon: na początek dwa tomy Josifa Brodskiego, ładne, bo ze zdjęciami. Zaklepałem sobie jeszcze u niego zebrane dzieła Dowłatowa i Aleszkowskiego, bo akurat miał na sprzedaż, ale do finału transakcji nie doszło – za jakiś czas zadzwonił, tłumaczył się, że nic z tego, bo książki zalało i nie dało się ich już uratować, że do sprzedaży się zupełnie nie nadają, że przeprasza (woda nie jest tak groźna dla książek jak ogień, jasne, ale jednak nadal, jak widać, groźna).

Tak naprawdę to myślę, że pożalował tego Brodskiego, i po prostu nie chciał się rozstawać z tamtymi – dość już utracił, pozbywając się dwóch tomów, żeby utracić kolejne: melancholia też ma przecież swoją wytrzymałość. Te dwa tomy Josifa Brodskiego bardzo lubię, to chyba jedno z pierwszych postsowieckich wydań (Mińsk, rok 1992), papier kiepski, ale oprawy twarde z obwolutą, szycie, a do tego te zdjęcia. Zniszczone akurat na tyle, żeby je uznać za malowniczo zniszczone – urokliwie, wdzięcznie, urzekająco, jak kto woli. Ale ten zapach! Gorzki smród najgorszego tytoniu, ciężki odór wędzarni, aż gryzło w gardle, aż łzawiły oczy, tak że nawet teraz, po piętnastu chyba latach, zdaje mi się, że go czuję między kartkami – gorycz, która zresztą pasuje do tej poezji, i która pokazuje, ile godzin, ile dni i – szczególnie – ile papierosów (papieros jako miara czasu chyba nikogo nadal nie dziwi, co?) ktoś spędził nad tymi dwoma tomami.

Mówię wam, nikt już tak gorliwie tych książek czytał nie będzie. Nikt nie straci nad nimi tyle zdrowia, zaręczam wam.

Wszystkie książki świata (1)

Nie miałem żadnej „swojej” biblioteki – żadnego mitycznego gmachu, przed którym stałbym oczarowany, zawstydzony, onieśmielony albo choćby zaciekawiony; żadnego wnętrza, w którym jakieś długie rzędy półek z szeregami książek obłożonych szarym papierem i oznaczonych sekretną numeracją pozostawiałyby jakiś sentymentalny ślad w pamięci; żadnego zapachu, żadnych pastelowych kolorów obrazków na ścianach, żadnej nawet bibliotekarki, na widok której moje małe serduszko doznawałoby miłosnych skurczów. Nic. Jeżeli nawet była jakaś pierwsza biblioteka, zatarła się i zgubiła wśród innych wspomnień. Źle to może o mnie świadczy, ale jedyne wyblakłe wspomnienie związane z biblioteką dotyczy właściwie czego innego: pewnie w pierwszej albo drugiej klasie wziąłem udział, jak wszyscy zagnani tam uczniowie, w biblioteczej loteryjce, która miała w oczywistym celu reperację pustego budżetu szkolnej czytelnicy, i wygrałem w niej bon na zawrotną sumę, co pamiętam pewnie tylko dlatego, że nic w życiu nie wygrałem. Słyszałem to zdanie milion razy: niczego w życiu nie wygrałem, mówią ci, którzy nigdy w żadnej bukmacherce nie wzięli udziału, jak i patologiczni gracze. Ale ja naprawdę już nigdy w życiu niczego nie wygrałem, nigdy już nie powtórzyłem tego sukcesu, który tak brawurowo rozbudził oczekiwania – łatwiej bym się z tym brakiem pogodził, gdyby nie to zwycięstwo nad ślepym trafem. Winię za to trwające całe życie rozczarowanie bibliotekę? No kogoś przecież muszę.

Nie pamiętam książek, na które wtedy wymieniłem ten kupon, za to pamiętam tę, której nie wybrałem, a później z trudną do pokonania i zaleczeni goryczą tego żałowałem, co daje wymowny dowód na to, że byłem dzieckiem, najdelikatniej mówiąc, melancholijnym, skoro ta utrata, tak trudna do odzyskania, została mi w pamięci, a wszystko inne – szczęśliwe, radosne, zabawne albo najzwyczajniej i po dziecięcemu głupie

– z niej ostatecznie wyparowało. To był *Ortograficzny słownik języka polskiego*, co daje wymowny dowód na to, że byłem dzieckiem, najdelikatniej mówiąc, dziwnym; można by to nazwać inaczej, ale dla własnego dobra się powstrzymam.

Moje sentymentalne, melancholijne serce zazdrości wszystkim tym, którzy mają to wspomnienie, ten dreszcz, ten zapach, te półki, a nawet tę ukochaną bibliotekarkę. Nie żeby mnie te dreszcze były niezbędne do życia, ale właściwie – dlaczego nie? Czytałem o tym tylko i pewnie stąd ten żal: gdybym miał coś podobnego w pamięci, też bym napisał i byłby to na pewno wstrząsający kawałek, misterna proza inicjacyjna, dumny byłbym z tego i nosił przy sobie, i pokazywał przygodnie spotkanym ludziom, a tak zostaje mi ta śmieszna loteryjka i pominięty słownik, z którymi nie wiem, co właściwie zrobić.

Są potężna wspomnienia z pierwszych bibliotek, są ich pewnie setki i autorzy tych próz na pewno są z nich dumni i słusznie się nimi chwala, są pewnie i tysiące, ale ja pamiętam tylko tę jedną, tylko ta jedna biblioteka i ten jeden bohater mi został: Sender Glatteis z *Der Pojaz* [Pojaz] Karla Emila Franzosa. Sender, w którym chyba nawet nie widzę siebie, a jeżeli widzę, to bardzo niewyraźnie, więc pamięć nie współpracuje tu z utożsamieniem i empatią, to młody Żyd z galicyjskiego miasteczka o wielkim głodzie książek, ale ograniczonych możliwościach jego zaspokojenia. Do wszystkich niezliczonych przeszkód dołącza się i ta jeszcze: jest co prawda w miasteczku biblioteka, ale nie publiczna, w której po okazaniu szkolnej legitymacji urocza pani bibliotekarka wydawałaby kartę i recytowała regulamin, ale klasztorna, co przed żydowskim chłopcem stawia najoczywistsze przeszkody praktyczne, ale i te natury duchowej – Sender Glatteis boi się grzechu. Kiedy wreszcie pokonuje strach (odwieczny to jest konflikt: religia kontra wiedza) i przekupuje zarządcę biblioteki, pyta się sam siebie nieco dramatycznie: „Zostanę teraz odszczepieńcem. Czy ta ofiara jest tego godna?”

Spokojnie, Senderze, za taką zdradę dostaje się rekompensatę – zdrada nieznaczną, to i zapłata jest symboliczną: ta będzie

akurat w walucie zachwytu: „Weszli do drugiej, jeszcze większej sali. Tu było nieco jaśniej, gdyż przez okna wdzierało się popołudniowe słońce. Także i tu każdy skraweczek wypełniały książki. Była to doprawdy ogromna biblioteka”.

Dwie są wiadomości, oczywiście: jedna dobra, druga zła. Od której zacząć? W porządku, najpierw dobra: głód zostanie zaspokojony. To teraz ta zła: za głodem już czai się przesyty, czai się nadmiar świata, którego nigdy nie uda się ogarnąć, wykorzystać, oswoić (zastąpmy „książki” – towarami, a „bibliotekę” – magazynem albo hipermarketem i już jesteśmy w piekle, którego nie maskują te mityczne właściwości książek). Dominikanie znaleźli z tej sytuacji dość banalne wyjście – dezercję: nikt do tych sal nie zagląda, książki zarastają kurzem. Ale Sender nie jest zakonnikiem. Będziesz musiał Senderze za tę wiedzę i ten nadmiar zapłacić w walucie rozczarowania: „«Po co drukuje się takie książki?», zapytał sam siebie, po czym spróbował przeczytać inny fragment tomu, aby dowiedzieć się przynajmniej tego. Ale Pafnucy i Pafnucja pozostali na każdej stronie tacy sami, w słowie i czynie. W końcu zamknął książkę i z impetem wsunął ją na swoje miejsce, potem stał długo bez ruchu i rozmyślał o swoim odkryciu. «Istnieją również złe książki» – szepnął zdumiony do siebie. «Na Boga, po co istnieją takie książki? Jak mogą istnieć złe książki?»”.

Też się zastanawiam nad tym, Senderze, też się zastanawiam. Wszyscy się zastanawiamy, ale z tego zastanawiania niewiele wynika.

Przypisek 4

4.1 Pożary i biblioteki to jest banalny temat melancholii, która mówi przecież ruinami, zgliszczami – pogorzeliiska są równie dobre w tym przypadku: takim językiem mówi depresja i może każdy albo przynajmniej większość by zagłosowała na taki właśnie jej słownik, gdyby to pytanie pojawiło się w trywialnym internetowym quizie, który dla rozrywki wypełnia się podczas

lunchowej przerwy (jedna ręka je, druga skroluje), przed snem (jedna ręka zasypia, a druga skroluje) czy wreszcie – przyznajcie się do tego, przecież to takie niewinne tabu jest – w ubikacji (dosyć już o tych rękach). Burton też sobie lubił pogadać językiem ruin, wiadomo, ale robił coś jeszcze, coś o wiele istotniejszego, co na powrót pozwala wejść do biblioteki; jest *Anatomia melancholii* biblioteką czy właściwie: ruiną biblioteki, gruzowiskiem, które po niej zostało. Jak się to robi po burtonowsku?

Burton miał swoją metodę, która zresztą nie była szczególnie oryginalna w jego czasach, ale jego zasługą było to, że doprowadził ją do takiej skrajności – owszem, ta metoda się stopniuje, akurat tu ilość miesza w jakości i ją podbija, a o jego praktyce pisano, że „melancholijna medytacja w swojej skłonności do koncentracji na konkretnym szczególe izoluje go, wyjmuje z kontekstu, wycina część z cielesnej całości i przez to obraca cały obiekt w ruinę, a ów amorficzny fragment, ten produkt intensywnej uwagi także traktuje jak gruz. Za sprawą koncentracji na szczególe melancholia rozczłonkowuje obiekt na kawałeczki, strzępy, molekuły”.

Dlaczego właśnie tak? No bo tylko tak potrafi opisać, objąć świat, który się rozkłada, rozpada, fragmentuje – można zapomnieć o całości; dajmy już sobie z nią spokój, mówi depresja, nie gońmy za ułudą pełni, tylko chwytajmy, co się da, a nawet więcej: jeżeli istnieje jeszcze jakaś (nader przecież wątpliwa, śmiesznie iluzoryczna) całość, to uprzedźmy nieuchronny rozpad i sami ją sprytnie zdemontujmy.

Dokładnie jak wojna u Moberga, która stawia sobie pomniki ze zgliszcz, tak melancholia rozkłada sobie widzialny świat na kawałki – nie odwzorowuje jego cząstkowości, to byłby dopiero banał, ale aktywnie pracuje nad jego rozpadem.

4.2 Gdyby ktoś sądził, że to takie proste, że Burton w *Anatomii* składa sobie ze skrawków, ze ścinków znalezionych w bibliotece, w której z takim uporem zamieszkiwał, jakąś nową bibliotekę – podręczną, przenośną, powiedzmy nawet (w erze czytników wolno nam tym bardziej): kieszonkową, ten pomyliłby się

i to dwakroć. Po pierwsze, on nie znajduje sobie żadnych skrawków biblioteki czy – na jedno akurat wychodzi – świata, tylko je aktywnie i z mozołem produkuje. A po drugie, rzecz ma inny przebieg: jak już wydrze te kawały mięcha innym autorom, to je najpierw pożera. A jak pożre, to i wydali – fizjologia nie pozostawia złudzeń. I dopiero z tego – tak, to się właśnie nazywa skatologiczna metaforyka, ale przecież pędzimy tu pośrodku barokowego krajobrazu, więc nie ma się czemu specjalnie dziwić – lepi nową bibliotekę.

Cytaty, mniej lub bardziej ściśle przytoczenia, parafrazy, wszystkiego w takim pisaniu jest dużo, wszystkiego z nadmiarem, z niekoniecznym, ale znaczącym naddatkiem, bo tak wygląda melancholijna powieść: zamiast akcji – ciągle powtórzenia; zamiast bohaterów – wypiski; jeśli jakiś bohater jest – to widać go, kiedy powtarza i wypisuje. Mądra badaczka Burtonowskiego pisania tak to widziała:

Aby przedstawić kwestię cytowania, Burton ponownie, chociaż marginalnie, przywołuje metaforę trawienia jako analogu czytania: cytowanie trzeba postrzegać w kategoriach pożywienia niezbędnego do zaistnienia aktu pisania. Aby coś napisać, trzeba być najpierw czytelnikiem wyimków. Erazm zalecał „trawienie” antycznych autorów w celu wynalezienia nowego, odrębnego i indywidualnego stylu. Jednak Burton takie trawienie uważa za niemożliwe: jego „chaotyczne” pismo składa się z cytatów „pozbiernych to z tej, to z innej kupy gnoju”, cytatów, które wybiera na zasadzie najbardziej śladowych i prostackich podobieństw, a które redukuje do „ekskrementów autorów, rzeczy surowych, czerstwych, topornych, fantastycznych, absurdalnych, bezczelnych, nieostrożnych, chaotycznych, niestrawionych”. Burtonowskie uczyty tylko parodiują wielkie dawne biesiady: są jedynie bankietami, na których serwuje się resztki, odpady przeszłości. Jego skatologiczna wizja wyklucza możliwość idealizacji przeszłości: żywimy się ekskrementami.

Dieta osobiwa, ale nie ma wyjścia – pisał o tym ten poeta przesiąknięty papierosowym dymem: „Odpadki dzisiejsze pożerane przez stado jutrzejszych odpadków”.

Przypisek 5

Wszystkie książki świata (2)

Byliśmy naprawdę bardzo biedni. Moja żona na końcówce swojego medycznego doktoratu zrzucona po przekroczeniu obowiązkowego terminu obrony na pół uczelnianego etatu technicznego, a ja w otchłani prekaryjnej finansowej czkawki, tak, że właściwie nie wiem, z czego wtedy żyliśmy. Poruszaliśmy się w żałosnych kręgu żadnych przyjemności – pamiętam właściwie tylko herbatę z opuncją, bo pewnie innych luksusów nie było, na inny wykwint sobie nie pozwalaliśmy. Byliśmy naprawdę biedni.

Książki? Bez żartów, żadnego gromadzenia biblioteki, żadnych tam „wszystkich książek świata” nie było w planach. I wtedy moja biedna żona zobaczyła w gazecie ogłoszenie: wyprzedawano jakąś upadłą hurtownię książek, co znaczyło, że będziemy za chwilę jeszcze biedniejsi. Poszliśmy tam pieszo, żeby się zmieścić we wskazanych ściśle godzinach i chociaż teraz już nie pamiętam, dlaczego właściwie pieszo – nie było dobrych połączeń? chcieliśmy się przejść? nie chcieliśmy tracić pieniędzy na bilet? – to choćby dla efektywności tego wywodu obstawiałbym to ostatnie: myślę, że tak było naprawdę, że skoro już mieliśmy kupić książki, to chcieliśmy ograniczyć resztę kosztów. Byliśmy rzeczywiście biedni.

Adres wskazywał na przedmieścia, ale w labiryncie wielkich blaszanych – blacha falista pomalowana na żółty, ściemniały od brudu i łuszczący się kolor – magazynów, między którymi biegły takie same błotniste i rozjeżdżone kołami dostawczych samochodów uliczki, błądziliśmy jak w obcym mieście, najzupełniej wymarłym, że nie było nawet kogo spytać o drogę. Magazyny mieściły się w najbliższym sąsiedztwie, taki przypadek,

mojego przedszkola, tyle że tego domku z czerwonej cegły, na którego tarasie w ciepłe dni z wielkiego kotła rozlewano nam do kubków gorącą herbatę, już nie było, nic z niego nie zostało – żadnych ruin, żadnych resztek tego tarasu, najwyżej jakiś ślad obrysu budynku widoczny raczej po marnych, nieśmiałych trawach, które nie chciały wschodzić w tym miejscu tak ochoczo. Niewyraźny ślad straty, kilka wspomnień: ta herbata, metalowe sprzęty placu zabaw, figurki Indian, którymi nie pozwalano nam się bawić, tran zagryzany cukrowymi drażetkami, ubikacja, z której korzystanie wiązało się ze stresem i wstydem, bo nie można było w niej zamknąć drzwi – taka łzawa archeologia, aż wstyd mówić.

Wreszcie znaleźliśmy hurtownię sami, idąc pogmatwanym szlakiem nielogicznej numeracji, której paradoksalność jeszcze wzmagaly litery dodawane do liczb, jakby rozmieszczenie samych numerów nie było wystarczająco ekscentryczne: jej drzwi wychodziły wprost na placyk, na którym kiedyś stało moje przedszkole. W środku było chłodno i ciemno; nic dziwnego, bo musiał być luty albo już marzec, w każdym razie była, niezależnie od kalendarza, nadal – zima. Chłodny i ciemny raj książek, raj czytelnika, raj zbieracza. Pomieszczenie mniejsze niż można by marzyć, ale większe niż można by sądzić, całe zastawione wysokimi metalowymi półkami, pomiędzy którymi można było się pogubić, jakby wewnątrz chciało mniej lub bardziej udolnie odwzorować chaos magazynów. I dwóch mężczyzn: jeden w oszklonej kanciapie, drugi krążył pomiędzy półkami, licząc coś, coś spisując. Ten z kanciapy wychylił się i powiedział, że jeżeli chcemy o coś spytać, to do tego – wskazał na snującego się w labiryncie ducha, który patrzył po półkach i coś do siebie mamrotał – pana prosi.

Chodziliśmy w tych ciemnościach i chłodzie długo, ja w każdym razie za długo, ruch był minimalny, dwie kobiety, które same nie wiedziały, czego szukają, a niewiele brakowało, żeby ruchu nie było wcale: może gdyby ustał wreszcie ten krążący między regałami i stale coś zliczający duch, szepczący do siebie i spisujący coś na kartce przypiętej do kartonowej podkładki

z klipsem. Co jakiś czas chodził do oszklonego biura, chwilę rozmawiał z tym drugim – cwaniak, kurator masy upadłościowej, syndyk upadku, siedział w ogrzewanym – i wracał liczyć. Grzebałem w kartonach, niektóre były jeszcze zaklejone, książki leżały bez żadnego porządku, bajki z albumami, wielki nierozpakowany nawet karton *Kawafisa Aleksandryjczyka* pod stertą bajek. Kiedy tak grzebałem, wszedł znajomy snującego się ducha i zaczęli rozmawiać. Wszystkiego nie słyszałem, chociaż od samego początku słyszałem, że ton jest żałobny, ale wreszcie usłyszałem głos szepczącego i chyba wolałbym go nigdy nie usłyszeć: „No wiesz, jeszcze tu walczę, większość sprzedałem, jak możesz jeszcze to wziąć, to dobrze, bo jak zejdzie mi stąd 20 tysięcy, to zachowam przynajmniej mieszkanie, nie, samochód już poszedł, tak że wiesz, tak wygląda sytuacja”.

Chciałem uciekać. Nie chciałem już oglądać człowieka, którego przygniotła biblioteka – zostały mu tylko te smutne ruiny, w których grzebałem: uciekać ze wstydem, że grzebię w rumowisku, w którym on coś zbiera, ciuła na ratowanie mieszkania, czy raczej kupić jak najwięcej, co raczej nie wchodziło w grę, bo byliśmy naprawdę biedni? Wskazali mi pokój, w którym mam zapłacić: mieścił się na zapleczu hurtowni, malutki, jasny, ciepły. Siedziały tam przedziwne matrony, z trudem wyszukiwały ceny książek, z trudem je sumowały, z łatwością komentowały upadek człowieka przygniecionego przez własną bibliotekę, która przybrała akurat postać magazynu z książkami. Chłodne i ciemne piekło książek. Byliśmy tak biedni, że nie mieliśmy nawet mieszkania, które dałoby się stracić, ale widok tego ducha już ze mną został, nie mogę go zapomnieć.

Przypisek 6

Ten przeżarty papierosowym dymem poeta napisał sztukę teatralną, a nawet dwie, ale jedna komentuje to wszystko z zabójczą skutecznością: *Marmur*; polskie wydanie na okładce daje zdjęcie Brodskiego, który właśnie zaciąga się fajką. Wszystko

tam jest – więzienie, czytanie, czas, pismo: rymują się ze sobą doskonałym rymem, który w naturze (naturze języka) nie występuje. Oto dwóch więźniów w futurystycznym więzieniu, które ma kształt wysokiej na kilometr wieży spędza czas pośród wygod i książek, realizując ideał odbywania kary króla Jakuba. Siedzą w tej wieży, w niewielkim szklanym boksie, który musi przypominać wnętrze pięknej mediateki: półki z książkami, popiersia klasyków. Zasada jest jedna: cela utrzymuje stałą masę, więc tyle, ile więźniowie zamawiają (a takie mają tam luksusy), tyle muszą oddać, winda wozi w górę jedzenie, rura w dół transportuje odpadki albo – właśnie tak – ekskrementy. A my już wiemy, że ten ruch odchodów odbywa się w obie strony, bo więźniowie dostają resztki przeterminowanej i wielokrotnie już przetrawionej cywilizacji i jej kultury: dzieła starożytnych Rzymian, ich marmurowe popiersia.

Krytyka utyskiwała, że słaby to dramat, akcja kuleje, bo w istocie nie ma jej prawie wcale, jak to w celi, że, owszem, beckettowski to model, ale nieefektowny i mało efektywny teatralnie, nie widząc, że myli gatunek: to nie jest sztuka, to jest prastara, na wpół zapomniana forma dialogu, a w końcu nikt Platona nie oskarża o brak teatralnych przymiotów. Wieża jako miejsce izolacji jest rzeczywiście słabym tłem dramatycznej akcji, jest ucieleśnieniem tej idei więzienia, w którym niedobór przestrzeni rekompensuje nadmiar czasu: „Wieża sprowadza pomieszczenie do minimum. I tym samym niemal namacalnie wyrzuca cię w głąb Czasu. W sam czysty Czas, niespaskudzony kilometrami, w chronos...”.

Ktoś wrzucony w czysty czas (Czas, jak chciał Brodski), może czytać, o ile czytać potrafi, o ile się pogodził z depresyjnym nadmiarem czasu; więzień barbarzyńca zarzuca w pewnej chwili towarzyszeni: „Ciągłe czytasz... Przeszłość cię pociąga. Pewno: przy tym nadmiarze historii, jakaż tu terażniejszość. A tym bardziej przyszłość. A już geografii ni cholery nie zostało. Same kolonie, części Imperium. Gdzie nie plunąć. Nawet jeśli zyskały niepodległość... Została tylko topografia. Góra-dół... Czytaj, czytaj... Kiedyś wszystko przeczytasz... Książki zostaną na

półce, a ty polecisz zsypem”. Wiadomo, topografia jest jedynym ratunkiem, jedynym, nawet jeżeli marny i niespełniającym naszych nadziei, lekarstwem na ten nieustanny rozpad. Nie zahamuje go, to jasne, ale pokaże w oślepiającym błysku w otchłani czasu, żeby to tak górnolotnie ująć. Zbyt wzniośle? Topografia nie zna tu granicy, więc możemy sobie dać spokój i frunąć. Nie ma wyjścia, chociaż właściwie – jedno jest. Jeszcze bardziej marnym, najmarniejszym pewnie, ale jedynym: „Samobójstwo to żadne wyjście, zaś słowo «wyjście» pisze się na ścianie”. Wyjście, *exit* i strzałka wskazująca kierunek ucieczki. Jeden z więźniów zresztą skutecznie ucieka, ale tylko po to, że ucieczka jest możliwa, ale najzupełniej bezsensowna: wraca nieprzymuszony do celi, potwierdzając – świadomie czy nie – jedyną możliwość, o której – cisza. Wyjście, *exit* – bez strzałki, co najwyżej z kropką. Albo – jeżeli ktoś lubi takie efekciarstwo – z wielokropkiem...

Kiedy zamykamy książkę, Brodski na okładce wciąż – w swoim wydartym chronosowi beczasie – łapczywie się zaciąga.

PIOTR GROBLIŃSKI

Grabarz ptaków

Wszyscy właściciele psów są do siebie podobni, ale każdy miłośnik ptaków kocha je na swój własny sposób. Zaobraczkowani ornitolodzy, emerytki dokarmiające słoniną sikorki, wyposażeni w lornetki ptasiarze, uganiający się po polach i lasach za kolejnymi gatunkami, studiujący atlasy i fotografujący wszystko, co lata. Nasz bohater także upodobał sobie ptaki, choć właściwie nie potrafił ich rozróżniać ani po upierzeniu, ani po śpiewie. Po prostu lubił na nie patrzeć. Podczas samotnych spacerów często gapił się w niebo na kołujące stada albo liczył te siedzące na przewodach wysokiego napięcia. Ale bez egzaltacji – nigdy nie porównywał ich do nut na pięciolinii ani nie myślał o lataniu jako symbolu wolności. Nie czytał nawet Whartona.

Nazwijmy go Jerzy K. – będzie trochę śmieszniej. Przyda się to ziarnko żartu, bo życie Jerzego K. zbyt wesołe nie było. Pracował jako sprzedawca (doradca klienta) w hipermarkecie budowlanym. Sprzedawał ludziom lampy, umywalki, listwy przypodłogowe i kleje do glazury. Doradzał, jak umiał, starał się być szczerzy. Jego ulubiona fraza (*Ja bym tego nie kupił*) nie pomogła w osiągnięciu dobrych wyników sprzedaży. Zarabiał niewiele, ubierał się byle jak. Odkąd opuściła go żona, był zamkniętym w sobie samotnikiem. Wieczorami oglądał filmy, czasami grał na flecie jakieś łatwe utwory – dawno temu rodzice posyłali go do szkoły muzycznej. Z pracy najczęściej wracał pieszo, kupując po drodze coś na zjadaną przed telewizorem kolację.

Wrona leżała na środku ulicy, właściwie uliczki – utwardzonej drogi gruntowej na przedmieściach. Zapewne potrafił ją jadący tędy samochód, potem przejechało po niej kilka innych. Spłaszczony placek czarnych piór z dobrze jeszcze widocznym dziobem wyglądał jak kantorowski assemblage z parasolem – Jerzy K. widział to kiedyś w muzeum sztuki. Może dlatego zapatrzył się w plamę na jezdni. Wrócił do domu, ale coś nie

dawało mu spokoju. Wziął aparat fotograficzny, łopatkę i wrócił na ulicę. Zrobił zdjęcie (przez pewien czas używał go jako tapecy w komputerze), a zwłoki ptaka zakopał na pobliskim trawniku. Nie, nie oznaczył miejsca w żaden sposób, nie wypowiedział też żadnej formuły pożegnania. Nie do końca rozumiał, po co to robi. Potem był zagryziony przez kota ptak w parku i jakieś piskłę, które wypadło z gniazda. I nagle zaczął je zauważać – szpaki rozbijające się o ekrany akustyczne, zatrute czymś gołębie, zamrożone wróble. Za każdym razem je zakopywał. Zdjęć więcej nie robił.

Z czasem małą łopatkę, taką składaną saperkę ze swojego hipermarketu, zaczął zawsze nosić przy sobie. Z pracy wracał okrężną drogą i prawie zawsze znajdował jakiegoś martwego ptaka. Nieraz więcej niż jednego. Sprawę załatwiał na miejscu, a jeśli nie było akurat pod ręką kawałka ziemi, zabierał zwłoki do foliowej torby. Zakopywał je niedaleko domu, na takiej niby-łączce między torami kolejowymi, wiaduktem i ogródkami działkowymi. To nie miały być żadne ceremonie – po prostu robił w mieście porządek. Znajomi, którzy dowiedzieli się o jego dziwnym zwyczaju, zaczęli do niego dzwonić jak do firmy pogrzebowej. W dodatku sądzili, że sprawiają mu przyjemność.

W niedzielę nie pracował, jego sklep był wtedy zamknięty. Nie zbierał też martwych ptaków. Za to w niedzielne poranki zaczął przychodzić na swój ptasi cmentarz. Siadał sobie na trawie i podgrywał jakieś strzępki melodii na flecie. Czasem odnosił wrażenie, że towarzyszy mu sporo ptaków, ale może tylko tak mu się wydawało. Jednak po paru tygodniach nie można było już mieć wątpliwości – ptaki naprawdę się zlatywały. W dodatku zaczęły naśladować grane przez niego frazy. Przynajmniej te bardziej uzdolnione gatunki, reszta wrzeszczała po swojemu. Nie, to absurd – pomyślał. – Jeśli człowiek chce, pozwoli oszukiwać się własnym zmysłem. Ptaki po prostu śpiewają...

W słoneczną, wiosenną niedzielę ktoś akurat tamtędy przechodził. Zatrzymał się, posłuchał, usiadł z boku i został do końca. Następnym razem dołączył ktoś inny. Wkrótce niedzielne koncerty zyskały grono stałych bywalców i pewną sławę,

potwierdzoną wpisami na Facebooku i nieoficjalnymi nagraniami na YouTube. Zainteresowały się nimi nawet lokalne media, które zaczęły Jerzego nazywać Franciszkiem od Ptaków, dyskretnie omijając problem jego ewentualnej świętości. Publiczności przybywało, niektórzy chcieli rzucać muzykowi drobne monety, rozentuzjasmowane nastolatki zostawiały mu maskotki, a pewien trzeźwo myślący gość postawił przed nim butelkę niezłego koniaku. Jerzemu te dowody popularności nie przeszkadzały, ale też nie ekscytował się nimi w najmniejszym stopniu. Uśmiechnął się dopiero, gdy pewnej niedzieli dołączyła do niego nieśmiała wiolonczelistka, która z wyczuciem podjęła grany akurat temat.

KACPER BARTCZAK

Wiersze

Warsztaty na dzielni

przy arteriach
doklejonych do warsztatów
zakaźnych

ekoton na castrolu
z etykiet
medaliki mutują

między drutem
a logo
poland błona

sięga błota
dzielnica
zawsze dziewica

Osiedle kwantowe

ja zima zerwania
zrobiłem sobie
z prób i obłądów
życie usrane różami

ja zima kiedy matka
ja zima kiedy ojciec
osiedle puste
płytkowe

puste domy mediowe
glina ciało smoła
którą jedliśmy dziećmi
partycypując

w zapaści czasowej
osiedlenie w czasie
cedziło lastryko ja się
w tym kochałem ja zima
do naga

Ja obce wymowne

Moje przestrzenie
skórne mowa styczna
człowiek w tej stronie
w świetle dnia
moja głowa
skrytka elektro-
lityczna
weksle solne
solnica w języku
potęga smaku
sól mnie uwierzy-
telnia
moje zwierzę
w brudnym świetle dnia
poza numerem
palonym w skórze
windykacja
każdego dnia
moja farma-
kologia zwierzęta

pokłady biotyczne
błyski pod czaszką
bieda przypisy
umowne

Dom żył

prosty zestaw pudełkowy
łza tektura kompozyt
skrobiowy z dymu żył
zakrzep na wystawę życiową
nie żebym pragnął odrodził
nerwy poszarzały od pogody
wyszła w skanie dieta
kaloryczna taka wystawa
z domu żył
sam sobie kompozyt
lęków leków nie osądzaj
żeby leki nie osadziły
cię w blokach kopalnych
na kurhan donosów
na ciebie w rejestrach
lękowych osądziły
bo tyś z węgla folii
kwasowy dozownik

się zastanawiam
czy miałem piękno
czyżbym stracił piękno
że puściłem piękno
na łeb szyję dobro piękno
z głową spuściło
się na mnie wystawiło

z domu żył
na zewnątrz
z fastfoodu żywię
ojca jąkałę między nami
udar słoneczny dekorum
udarowe niebo a ziemia
gramatyka asceza
bałamutna przerzutnia
mnie w życie zewnętrzne
choć maniera pęka
nam do wewnątrz

JOANNA BOCIĄG

Wiersze

jazda

muzykę puszcza głośno

żeby nie słyszeć
czy nie rozmawiać
pytam

to nie dociera
to nie dociera

po drodze mijamy
święte drzewa

samochody

patrz na mnie kierowcy samochodów
ale umówmy się
to ja ściągam
ich wzrok

jak mała dziewczynka

na autostradzie wiatr
pierwszej nocy nie mogłam spać

jakbym czekała
czekała

na spotkanie z ojcem w weekend

polowanie na muchy

razem schudliśmy osiem kilo
kurwa połączyłbym te dwa ciała to już konieczność:
poluję na muchę

normalnie tego nie robię
sytuacja jest wyjątkowa

leżę na mokrym łóżku
pytam czy lubi ten film
opowiadanie

NATALIA KRÓLIKOWSKA

Historia szerokiego człowieka

Nie ma chyba w historii polskiej XX wieku drugiej tak interesującej postaci jak Konstanty A. Jeleński. „Kot” bije na głowę Piłsudskiego, Stryjeńskiego, Iwaszkiewicza i wielu innych. Intelktualista, żołnierz, osoba nieheteronormatywna. „Człowiek szeroki”, jak mógłby napisać o nim Dostojewski. Na szczęście Anna Arno, autorka biografii *KOT. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim* nie postanowiła go „zwięzić”.

Dzięki temu czytelnik otrzymuje wnikliwą i pogłębioną – opatrzoną grubo ponad tysiącem przypisów oraz wieloma fotografiami i grafikami – historię życia „szarej eminencji” powojennego środowiska polskiej emigracji, bez której być może nie mogłyby rozblysnąć gwiazdy Miłosza czy Gombrowicza.

Nie ma sensu streszczać w recenzji życiorysu jej głównego bohatera. Dość powiedzieć, że portret jego babki, Magdaleny Skarżyńskiej, zdobił talerz z kolekcji *Les Beutes d'Europe*, jego ojciec, Konstanty Jeleński Senior, „terapeutyzował się” u Freuda ze słabości do alkoholu, mężczyzn i domów publicznych, zaś matka, Rena Jeleńska, romansowała z Carlo Sforzą, ministrem spraw zagranicznych Włoch, domniemanym biologicznym ojcem „Kota” Juniora.

Sam Kot „chodził do prywatnego przedszkola w Wiedniu, gdzie w piaskownicy poznawał dzieci austriackiej arystokracji – małych Schwarzenbergów, Liechtensteinów, Kinskich. Dwa lata spędził w szwajcarskiej szkole z internatem. Później, już jako uczeń polskiego gimnazjum i liceum, w ferie odwiedzał rodziców na zagranicznych placówkach” – czytamy w książce Arno. Był poliglotą, jego językiem domowym był włoski, niemiecki rozumiał od dzieciństwa, czytał po hiszpańsku i flamandzku, publikował po francusku i angielsku.

Siłą rzeczy Kot nosił w sobie nieusuwalny rys arystokratyczny i kosmopolityczny. „Miał w sobie lekkość, nielicującą z polskim

charakterem, o ile jest coś takiego jak polski charakter” – opowiadała Julia Hartwig. „Miał dar uwagi” – dodawał Adam Zagajewski. „W oczach polskiej emigracji Jeleński był wcieleniem Zachodu – jakby człowiekiem wyższej jakości. W środowisku «Kultury» był najbardziej otwarty, światowy” – podsumowuje autorka biografii.

Mimo światowych koligacji i międzynarodowego obycia najlepiej czuł się w polszczyźnie. Była dla niego językiem najpełniejszej lektury, językiem przeżywania i tworzenia. „Jedyna literatura, która mnie naprawdę interesuje, w swych przejawach bieżących, poza klasykami, to literatura polska [...]. Mimo oddalenia od Polski, mimo ubóstwa mego języka, mimo przykrych i częstych wątpliwości gramatycznych, składniowych, uważam się za pisarza (krytyka? eseistę?) polskiego” – wyznawał.

Kot, jak na kota przystało, chodził własnymi drogami, żył w wielu światach równoległe, które często do siebie nie przystawały. Znał wszystkich i wszyscy go znali. „Przyjaciele często nie pamiętają, jak poznali Jeleńskiego: ktoś ich do niego skierował, to był pierwszy, oczywisty adres, po przyjeździe do Paryża” – pisze Arno i przywołuje słowa Mirosława Chojeckiego: „Był odźwiernym, otwierał drzwi, łączył ludzi i odsuwał się w cień”.

Metafora odźwiernego – podobnie jak porównanie Sokratesa do akuszerza myśli – wydaje się kluczowa dla zrozumienia miejsca i roli Konstantego A. Jeleńskiego w polskiej kulturze. W książce Arno rozdziały o romansach i skandalach, w które zaangażowany był Kot, zdają się mniej intrygujące niż te, które pokazują jego działalność literacką, rozumianą nie jako „uprawianie pisarstwa”, a jako pracę na rzecz literatury i literatów, obejmującą wsparcie, redakcję, promocję, recenzję. „Przez całe lata miałem tylko jednego czytelnika, jego. Jedyne potwierdzenie wartości tego, co robię, znajdowałem w listach Jeleńskiego. Jeden czytelnik – ale jaki – to już chyba dosyć” – wspominał Czesław Miłosz. Nobliście wtórował Witold Gombrowicz: „Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczętą «dzięki Jeleńskiemu»”.

Jeżeli portret Konstantego Jeleńskiego namalowany przez Annę Arno jest prawdziwy (a na taki wygląda!), to był on pięknym człowiekiem. szlachetnym, odpowiedzialnym, pomocnym, bezinteresownym.

Interesująca to biografia, w której nad chronologią życia dominują opisy osobistych fascynacji i relacji głównego bohatera. Smutne zaś jest to, że większość relacji, w które wchodził Kot i które pielęgnował, były dość jednostronne. Jeleński był hojnym dawcą – rozdawał swoje ciało, swój talent, swój czas, swoją energię innym, dzielił się sobą, a jak to w życiu bywa – chętnych, aby z tego korzystać, nigdy nie brakowało.

Dlatego docenić należy wysiłek autorki dla oddania sprawiedliwości temu, bez którego być może Witold Gombrowicz czy Czesław Miłosz (i wielu innych) nie zyskaliby międzynarodowego rozgłosu i uznania.

Historia Kota może być bardzo budująca dla wszystkich tych, którzy choć sami nie piszą, robią dla literatury „mrówczą robotę” – tłumaczą, promują, wydają, recenzują, badają.

Poza korespondencją oraz tekstami krytycznoliterackimi Jeleński nie pozostawił po sobie żadnego dzieła. Książka Arno pokazuje jednak, że samo życie może być dziełem (pod warunkiem, że znajdzie swojego kronikarza).

Bardzo ciekawie odmalowane są również portrety postaci drugoplanowych, w szczególności uwikłanego w politykę środowiska paryskiej „Kultury” (ostre słowa padają często na kartach książki pod adresem samego Giedroycia, który, jak powszechnie wiadomo, zbyt miłym człowiekiem nie był).

Można sobie w tym miejscu zadać pytanie jak wyglądałaby polska literatura XX wieku, gdybyśmy zamiast „księcia” mieli na tronie jakąś damę (np. z Kotem)?

Arno nie omija „trudnych” tematów związanych z Kotem – homoseksualizmu, poliamorii czy AIDS. Nie robi też z nich sensacji. Lektura tej książki to dobra lekcja, jak powinno się pisać o „tych sprawach”.

Renata Gorczyńska wspominała: „By opisać Kota, trzeba by odwołać się do oksymoronów, bo był on uważny i roztrzepany,

troskliwy i arogancki, bezbożny i nabożny. Był liberałem i reakcjonistą, kombatantem i pacyfistą, szydercą i kolanopokłonnym. I to nie raz jednym, a raz drugim, lecz tym wszystkim jednocześnie. Można było odnieść wrażenie, że Kotów było wielu. Moim zdaniem, na koniec Kot był jeden”. Annie Arno, autorce biografii *KOT. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim* udało się trudna sztuka odmalowania portretu zwielokrotnionego, a jednocześnie bardzo spójnego. Arno z dużym wyczuciem opisuje złożoność postaci swojego bohatera, a przy tym udaje jej się uchwycić jedność w wielości i w bogactwie różnorodności, jakie reprezentował Konstanty „Kot” Jeleński.

Anna Arno *KOT. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim*, Iskry,
Warszawa 2020

MARCIN BAŁCZEWSKI

Wielka Kolekcja Komiksu Polskiego

Pingwin i inne opowieści to pierwszy tom serii Biblioteki Polskiego Komiksu Niezależnego, projektu szczecińskiego wydawnictwa Granda, które coraz częściej obok książek prozatorskich i przewodników publikuje również opowieści graficzne. To bardzo ciekawa inicjatywa, która ma za zadanie pokazanie szerszemu gronu odbiorców komiksy spoza pierwszych stron gazet, niszowe i zinowe. Na pierwszy ogień poszedł Szymon Kaźmierczak, urodziny w 1985 roku w Bydgoszczy, absolwent tamtejszego Liceum Plastycznego oraz grafiki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Na wstępie należy wspomnieć, że nie jest to najbardziej rozpoznawalny twórca offowy w naszym kraju, jednak sam wybór premierowy pozwala poznać pewną strategię wydawnictwa, które skupi się zapewne jednak nie na nośnych nazwiskach, a na ciekawych, oryginalnych projektach (wiadomo już, że kolejnym wyborem będzie Beata Sosnowska).

Pingwin i inne opowieści to ponad sto dwadzieścia stron wyboru twórczości Szymona Kaźmierczaka. Na całość składają się dwie części tytułowego Pingwina, chyba najpopularniejsze z całego tomu *Lewą ręką spisane* oraz *Bonjorno porno, Formalina, Strażnicy. Początek, Potwory i ludzie, część druga*. Czyli klasyczny, artystyczny miszmasz z lat 2012–2019, w skład którego wchodzi komiksy wcześniej publikowane oraz rzeczy premierowe, pokazujący rozwój twórczy autora, chociaż od początku jest on przywiązany do pewnych formalnych rozwiązań graficznych czy narzędzi, z których korzysta (choćby akwarele).

Co do warstwy fabularnej – jest różnie, czasami dowcipnie i nawet fabuła jakoś się trzyma, a czasami dowcip jest poniżej krytyki, ot, po prostu to, co zazwyczaj w publikacjach typu zin znajdziemy. Mnie od strony tekstowej najbardziej podoba się intertekstualna zabawa ze *Strażnikami*, innych zapewne

urzeknie coś innego, choćby ze względu na prosty koncept czy dowcip. Treści komiksów, powstałych na przestrzeni ośmiu lat, nie da się sprowadzić do jednego mianownika. Jest tutaj po prostu olbrzymi chaos i wiele przypadkowych, niepowiązanych ze sobą opowiadań. Ale takie jest prawo wyboru.

Podobnie z warstwą wizualną, która w pewien sposób pokazuje rozwój autora, ale np. *Lewą ręką spisane* jest specjalnie „koślawe” i nieco niedorobione z powodu tytułowej lewej ręki. Naturalnie w zależności od ilości pracy, momentu powstania konkretnego komiksu oraz pomysłu na projekt z wykonaniem jest bardzo różnie. A że Szymon Kaźmierczak jednak potrafi rysować, to fakt – wystarczy spojrzeć chociażby na kilka przykładowych plansz z przegód tytułowego Pingwina.

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie do kogo jest adresowany ten komiks, ponieważ może się przy nim bawić zarówno początkujący czytelnik, jak i dojrzały odbiorca. Z drugiej strony zapewne mogą znaleźć się tacy, którzy odrzucą go, uznając za niepotrzebną stratę czasu. Jest tu nieco zbyt wiele niezobowiązujących i frywolnych opowiadań. Pod względem narracyjnym jest lekko i zazwyczaj przyjemnie, co nie zawsze sprawdza się w dużych dawkach.

Czego brakuje? Wydawca mógłby pokusić się o kilkustronicowy tekst na temat postaci i twórczości samego autora, wstęp jego autorstwa jest jednak zbyt efemeryczny i bardziej promocyjny niż informacyjny. Krótka, przenikliwa recepcja jego komiksów zdecydowanie wpłynęłaby pozytywnie na całość publikacji i dodałaby tej publikacji nutki naukowości.

Szymon Kaźmierczak, *Pingwin i inne opowieści*, Wydawnictwo Granda, Szczecin 2020

TOMASZ FILIPCZAK

Kamyczki. Żeby nie uciekły (I)

Bankiety (które pamiętam)

Spotkanie u Łuczywów. Jest 1981 rok. Rok „karnawału Solidarności”. Chyba imieniny Helenki. Mieszkanie w bloku, ciasne dla dwóch osób, a co powiedzieć dla kilkunastu. Gwar, wręcz rejwach. Dokoła same nazwiska z pierwszych stron gazet. Alkohol, rozmowy, kanapki, rozmowy itd. Jestem bodaj jedynym prowincjuszem w tym gronie, który musi wracać nocnym pociągiem. Kręci mi się w głowie. Dla wypoczynku łąduję w kuchence i sięgam po rękopis leżący na stoliku. Zaczynam czytać i odruchowo, ołówkiem, nanoszę poprawki. Było ich 14. Mija kilka dni i w Polsce, i w świecie trwa gorączkowa dyskusja o „Wejda, czy nie wejda” autorstwa Jacka Kuronia. Temat inwazji sowieckiej to gorący kartofel tego okresu. Podczas kolejnego pobytu w Warszawie spotykam się w kawiarni z Anią Dodziuk. Dla mnie pierwszą damą opozycji, przyszłą żoną Piotra Bikon-ta (w tym też maczałem paluchy) oraz matką Basi, ze związku z Jankiem Lityńskim. Te dwie wspaniałe kobiety (Basia wtedy lat chyba 13), były dla mnie ostoją i gwarancją dobrze spędzonego czasu w stolicy. Ania zaskakuje mnie gratulacjami: „Wszystkie twoje poprawki weszły”. „W co?” – pytam. „No, w Jacka”.

Przy innej okazji, w restauracji „Sofia” rzucam: „Wyobraźcie sobie, że oto na Komisję Krajową NSZZ Solidarność wchodzi Matka Boska z Wałęsą w klapie”. Później ten żywioł dowcipu ogrywał któryś z lepszych kabaretów (możliwe, że „Tey”).

Bankiet u Ani D. Szał. Śmiem twierdzić, że były to największe i najbardziej „ekskluzywne” imieniny 1981 roku. Przyjechałem z Sułkiem dzień wcześniej. Ciągnęły go do Warszawy sprawy międzynarodowe, chociaż prozaiczne, czyli stosunki damsko-męskie. Był to gorący dzień pod każdym względem. Późnym rankiem dnia następnego, po skromnym kurażu, Ania

wyzaczyła mnie do roli barmana odpowiedzialnego za dobre samopoczucie gości i za zawartość barku. Co też z prawdziwą radością przyjąłem. Po południu zaczęli się zbiegać moi klienci. Najpierw ziemia puławska, potem górnicy ze Śląska, z tego i z drugiego, z Tadkiem Jedynakiem. Potem literaci, dziennikarze, politycy. Oczywiście Adam Michnik i jako ostatni, co za wejście, Jacek Kuroń ze swoją wspaniałą małżonką Gajką. Atmosfera dyskusji, dzięki mojej obrotności, nabierała szybko rumieńców. W pewnym momencie pojawił się Janusz Szpotański. Jego wygląd budził grozę. Miał twarz pokrytą plastrami. Zabrałem butelkę, skrzętnie zamykając barek, i zaprowadziłem go na balkon. „Janusz co jest?” – pytam, nalewając do szklanek, bo kieliszków już zabrakło. Zresztą Janusz raczej nie lubił małych szklanych atrybutów. „Nic. Na poprzednim spotkaniu pobił mnie Michnik. Przykleiłem plastry, bo cierpiącego bić nie będą. Mam nadzieję” – dodał. Główny Casanova, Adam, miał swój wianuszek wielbicielek, z którymi rozsiadł się na środku salonu i szczebiotał z nimi, jak zwykle sypiąc barwnymi anegdotami. Oczywiście Jacek w niczym mu nie ustępował, gromadząc liczne grono fanatyczek, wpatrzonych w niego niczym w guru. Witek, który przerwał negocjacje międzynarodowe na klatce schodowej, dał mi znak, że czas na małe co nieco. Fakt. Dwa dni bez jedzenia i picia... herbaty zrobiło spustoszenie w brzuskach ziemi łódzkiej. Zamknąłem barek i udaliśmy się do kuchni, gdzie fantastyczna gospodyni przyjęła nas wyśmienitym kapuśniakiem czy czymś podobnym dostosowanym do okazji. Chlipiemy tę zupę niczym dwa wygłodniałe charty, gdy nagle do kuchni, wraz z gronem fanatyczek, wpadł Jacek. On też rzucał przednimi anegdotami. Kiedy usiadł naprzeciw łódzkich chartów, akurat zaczął anegdotę o tym, że lud uważa, że Annę Jantar porwano do haremu, i że nie zginęła (czy poległa) w katastrofie lotniczej. Spojrzałem na Witka, on na mnie. Wyglądaliśmy strasznie. Zmęczenie tempem imprezy malowało się na twarzach. Dwóch, chwilowych siłą rzeczy, smutasów po jednej stronie, a po drugiej roześmiany tłum panienek. I nagle rzucam pytanie znad talerza:

„Jacek, czy mamy powiedzieć łódzkim włókniarkom, że Anne Jantar porwano do haremu?”. Piorun to mało. Na twarzy Jacka pojawiła się szrama po cięciu szablą. Zapanowała, jak w takich chwilach bywa, grobowa cisza. Panienki niczym żona Lota, Jacek z gorejącą twarzą. Uniósł się od stołu i wyraźnie poruszony opuścił kuchnię wraz z ogonem. Mogliśmy dokończyć łagodzenie kaca w skupieniu i ciszy. Z wyjątkiem siorbania. Z sąsiedniego pokoju doszły nas głosy – Jacek wychodzi. Błysk oczu Witka zapamiętam do końca życia. Krew mi buzowała. Ruszyłem do ataku. Dopadłem wkurwionego Jacka przy drzwiach wyjściowych, po drodze mijając Michnika i jego stadko, z okrzykiem: „Co tam, Szechter?”. Druga twarz w 5 minut rażona piorunem. Mając w sobie nieobliczalnego potwora, przymknąłem Jackowi drzwi z pytaniem: „To co, porwali, czy zginęła?”. Oj, nie zebrałem dobrych not u tych dwóch liderów. „Spierdalaj!” No nic, z roli barmana wywiązałem się znakomicie, goście byli w stanie ekstazy, a mnie udało się zachować co nieco na śniadanie. Do Łodzi wróciliśmy z Tadkiem Jedynakiem. Ale to już inna story. Powiem tylko, że poznaliśmy ze sobą dwóch nieprzeciętnych liderów związkowych – Tadka z Jurkiem Dłużniewskim.

Na marginesie: Jacek Kuroń był dla mnie nieosiągalnym wzorcem. „Odplacił” mi, pod koniec swojego życia, podpisaniem na łożu śmierci listu do prokuratury w mojej obronie. Ten bankiet utwierdził mnie, że są w Polsce ludzie z klasą.

Wracam do Janusza Szpotańskiego. Geniusza szachowego, znającego kilka języków, satyryka i człowieka do kości niezależnego. Nie mnie pisać o jego walorach, wystarczy, że Gomułka z trybuny Sejmu-Niesejmu w 1968 roku nazwał go „człowiekiem o mentalności alfonsa”. Myślę, że choć tow. Wiesław miał barwny język, to kudy mu do języka Szpota. Jeśli mnie pamięć nie myli, to jedyny satyryk, który za swoją twórczość kiblował w więzieniu PRL-u. Liderem w tej kategorii, była i pozostanie Anglia, gdzie większość arcydzieł literatury światowej powstawała właśnie w lochach. Brak tolerancji przysłużył się dziedzictwu kulturalnemu świata. Może i tak trzeba?

Zapraszałem Szpota do Łodzi bodajże trzy razy. Po każdym wieczorku odbywał się bankiecik. Pamiętam jeden z nich u Zeni Łukasiewicz. W środku rozkręcającej się imprezki nagle zorientowałem się, że nie ma głównego bohatera. Zaczęliśmy poszukiwania, które bez skutku trwały do 2 w nocy. Załamany wróciłem do domu, bojąc się, co zrobi z nim SB. Napięcie rosło z każdą godziną. O 13 dzwonek do drzwi. Szpot, cały i zdrowy, z uśmiechem mówi: „Fajnych meneli macie w Łodzi”. Całą noc spędził na Dworcu Fabrycznym. Po latach myślę, że dobrze wybrał.

Kolejny epizod ze Szpotem w roli głównej. Kiedy tworzyłem Polską Encyklopedię Niezależną, przekonany przez Janka Tomkowskiego do modelu holenderskiego, pod młotek poszedł tom pierwszy (planowaliśmy 10), poświęcony literaturze polskiej. Skupiliśmy wszystkie światłe postaci, niepodważalne autorytety w zakresie krytyki i teorii literatury. Po kilku miesiącach zbierania ankiet przyszedł czas na ustalenie haseł i not biograficznych tomu 1. W spotkaniu u Marka Drabikowskiego oprócz gospodarza i mojej osoby udział wzięli: prof. Michał Głowiński, prof. Janusz Sławiński i Tomasz Burek. Część haseł była poza dyskusją, przy niektórych wysłuchiwalismy laudacji któregoś z uczestników spotkania. Dla mnie, filologa, to była rozkosz słuchać miniwykładów mistrzów. Spory rozgorzały przy dwóch moich propozycjach: *Dziennikach 1954* Tyrmanda i przy Szpotańskim. Odbyla się długa, porywająca egzegeza dzienników polskich pisarzy oraz wręcz awanturka o Szpotańskiego. W jednym i w drugim przypadku na „tak” przeważył głos inicjatora całego przedsięwzięcia. Twierdzę obalilem królewskim posunięciem, godnym czynu kamikaze. „O Szpotańskim napisze Jan Józef Lipski” – powiedziałem. Bohater *Cichych i Gęgaczy*. Zapadła cisza. Nikt nie wierzył, łącznie ze mną. A jednak. Ku mej radości Jan Józef się zgodził. Tak to odwaga prowincjusza rozbiła mit o chłodnych stosunkach głównego Gęgacza z „alfonsem”.

Ostatni raz widziałem się ze Szpotem, gdy jako dyrektor łódzkiej telewizji kupowałem prawa autorskie do *Towarzysza Szmaciaka*. Była butelka, anegdota, ale... podły nastrój. Szpot chory, Polska chora. Po latach zrealizowano ten spektakl

w innym ośrodku. Mnie i mojego zastępcy Wojtka Maciejewskiego już nie było. Dobrze, że Janusz tego nie widział.

Nie wiedzieć czemu pamięć przywołuje Anatola Lawinę. Z pewnością to wina Szpota, bo łączyło ich kilka atrybutów człowieka nadinteligentnego. Poczucie humoru, ciężar posiadanej wiedzy, doświadczenie, współodczuwanie z drugim człowiekiem i absolutne ciepło. Anatola poznałem w mazowieckim MKZ-cie. Krótka wymiana zdań, wzajemne, myślę, zaufanie i lekko drwiący tok rozmowy. Treści rozmowy pamięć nie podrzuca. Przywołuje za to serie innych spotkań po latach. Wtedy Anatol pracował już w NIK. Gościłem go w domu, zauroczony jego „pulsowym” widzeniem świata. Często były to gorzkie przekazy. Afera FOZZ wisiała w powietrzu. Dlatego wiadomość o jego nagłej śmierci wstrząsnęła bezgranicznie. Wcześniej Falzmann, potem Pańko (szef NIK), inni, jak świadkowie policjanci, kierowca Pańki... Mój umysł świdrowała natrętna myśl – wspomnienie ostatniej rozmowy z Anatolem. Sceptykom, którzy lekceważą dzisiaj rolę służb specjalnych w życiu Polski, warto przypominać serię tych niewyjaśnionych do dziś nagłych zejść i wypadków. Gospodarka-mafia-polityka lub na odwrót. Schemat stary jak świat. Amerykanie zbudowali na tych powiązaniach wiele wspaniałych filmów. Do nich należy *Wall Street*. Jeśli już o tym filmie. „Wyłudziłem” go u Janusza Zaporowskiego, który swego czasu szefował dystrybucji filmowej w Polsce. W jego posiadaniu były dwie kopie wzorcowe: *Wall Street* i *Fatalne zauroczenie*. Mnie przypadło *Wall Street*. Zgoda Janusza była tylko na jedną projekcję. Jest 22. Zaczynamy w „Przedwiośniu”. Tłum spragnionych hitu z ekranów świata. Prapremiera polska. Około 1 w nocy dochodzi narastający gwar. Michael Douglas, owszem, gra, ale w innym filmie. Okazało się, że pakujący kopie wymienił ostatnie puszki. Do *Wall Street* wpakował *Fatalne zauroczenie*, a do *Zauroczenia* – *Wall Street*. Zadyma na dwa kina w Polsce. Zwrot za bilety bardzo bolał. Jest coś, co łączy te tytuły i zamieszane w jego dystrybucję osoby, w tym również mnie. Janusz Zaporowski był wybitną osobowością, podobnie jak Anatol, dowcipny, ponadprzeciętnie inteligentny, zginął razem

z Walerianem Pańko. Był wtedy sekretarzem Sejmu. *Wall Street*, ponadczasowy film o machinie giełdowej i jej czarnych stronach. Jaka różnica, czy FBI, WSI, CBA, ABW, UOP czy ruskie spec-służby maczają w tym paluchy. Ich solidarność i wspólny szmal. Biznes musi się kręcić, choćby z pistoletem przy skroni. Jak pisał Lec: „Pogrozę mu tylko palcem, rzekł, kładąc go na cynglu”. Ile razy w dziejach współczesnej Polski, ten palec się zginał? Polskie życie jest przesycone wpływami tych służb. Pi-sze to człowiek, którego też dopadli. Wprawdzie nie ukatrupio-no mnie fizycznie, ale łaskawie zafundowali mi śmierć cywilną. Liczy się, jak w wojsku, sztuka. Trafiony-zatopiony. Wniosek z tego, że polskie służby się cywilizują, a w Polsce każda „elita” polityczna ma swoje wiewiórki.

Na spotkaniu założycielskim łódzkiego oddziału Stowarzy-szenia Wolnego Słowa. Prezentacja. „Jestem historykiem. Obecnie jestem w XVI wieku”. „Bardzo dobrze. Zostań tam”.

ADAM POPRAWA

Ulica jak ulidza

Niejako pogładowo

Wenecki performans bohatera *Monizy Clavier* nadal jest pamiętany; ba! całkiem niedawno Robert Tekieli, niegdysiejszy twórca panbuntowniczego „bruLionu”, przytoczył najbardziej znane zdanie z opowiadania Mrożka polemicznie i ze śmiertelną powagą. Na łamach „Gazety Polskiej”, ale ja dziś nie o tym.

– O, tu – krzyknąłem, szeroko otwierając jamę ustną i wskazując palcem na zęby trzonowe. – O, tu, wybili, panie, za wolność wybili!

Nastąpiło zamieszanie. Ucichli, patrzyli na mnie, nie mogąc zrozumieć, o co mi chodzi. A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako pogładowo, cierpienia mojego narodu. To, że najwidoczniej nie doceniali martyrologii, bardzo mnie rozgniewało.

Postać z opowiadania zdążyła już do tego momentu wychylić parę głębszych, a motywacja opisanego aktu jest co najmniej podwójna: misyjna czy, powiedzmy, przesłaniowa – ale też sytuacyjna. Bohater, zrazu wyłącznie mentalnie, prowadzi swoją walkę ze zgromadzonymi na przyjęciu gośćmi.

W tym momencie zacząłem myśleć społecznie, jak to zwykle bywa, kiedy jednostka sama nie jest w stanie uzyskać dla siebie satysfakcji.

O! Gdyby ten fragment z *Monizy Clavier* – w którym autor niewątpliwie wspomógł analitycznie literacką postać – był tak słynny jak scena z zębami... W każdym razie zdanie o wybiceniu za wolność usamodzielniało się poza kontekstem całości

opowiadania, stało się wcale efektowną, parodiującą alegorią polskiego cierpiętnictwa, epatowania świata tragicznymi dziejami narodu, żądaniem wyjątkowego traktowania, oczekiwaniem rekompensaty etc. I jakkolwiek sensy opowiadania Mrożka są bardziej złożone, cytowanie owej dentystycznej frazy jako lakonicznej krytyki pewnego nurtu polskośći nie jest nadużyciem.

Wyobraźmy sobie zatem, że sami zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie. Stoimy w niedużej grupce, kulturalnie rozmawiamy, śmiejemy się z dowcipów i bon motów (jedynie od czasu do czasu obycie nakazuje nam uśmiechnąć się taktownie), trzymamy kieliszki z winem lub szklanki z sokiem, co kto woli, może też być woda mineralna. Ktoś kłania się i odchodzi do innych gości, kogoś nowego witamy, a prosimy, prosimy... Podchodzi też Murzyn w letnim bawełnianym garniturze, otwiera usta, wskazuje na uzębienie i mówi:

– O, tu, wybili, panie, za kolor wybili!

Ktoś z nas pyta, czy to partner w brydżu okazał się tak krewki z powodu omyłkowej licytacji miana, ale inni milczą, coraz niespokojniej. Zamykam wyobrażoną scenkę.

Były okrutne polowania na rdzennych mieszkańców Afryki (czym zresztą zajmowali się Arabowie)? Były. Przepływały potem Atlantyckie statki ze specjalnymi, przerażającymi miejscami dla schwytanych? Przepływały. Było niewolnictwo w Ameryce? Było. Była segregacja? Była. Ale też: była Polska pod zaborami? Była. Były wojny i okupacje? Były. Był faszyzm, a potem komunizm? Były. Były przyjęcia rodzinne? Były.

Tak tedy drugie ćwiczenie imaginatywne. Wieczór w Monachium, słyhać coraz głośniejszy wrzask, tupot wielu nóg, brzęk szkła. Grupa Polaków demoluje sklepy w odwecie za faszyzm. I jaka reakcja? Miałbym nadzieję na szybkie a stosowne wyroki sądowe tudzież szyderczy śmiech opinii publicznej.

A niedawno w Stanach było jakby trochę inaczej. Zamieszki, niszczenie, plądrowanie, ogień. Sprawców w zasadzie nikt nie gloryfikował, jeszcze, niemniej uzyskali coś w rodzaju niepisanego glejtu publicznej wyrozumiałości.

Czyżby porównywanie historii Czarnych i historii Polaków było niewskazane? Może chodzi o sumę i rodzaj prześladowań? Ale jak obliczyć? Nie trzeba sumować: w ostatecznym rozrachunku zawsze cierpi i umiera pojedyncze czujące ciało, które jest instancją ponadrasową i ponadnarodową. Dlaczego więc, zasadnie przecież, śmiejemy się z bohatera Mrożka, we współczesnych zaś Afroamerykanach skłonni jesteśmy dostrzegać jedynie nieuniknione, praktycznie tragiczne, fatum.

W ostatnich miesiącach opublikowano sporo zdjęć z zamieszek i manifestacji, amerykańskich i wszechświatowych. Mimiika i mowa ciała uczestników – a sytuacyjnych liderów zwłaszcza – niejednokrotnie wskazywały, iż czują się oni pewnie w swojej roli: zaczęli myśleć społecznie, jak to zwykle bywa, kiedy jednostka sama nie jest w stanie uzyskać dla siebie satysfakcji.

W Polsce nie chcemy być gorsi. Wprawdzie nie było tutaj plantacji bawełny, ale historię pańszczyzny przedstawia się teraz, cokolwiek postkolonialnie, jako dzieje niewolnictwa. Naszego. Jak zresztą *Do Szanownej Organizacji Narodów Zjednoczonych, w miejscu* zwracał się Mroźek: „Donoszę, że polacy to też murzyni, tylko biali”. A dokładniej: pisał to M’roźek.

lipiec 2020

